

POLSKA WIERNA

TYDZIEŃ
POLSKIROK XV Nr. 11
(689 - 735)CENA EGZEMPLARZA
we Francji 50 franków
w Niemczech 50 fenigów

© Echo Polski Ltd. 1959.

Copyright. Wszelkie prawa przedruk
materiału zawartego
w „Polsce Wiernej” — zastrzeżone.Registered at the G.P.O.
as a newspaper.

SŁOWO KATOLICKIE

NIEMOWLĘ NR. 10 MILIONÓW

AUSTRALIA — kraj wielkich możliwości
czeka na białych przybyszów

AUSTRALIA, w kwietniu. Od kilku tygodni Australia szczyli się nie byle jakim rekordem: urodziło się tu niemowlę Nr. 10.000.000. Przed tym wydarzeniem było tu zaledwie 9.999.999 obywateli — fakt oczywiście upokarzający Australię. Niemowlę uratowało dumę młodego narodu.

„Dognat” i pieriegmat! jest hasłem nie tylko sowieckim. Tutejsi stachanowcy (w innym rodzaju pracy raczej opieszali) płodzą ile się da, dla koncepcji chyba nie tylko politycznej, i nie tylko dlatego, że — podobnie jak we Francji — za każde dziecko matka otrzymuje premię rządową, tzw. „child endowment”, wypłacaną co kwartał: 5-szylingowa tygodniówka za pierwsze dziecko, 10 za drugie, itd., (aż do ukończenia 16 lat).

Żółte niebezpieczeństwo

Ale nawet najtejsze zachęty i wysiłki populacyjne Australijczyków nie podolają rekordom chińskim. Chiny są tuż tuż, niedaleko, dzisiaj liczą ponad 500 milionów ludności, jedną trzecią mieszkańców całego globu ziemskiego. Australia przeciwstawia im skromne 10 milionów ludu — tudzież 10 tysięcy mil, oceaniczne bezmiary, dzielące ją od najbliższego kontynentu białych na drugiej półkuli.

Imperium Brytyjskie wycofuje się z Dalekiego Wschodu, Indie zachowują dyplomatyczną neutralność, najbliższym sąsiadem jest Indonezja, skomunizowana, zachińszczona, sięgająca po Nową Gwineę, będącą strategicznym pomostem z Chin do Australii.

Toteż biała Australia jest tu bardzo, bardzo samotna. Jest ostatnią oazą, ostatnią bazą Zachodu. Wyspą 10-cio milionową. Wyspą skazaną na opór.

W razie konfliktu ze Wschodem nie pomoże tu żadna linia Maginota, żaden mur chiński, tak jak nie pomogła Wielka Zapora Przeciwróżnicza, biegnąca w poprzek niemal całego kontynentu Australii. Dziś zapórę tę konserwuje się tu chyba tylko po to, aby króliki, mnożące się po jednej stronie zapory — nie przeszkadzały w plenienu się królikom po drugiej.

A Chińczyki, też jak króliki. Australię penetrują już teraz, na razie pokojowo.

Żółte niebezpieczeństwo wzrasta. Niepokój świata białych wzrasta proporcjonalnie. Czy chińska szarańcza zaleje resztę świata? Czy stanie się rasą zwycięzców? Jeśli tak, to pierwszą ofiarą potopu padnie Australia.

Problem ras

Major Seweryn Korzeliński — w swych pamiętnikach pt. „Opis podróży do Australii i pobytu tamże od r. 1852 do 1856” zauważył śród czarnych tubylców tutejszych istnienie dziwnego obyczaju.

Opowiada mianowicie o pewnym plenienu, które do sąsiadów posta-

ło ultimatum, że ma zamiar jednego z nich uśmiercić za jakiś tubylczy przestępstwo. Jakaż — według Korzelińskiego — była reakcja drugiego plemienia, zagrożonego atakiem? Otóż, rada starszych postanowiła zgładzić własnego obywatela (przynętnie niesnasek); skazany padł trupem z ręki własnego syna.

Mam poważne powody, by wątpić o prawdziwości wielu australijskich relacji Korzelińskiego. Dzielnym major nierazko plecie od rzeczy. Ale po-

twierdzi, że ich nie ma, ten niech pomaluje się na czarno i spróbuje przekonać Murzyna, że białych w ogóle nie ma. Niech uczyni to właśnie teraz, gdy Afryka przygotowuje się do masakry białych.

Dygresja o karaluchach i półkoszulku

Afryce nie dziwmy się — życzymy jej jak najlepiej. Każdy ma prawo



Przybycie na nową ziemię. Rodzina polskich dipisów pełna niepokojów i przygnębienia. Na stacji docelowej nie zastali „sponsora” który miał na nich oczekiwać. Łatwość wpadania w depresję i nieufność była cechą charakterystyczną wszystkich dipisów, którzy wycierpiawszy się niemato w życiu spoglądali z obawą w przyszłość.

wyższa historia być może nie jest bałamutna, a w każdym razie interesuje nas o tyle, że nie jest bez związku z koncepcjami niektórych polityków tutejszych.

W jaki sposób Australia ma obronić się przed ewentualnym chińskim zalewem? Bardzo prosto: zaprosić Chińczyków na współobywateli i dążyć, jak w Brazylii, do hodowli ludności mieszanej.

Pomysł w założeniu piękny. Wiadomo, szczęście ludzkości, itd. Na bok odłóżmy niemądre uprzedzenia rasowe. Rasizm jest bzdurą ukutą przez hitlerizm. Człowiek jest człowiekiem i basta.

Hm, może. Ale zapomniano o drobnostce: że mianowicie słuszny i szlachetny wstręt do politycznych koncepcji rasistowskich każe nam, niestety, okłamywać samych siebie. Kłamstwem jest bowiem, że nie ma różnic rasowych — w znaczeniu etnicznym.

Kto w chrześcijańskim zapale

do własnej wolności we własnym kraju. Niedobry to człowiek, który bliźnim pogardza dlatego, że ten ma inną pigmentację naskórka, albo wydatne fałdy tłuszczowe w osadzie oczu, albo kości jarmzowe bardziej wystające. Wszystkie te genetyczne wysoki przyrody nie są przecież czymś aż tak bardzo ważnym. Boć nie tylko Polakom rosną anielskie skrzydełka pod półkoszulkiem, i nie tylko Papuasi pożerają swoich.

Ale niestety, międzyplemienna niechęć jest w ludzkości powszechna i prowadzi do wybryków jeszcze gorszych niż kanibalizm. Niechęć ta nawet w czasach pokoju graniczy z wrogością. Rodzi ją poczucie obcości i zwykle, ludzkie podejrzania, że ten kto mówi niepojętym językiem, wierzy w obcych bogów, hołduje innym, dziwnym obyczajom, — na pewno jest czymś gorszym od nas i na pewno przybył tu, aby nas wykpić, okraść, uciemieżyć, pognać w jasyr, zakatrupić.

Lęk wywołuje nienawiść i miesza się z pogardą. Karaluch w języku Niemca zwany jest francuzem; w języku Polaka — prusakiem lub szwabem. To samo zapiekłe uczucie budzi w Ukraińcu Polak, w Rumunie Ukrainiec, w Węgrze Rumun, w Australijczyku Chińczyk. A w Chińczyku — wszystkie białe diabły zamorskie.

Kiedys, za lat tysiąc, dwa tysiące, padną (może) wszystkie zapory językowe, ideologiczne obyczajowe — podpory tradycyjnych nienawiści. Oczywiście, wszystkim ludziom na ziemi będzie niesłychanie bezpiecznie i — nudno.

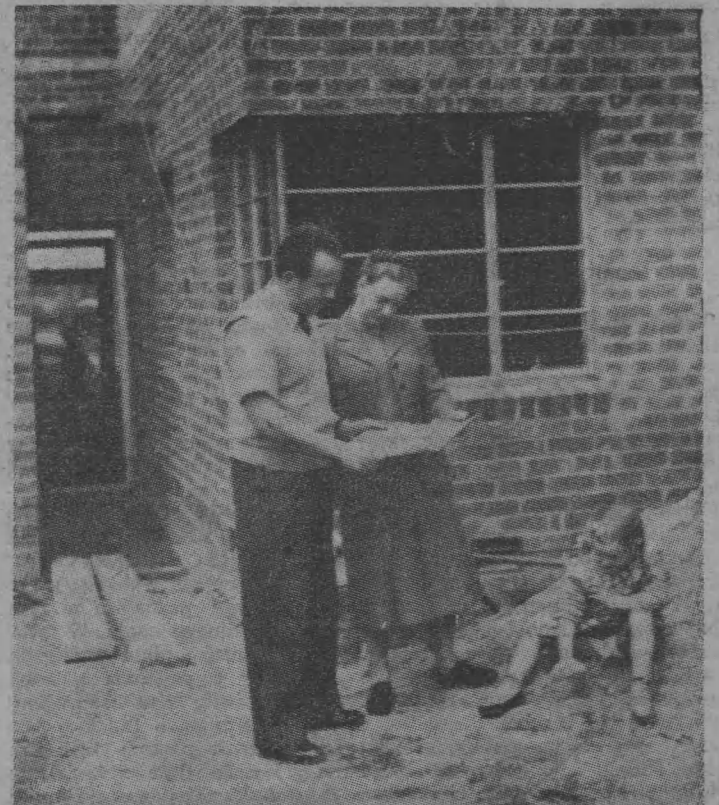
Tymczasem jednak na nudę narzekać nie można. Wzajemne poczucie niebezpieczeństwa jest istotne.

Australia lęka się chińskiego zalewu. Biali, zanim by tu schińszeli, najpierw staliby się kulisami kosokich najeźdźców. Ci zaś, przeświadczeni o wyższości własnej kultury — jakiż to naród nie jest przeświadczony o swej wyższości? — robią co mogą aby „dognat” i pieriegmat!

Wąski pasek „cioci”

Jeszcze dziś, po tylu latach, słyszę endyżną, pewny siebie głos „cioci” Smosarskiej, naszej nauczycielki geografii w gimnazjum im. Bergera w Poznaniu.

Australia jest to kontynent pustynny, bezwodny, bezludny i poza odrobinką na zachodzie, tylko wąziutki paseczek wzdłuż wschodniego wybrzeża jest zamieszkały. Tylko tam opady atmosferyczne są częste, zie-



Szczęśliwa rodzina polska cieszy się własnym domem. Przybyli oni do Australii dzięki ułatwieniom Korpusu Przystosowania dla polskich żołnierzy walczących pod dowództwem brytyjskim. W przeciwnieństwie do dipisów, nie mając początkowych ograniczeń w pracy i zarabiając lepiej, prędzej zdobyli się na własny dom, marzenie każdego nowego emigranta.

na wschodzie Australii, wzdłuż wybrzeża Pacyfiku:

„Bardzo wąska równina przybrzeżna, zdatna do osadnictwa”.

A więc jest to znów ów wąziutki paseczek „cioci” Smosarskiej...

Pytanie jednak: jak wąski? Kilo-metr? Dwa? Dziesięć?...



Obóz imigrantów australijskich. Przybyłych osiedleńców umieszczano na początek w obozach, które prawie zawsze były przerobione z wojskowych baz z czasów wojny. Warunki mieszkania i higieny były na bardzo wysokim poziomie, ale odosobnienie, zepchnięcie znów do obozów izolowanych od normalnego życia wcale nie sprzyjało asymilacji.

mia żyzna, zdatna pod uprawę i do wyżywienia skąpej ludności...

Pani Smosarska była żoną profesora Uniwersytetu Poznańskiego, również geografa. Przedmiot swój kochała i znała doskonale, wykladała świetnie, żywiołowo — wbiła w lby sztabackie całą swą prawdę o dalekich lądach i ludach. Daremnie próbowaliśmy złapać ją na jakiejś nieścisłości — wszystkie podręczniki, nawet ojcowskie encyklopedie, głośły jota w jotę to samo.

Dobiega mnie z przeszłości jej głos energiczny... Uśmiecham się, od niechcenia sięgam na półkę — i tu mam przed sobą tom pt. „A Commercial Geography” (wydanie piąte z 1951 r.).

Czy i ta książka podła to samo? Autorem jest L. Dudley Stamp, C.B.E., D.Lit., D.Sc., profesor geografii na Uniwersytecie Londyńskim, a także w „London School of Economics”, nadto dyrektor instytucji p.n. „The Land Utilisation Survey of Britain”. A więc bynajmniej nie było to.

Otwieram angielski podręcznik specjalisty, i czytam, a jakże, o pasku zachodnim, o pasku południowym, no i o tym najważniejszym,

może raczej o jego bezpośrednim zapleczu, do osadnictwa, widać niezdatnym. Ciągnie się to zaplecze od Oceanu Indyjskiego w okolicy miasta Geraldton, poprzez Southern Cross, a kończy na południu, u zachodniego krańca Wielkiego Łuku Australijskiego (zwanego też Wielką Zatoką). Całe to zaplecze — to zachodni pas pszeniczny. Podkreślam: pszeniczny.

Bagatelka: zmieści się tu cała Polska.

Bądźmy jednak, wraz z podręcznikami, skąpi wobec Australii. Na północno-wschodzie odrzućmy cały potwornie ogromny stan Queensland oraz leżącą poniżej, północną połać stanu Nowej Południowej Walii — i zajmijmy się tylko owym wschodnim paseczkiem wzdłuż Pacyfiku. Powiedźmy, że biegnie tylko od miasta Brisbane, w dół ku południowi, gdzie wraz z wybrzeżem skręca na zachód, ku miastu Adelaide. Z grubsza i bardzo skromnie, jest to pas długości co najmniej 1.700 mil ang. — miejscami (na południu) sięgający 300 mil szerokości.

Więcej wody

Przeciagniśmy w prostej linii nitkę z Brisbane do Adelaide. Tak odcięty obszar zajmie mniej więcej dziesiątą część całego kontynentu. Zmieszcza się tu trzy Polski!

Mniej więcej w środku tego obszaru leży „mój” Griffith: gaje pomarańczowe, sady brzoskwinie, melony, migdały, oliwki, winnice i wytwórnie wina, rozległe pola ryżowe. Nawadniane sztucznymi kanałami, z dalekiej rzeki Murrumbidgee.

Jeszcze pół wieku temu Griffith był piaszczystym bezludziem. Dziś — system irygacyjny Australii — rozbudowany jest na skalę gigantyczną.

(DALSZY CIĄG NA STR. 12)

Zbigniew Jasiński



ADELAIDE — PIĘKNE MIASTO NOWOCZESNE (KING WILLIAM ROAD)

Dzisiejszy numer „POLSKI WIERNEJ” poświęcamy w dużej części naszemu Rodakom z Australii. Zamieszczamy ogólne informacje o Australii i życiu Polaków na tym kontynencie. (Zdjęcia na tej stronie dzięki uprzejmości Australia House.) Numer następny „Polski” zawierać będzie wspomnienia, związane z 40 rocznicą oswobodzenia Wilna.

KOALA – najcudniejszy wybryk natury – i pingwiny

POZNAJMY
PRZYRODĘ
AUSTRALII

Niedaleko od Melbourne jest jeden z ciekawszych zakątków Australii: wyspa Filipa. Odkryta w początkach XIX stulecia była ona bazą odkrywców i podróżników, jak Flinders, Bass, Batman i inni. Dość duża (28 x 12 km) i malownicza, nie była, aż do ostatnich czasów bardzo zaludniona ze względu na brak wody. Dopiero niedawno wywiercono kilka studzien artezyjskich, co w połączeniu z ulepszoną techniką „lapania” wody deszczowej nakłoniło wielu do osiedlenia się i teraz mieszka tam kilka tysięcy ludzi, nie licząc wielu turystów. Pan Bóg, stwarzając świat i kształtując Australię, był widać w dobrym humorze, gdy z dna morza wydzwigał tę wyspę, bo dał jej nieomal wszystko — w miniaturze. A więc: jest tu malutki wygasły wulkan i skały bazaltowe, jest piaskowiec i granit; jakby tego nie było dość — część wyspy ma urodzajną ziemię, część jest pokryta niedużą pustynią. Naturalnie jest tu i las, są i cudowne plaże, mokradła i słone łąki, pastwiska i ogrody. W ogóle — świat w miniaturze. A jeśli do tego dodamy wspaniałe truskawki, to opis rajy będzie kompletny.

Nie na tym koniec. Jakby chcąc zażartować z naszej ciekawości, Stwórca wybrał właśnie tę wyspę jako jedyne miejsce w tej części Australii, gdzie się gnieździ pingwiny i gdzie się znajdują rykowiska fok. Ponadto są tu kolonie burzyków norkowych (shear-water, albo mutton-birds), a część lasów zarezerwowano dla pociesznych a miłych koala. Troskliwie zabiegi władz miejscowych w połączeniu z towarzystwami naukowymi sprawiły, że te rzadkie zwierzęta i ptaki gnieździą się tu bez trwogi; ilość ich stale się zwiększa, a ponieważ nikt im krzywdy nie robi, zatrączyli lek przed ludźmi i dają się obserwować z każdej nawet bezpośredniej odległości. Czasami człowiek odnosi wrażenie, że nie on ogląda zwierzęta, ale one jego, bo nieraz się zdarza, że koala zajrzy do okna sypialni, a pingwin spaceruje się po twarzy śpiącego plażowicza.

Koala

Siedzi na drzewie pluszowy niedźwiadek. Ma mały noszek, który wygląda, jak zrobiony z płatków wypucowanej czarnej skóry; czarne oczka jak tarczki, komplementy uszy z pedzelkami na końcach, ładne, brunatno-szare futerko, cztery łapki, zakafkowane mocnymi pazurkami, i ruchliwe, ciemne wargi. Biała kryzka na szyi i biały fartuszek na brzuszku dopinają kostiumu. Usiadł na tyliczku, jak mały chłopczyk; przednie łapki skrzyżował na brzuszku i z wysokiego konara patrzy ciekawie, ale beztrwoniście na parę dwunogów, którzy, wydając okrzyki podziwu i robiąc śmieszne miny, gapią się na małego króla wyspy Filipa.

Koala! Najcudniejszy wybryk natury, najmiłszy, najbardziej przytulny stworzenie w królestwie zwierząt. Niezgrabny i nieporadny na lądzie, a nawet i na drzewach poruszający się pomalutku (prawdziwy gentleman nigdy się nie śpieszy), niewinny i nieszkodliwy — jest ulubieńcem całego świata. Żywi się liśćmi eukaliptusów, na mięso... nie patrzy, ptaka nie dotknie, robaka nawet nie uszkodzi. Wody... nie pije. Niewiele mu do szczęścia potrzeba: parę liści co minutę — to wszystko.

Cała Australia jest pokryta eukaliptusami: jest ich tu chyba ponad 200 gatunków. Zdawać by się więc mogło, że koala powinien się tu czuć jak przysłowiowy pączek w masle.

Tak jednak nie jest. Matka-Natura zawsze stwarza swe własne prawa, ograniczające nadmierny rozwój danego gatunku czy rodzaju. A więc spośród tych 200 gatunków eukaliptusów, koala może jeść liście tylko trzech. Gdy tych nie ma — umiera. Czasem pełnię głodem zje inne liście, co się nieomal zawsze kończy dlań fatalnie. A te niezbędne dla jego życia gatunki eukaliptusów rosną przeważnie w strefie przybrzeżnej, nie dalej jak 100 km od morza. Wszystko było dobrze, dopóki nie przybyli tu biali ludzie. Wprawdzie tubylcy nie gardzili mięsem koala, ale w całej Australii nie było nigdy więcej niż 300.000 tych najprymitywniejszych na świecie ludzi. Zatem koala żył bez trwogi, bo niewiele miał wrogów: od czasu do czasu sowa się zlakomiła na młodego niedźwiadka, ale to nieczęsto się zdarzało.

Tylko dla robotników

Biali ludzie szybko zorientowali się, że Australia jest idealnym krajem dla hodowli owiec; zaczęli więc wycinać lasy, aby je na pastwiska przemieniać. Pamiętać należy, że to było w czasach, gdy nikt o ochronie zwierząt nie myślał oraz że pierwsi osadnicy — to resztki z wiewiórek. Gdzie człowiek mieszka, tam się ogień pali, a gdy się pali ogień wśród olbrzymich lasów, czasem wysuszonych na pył przez upały, to wtedy o pożar łatwo. Płonęły więc lasy na przestrzeni setek i tysięcy kilometrów. Ginał las, ginał stary australijski „bush”... ginały koala. Potem ktoś wpadł na pomysł: futro koala jest prawie niezniszczalne; kupy z dalekiego Lipska zaproponowali „doskona-

ly kontrakt” — i ponad milion tych niewinnych zwierząt zostało zamienionych na „boby” i inne handlowo oplacające się skórki. Protesty naturalistów i „leśnych ludzi” dobrze oplaceni politycy odrzucili jako „przesady i przeszkody dla rozwoju”. Gorzej: w 1933 roku socjalistyczny rząd Queenslandu zarezerwował prawo mordowania koala „TYLKO DLA ROBOTNIKÓW. BO ONI MUSZĄ MIEĆ ROZRYWKĘ” (Doslowna cytata z debaty). W rezultacie nie pozostało w tym stanie ani jednego koala. W tymże roku jednak opinia publiczna i burzliwe wypowiedzi naturalistów postawiły kres bezmyślnej i naprawdę typowo ludzkiej (bo tylko człowiek potrafi być tak okrutny) rzezi. Spis wykazał, że w całej Australii pozostało mniej niż 1000 tych zwierzątek.

Gdy tylko zrozumiano sytuację, poczyniono kroki, aby jednak koala uratować od zagłady. Badania wykazały dopiero wtedy, że koala może jeść tylko te trzy gatunki eukaliptusów — prawie że doszczętnie wypalone i wyrabane. Poszukiwania zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem: rzadko zamieszkała wyspa Filipa i sąsiednia wyspa French były pokryte właśnie tymi gatunkami eukaliptusów. Kilka tysięcy ludzi, ochotników, harcerzy, studentów, szukali koala po wszystkich lasach. I — rzecz dziwna. Jakby czując, że tylko pomoc ludzka może je uratować, wiele niedźwiadków powychodziło na skraję lasów, co znakomicie ułatwiało zadanie. Ponad 600 koala zostało osadzonych w kilku „koloniach”, wydano drakońskie prawa ochrony — i naturaliści czekali przez parę lat z zapartym oddechem. Samica ma tylko jedno młode w jednym miocie, choć czasem, ale bardzo rzadko zdarzają się bliźnięta. Ponadto pora godowa przypada tylko raz na dwa lata. Jeden pożar, trzy lata suszy mogłyby położyć kres istnieniu koala.

Ale szczęście sprzyjało. Krytyczne lata przeszły bez większych trudności. Dziś nareszcie możemy powiedzieć, że koala nie podzieli losu dodo, ma, gołębia wędrownego lub śnieżnej czapli. Siedzi więc nasz niedźwiadek na konarze i patrzy. Moja towarzysząca prosiącym głosem zwraca się do niego: „Niedźwiadku, zleż troszkę niżej”. Ale on powiedział: „Nie ma głupich. Za daleko i twoje włosy nie są jadalne” — i objawszy pień łapkami polazł w górę na następny posełek.

Poszliśmy dalej i — o radości — na niskim drzewie siedzi stary, troszkę „molami obgrzyziony” samiec. Weteran wielu walk i wielu lat oglądania dwunożnych dziwidów, bo się nawet nie rzączył ruszyć.

Zachodzę od słonecznej strony, aby go zdjąć, ale szelma siedzi w niewygodnym miejscu, nie patrzy zresztą na aparat, tylko na liście. Noskiem kręci, glucho pomrukuje i wcale go nie obchodzi moje zabiegi.

W ciągu następnych dni widzieliśmy niedźwiadki dość często, ale nigdy nie udało się nam zobaczyć ich na niskich drzewach. Nie dlatego aby się nas bały: koala nie boi się nikogo, bo — prawdę mówiąc — jest on za mało inteligentny, aby zrozumieć uczucie lęku. Ale Natura jest sprawiedliwa: dała niedźwiadkom urodę, a odmówiła mózgu.

W niedzielę poszedłem do kościoła. Było dość wcześnie i choć droga wiodła przez miasto, ale wzięłem aparat fotograficzny. I co myślicie? Na starym drzewie siedziały trzy niedźwiadki: papa, mama i małe. Papa siedział w rozwidleniu konarów i spał. Mama na oddzielnym konarze właśnie skończyła poranną toaletę (patrz zdjęcie), a małe wdrapało się wysoko i, grzejąc się w promieniach słońca, bawiło się w „a kuku!” z przechodniami, wyglądając na nich to z prawa, to z lewa.

Na drugi dzień zdarzył mi się śmieszny wypadek. Na niskim małym drzewie zobaczyłem tego samego weterana, który się tak wymownie drażał. Siedział tak nisko, że moja twarz była na wysokości jego głowy. Wspaniała okazja do fotografii! Stałem więc w odległości 2 kroków i już miałem guzik nacisnąć, gdy ratem koala skoczył z drzewa. Gdyby to chociaż był normalny skok. Ale stary — widać krótkowzrostny — myślał, że ja jestem drzewem! Wszystko byłoby może i pięknie ale pamiętając, że taki pan waży z 25 kilo i że ma pazury długości 3 centymetrów — można sobie wyobrazić, jakby moja twarz wyglądała, gdyby na mnie wyładował. Skoczyłem więc w tył jak kot; potknąłem się (naturalnie) o suchy konar i upadłem na ziemię. Trzeba było jednak widzieć oburzenie koala, że jego „drzewo” tak raptownie zniknęło z horyzontu! Z głuchym „bum” wyładował ciężko na ziemi, rozejrzał się i wydał tak pocieszny chrząpliwy ryk, że ze śmiechu nie mogłem nawet wstać. Biedny niedźwiadek! Nigdy w jego długim życiu nie spotkała go tak nieprzyjemna niespodzianka. Pomrukując z oburzenia i mamrocząc pod nosem, pokulał się po ziemi, dopadł najbliższego drzewa, w parę sekund był już na wierzchołku (pierwszy raz w życiu widziałem spieszącego się koala) i... momentalnie zasnął, wyczerpany zdarzeniami dnia.

Pingwiny

Nadchodził wieczór. Na horyzoncie było sporo chmur, ale pogoda zapowiadała się przyjazna. Po skromnej wieszczy (homar z sałatą, białe wino, lody Melba, czarna kawa (poszedłem na przystanek specjalnego wycieczkowego autobusu. Tam spotkałem moją „przewodniczkę”: jedziemy oglądać pingwiny.

Pingwiny zamieszkujące na wyspie Filipa są najmniejsze ze wszystkich pingwinów: dochodzą zaledwie do wielkości kury. Ich naukowa nazwa brzmi: „pingwin bajkowy” (fairly penguin). Ze nazwa jest słusznie dobrana, przekonacie się sami.

Niewielkie to one są, ale niemniej jednak są też wyposażone we wszystkie „pingwinowe cechy”: a więc długi, ostry dziób, białoczarny frak, małe nóżki osadzone na samym końcu kad-

łuba i mocne, skórą pokryte pletwy — skrzydła. Na lądzie są niezgrabne choć chodzą dzielnie i nieraz można je zastać w odległości 2 km od brzegu. Ale ich żywiołem jest woda. Pływają świetnie jak ryby, a nawet lepiej od ryb, bo potrafią osiągnąć (na krótką metę) zaskakującą szybkość 55 km na godzinę. Nic więc dziwnego, że choć dorosły ptak potrzebuje na dzienny posiłek prawie tyle ryb, ile sam waży, to jednak nikt jeszcze nie widział chudego pingwina.

Pingwin

nie myli się nigdy...

Normalnie spędzają one żywot w kręgu podbiegunowym, ale w sierpniu, a czasem wcześniej instynkt zaczyna je kierować w stronę wyspy Filipa, na której się wylęgiły lub gnieździły w ubiegłym roku. Najpierw powoli, a potem coraz prędzej zaczynają cnie przenosić swe żerowiska na północ. Gdzieś we wrześniu pojedyncze pingwiny zbierają się w grupki po 10, po 100 ptaków i już z pośpiechem, robiąc do 100 km dziennie i śpiąc na falach, dążą do swej wylęgarni. Gdzieś w końcu października lub początkach listopada pierwsze ptaki wychodzą na plażę. I tu stajemy od razu w obliczu tajemnicy: po przepłynięciu tysięcy kilometrów pingwiny nie tylko wypływają wprost na wyspę Filipa (która przecież nie jest wielka), ale zawsze lądują na tym samym odcinku plaży, nie szerszym niż 70 metrów. Plaża ta absolutnie się nie różni od innych: rozciąga się naokoło całej wyspy. Ale pingwiny nigdy się nie mylą.

Po wylądowaniu i krótkim odpoczynku zaczyna się okres godowy. Uczni twierdzą (choć nie są jeszcze 100% pewni), że pingwiny jak łabędzie, orły i inne ptaki „żeńią się” na całe życie. Dlaczego? — nie wiadomo. Przecież samice nie różnią się między sobą. Ale że i wśród ludzi istnieje ten sam zwyczaj — więc nie śmiejmy się z pingwinów.

I — podobnie jak wśród ludzi — okres godowy zaczyna się od zalotów. Samiec przynosi samicy mały prezent: kamyk, wodorost, muszlę, suchą głowę ryby — i kładzie u jej stóp. Odrzucony pingwin czasem się ODCZOŁGUJE jakby w rozpaczy, ale (mądry chłopak!)... po chwili bierze drugi kamyk i szuka innej. Naturalnie, „kosz” zdarza się głównie, gdy samica czeka na przybycie swego małżonka i gdy „zalotnik” jest początkującym pierworodniakiem.

... Jest dobrym ojcem ...

Jeśli prezent zostanie przyjęty, wówczas pingwin odprawiający taniec godowy: staje frontem do siebie i przytupując krótkimi nóżkami „fechtując się” (trudno o

... i nikogo się nie boi

Pingwin nie boi się nikogo i niczego. Uważa on widocznie, że będąc sam bardzo pokojowo usposobionym stworzeniem, należą mu się takie same prawa od innych. Ta ich beztrwoniwość jak również nieodmienny zwyczaj powracania z łowów zawsze o tej samej porze i lądowanie zawsze na tym samym odcinku plaży sprawiły, że oglądanie ich powrotów stało się atrakcją dla turystów.

Na plaży było już chyba ze 100 widzów, wśród których naturalnie sporo dzieci. Prowadzeni przez przewodników, usiedliśmy po dwóch stronach „pingwinowej drogi”.

Zapadła cisza. Zrobiło się ciemno. Wieczór nadszedł ciepły, przyjemny; zaświeciły pierwsze gwiazdy. Zaśnił Krzyż Południa, ognistym mieczem skłonił się rycerz Orion, zapaliła się lampa Wenus. Ale oczy daremnie szukały niewidocznej po tej stronie świata Wielkiej Niedźwiedzicy.

Z budki na szczycie piaszczystej diuny błysnął reflektor, typną ślepiem, polizał piasek białym jeżorem i wyciągnął srebrne ramie w kierunku nadbiegających fal. Zaczął się przypływ.

Do pierwszego reflektora wkrótce przyłączył się drugi i dwa słupy światła jak dwie macki zaczęły się ślizgać po falach, dotykając je tu i ówdzie. I oto na grzbiecie jednej z fal coś się poruszyło, zaszamotało, zabłysło jak ryba w sieci. Fala przypadła pierśmi do piasku, rozsypując się w drobne bryzgi — i spośród nich



Koala — niedźwiadek, który na mięso nawet nie spojrzy — żywi się liśćmi eukaliptusa.

lepsze określenie tych pingwinowych pocałunków). Jeśli małżeństwo gnieździło się tu przednio, wówczas nad ranem samica prowadzi samca (tak) do tego samego miejsca, gdzie się gniazdo znajdowało w ub. roku. Gniazdo — to po prostu 70 cm głęboka norka, wygrzebana w ścianie piaskowego pagórka w ten sposób, iż przypomina swym kształtem retortę. Wejście znajduje się z reguły na odwrotnej stronie. Tam samica składa jedno, stosunkowo bardzo duże jajko, które potem na zmianę z samcem wysiadują.

Dlaczego te tak niezgrabne ptaki na lądzie czasem gnieździą się w odległości kilometra od morza — nie wiadomo. Spytajcie się pingwinów.

Po wylęgnięciu się pisklęcia rodzice pilnują go, zmieniając się co 24 godziny. Ptaki odżywiają się w tym okresie raz na dobę, bo przyniesione pożywienie idzie wprost do żołądka głodnego dziecka. Nie jest to przesada; rodzic pakuje swój długi dziób w wieczne otwarte dziób dziecka i „wstrzykuje” wprost do żołądka na wpół przetrawione ryby, które przyniósł w wolu. Ale pisklak rośnie niezmiernie szybko i jest ciągle i zawsze głodny; wkrótce więc oboje rodzice isć muszą na rybołówstwo, aby wspólnymi siłami zaspokoić krzykliwe apetyty swej latorośli. W tym czasie piskle jest już tak duże jak rodzice i ma ciało pokryte sterczącymi, białymi piórami, różniącymi się znacznie od stroju rodziców. Jest też potwornie tłuste i nieruchliwe, śpiąc cały dzień w norce. Pingwiny mało mają wrogów naturalnych, ale sprowadzone z Europy lisy i szcury dawały się im kiedyś we znaki. Dziś lisów na wyspie Filipa nie ma zupełnie, a szcury są rzadkim zjawiskiem.

zjawily się dwa pingwiny. Zatrzymały się na chwilę i wlokąc ciężko naladowane brzuszki podreptały poza zasięg wody. Światło reflektora wcale ich widać nie niepokoiło: po prostu zatrzymały się, jakby czekając na innych. Nazwałem je „rozpoznaniem”.

Naturaliści twierdzą, że przyczyną tego „rozpoznania” jest instynkt gromadny, który można zamknąć w określeniu: „Jeśli jest jakieś niebezpieczeństwo — niech zginie jednostka, ale niech się ocali gromada”. Zaobserwowano, że podczas ich pobytu na wodach Antarktyki pingwiny nigdy nie schodzą do wody gromadnie, ale czekają, aż jeden z nich wejdzie pierwszy. Czasem nawet popycha jeden drugiego, jakby mówiąc: „Jeśli ty pójdziesz, to i ja też pójdę”. Pod krami lodowymi Antarktyki często bowiem nie czeka ich jedyny prawdziwy wróg: lampart morski (gatunek drapieżnej foki). Pierwszy pingwin w wodzie jest również w takim wypadku pierwszą ofiarą albo „dzwonkiem alarmowym”. Na lądzie takie niebezpieczeństwo im nie grozi, ale widać pozostał instynkt atawistyczny, który ich krokami na ziemi kieruje.

Następna fala wysypała na brzeg całą gromadę pingwinów, chyba ze 30. Wyglądały naprawdę pociesznie: na swych krótkich nóżkach w stojącej postawie, były podobne do wytworów czarodziejskiej wyobraźni Walta Disneya. Odpoczęły kilkanaście sekund, zebrały się w grupkę — i jakby ktoś krzyknął na nie: „Marsz!” — zaczęły isć wzdłuż swej ścieżki, co prawda, nie bardzo w krok. Ich małe nóżki przebiebrały tak szybko, że były nieomal niewidoczne. Starły się widać dość jak najprędzej do swych gniazd, ale jak to się często zdarza, duch był ohochoy, ale ciało mde, a raczej — wyladowane rybkami — więc od czasu do czasu, to jeden, to drugi pingwin pada na noszek. Niektóre z nich, nie mogąc wstać, czolgały się po piasku używając pletw-skrzydła jak wiosła. Potem znów wstawały i energicznie podążały w swoją drogę.

Po dojeździe do pierwszych kępek traw zatrzymywały się na chwilę, a potem zniknęły dając do gniazd. A tymczasem, nowe i wciąż nowe gromadki lądowały na plaży, zawsze w tym samym miejscu, gdzie pierwsza grupa i operacja uciążliwego marszu powtarzała się w każdej grupie w taki sam sposób.

R. W. Valdan

NASZA SKRZYNKA

Szanowny Panie Redaktorze! Od dawna wędrowałem po globie w poszukiwaniu drugiego dobrego pióra oprócz „Widomości” londyńskich, lecz na próżno, aż nareszcie w dzisiejszej epoce można znaleźć na każde kiwnięcie palca kilkunastu chętnych do kieliszka, loterii lub wysięgów konych czy piasków. Trudniej słowo na obczyźnie, które jest jakby pancernem dla wychodźstwa polskiego. Mam również biagalną prośbę do Pana zaształa zdolność do wierzenia piórem po literaturze, aby również nie poskapił umieszczać w „Tygodniu Polskim” suchych felietonów tyczących wszystkich tematów. „Tygodniowi Polakom” żyję na razie milion nowych prenumeratorów oraz redaktorom, przez zapleczenie wiosem, dodatkowych sto lat pogodnego samopoczucia. Proszę o przyjęcie szczerych wyrazów szacunku i poważania. Jan Zuchowicz Wayatinah, Tas., Australia.

PODRĘCZNA ENCYKLOPEDIA wychodźstwa polskiego w Australii

„Anglo-Saxon Attitudes”. Tytuł powieści Angus Wilsona. (Por. Wielkanocne).

Cheik Andrzej. Zam. w Melbourne. Autor wierszowanej autobiografii „Pochwała grubych” (dla zmylenia śladów zadedykowanej Leopoldowi Muszkatowi. Por. Muszkat). Laureat „Kultury” (za „Smutny umiłek”). Laureat ostatniego konkursu „Widomości” (II nagr.). Redaktor „Widoków”, dodatku literackiego „Widomości”. „Widomości Polskich”. Twórca kabaretu artystycznego „Wesola Kookabarra” w Melbourne.

Dzięcioł Witold, ks. kanonik. Rektor Polskiej Misji Katolickiej w Australii, z siedzibą w Perth (Zach. Australia). Został mianowany pralatem papieskim.

Jasiński Zbigniew (por. Samotnik). Zam. w Griffith (N.P.W.). Laureat „Słowa Polskiego” w Toronto za „Pieśń o Powstaniu” (1954). Laureat R.W.E., konkursu na słuchowisko (1954, II nagr.). Laureat dorocznej nagrody A.K. (1957).

Konkurs literacki. Ogłosiło Polskie Kolo Kulturalno - Artystyczne w Sydney. Wpłynęły 3 prace... (Czyżby Wielka Trójka? Por.). Termin przesunięto o półtora miesiąca.

Kruszelnicki Ludwik. Zam. w Wollongong (N.P.W.). Laureat ostatniego konkursu „Widomości” (III nagr.).

Lowcy, nagród. (Patrz: Wielka Trójka). Maniak, teatralny. (Patrz: Muszkat).

Muszkat, Leopold. (Por. Maniak...), Największy (hm!) reżyser wśród kelnerów i najtęższy (hm!) kelner wśród reżyserów.

Ostrzeżenie (Por. Film — Ostrzeżenie). „Dramat młodych kobiet w szponach niedźwiadków...”. Zdemaskowanie metod międzynarodowych handlarzy kobietami... Wskazany tylko dla dorosłych, dzieci jedynie w towarzystwie opiekunów”. (Z reklamy przedwojennego filmu polskiego „Kobiety nad przepaścią” w tuższej prasie polskiej).

Samotnik, z Griffith. (Patrz: Jasiński).

Szemielni, Andrzej Rudolf, lat 42. Konsul reżymowy w Australii. Zmarł w Sydney w marcu br., w miesiąc po operacji na raka w Sztokholmie.

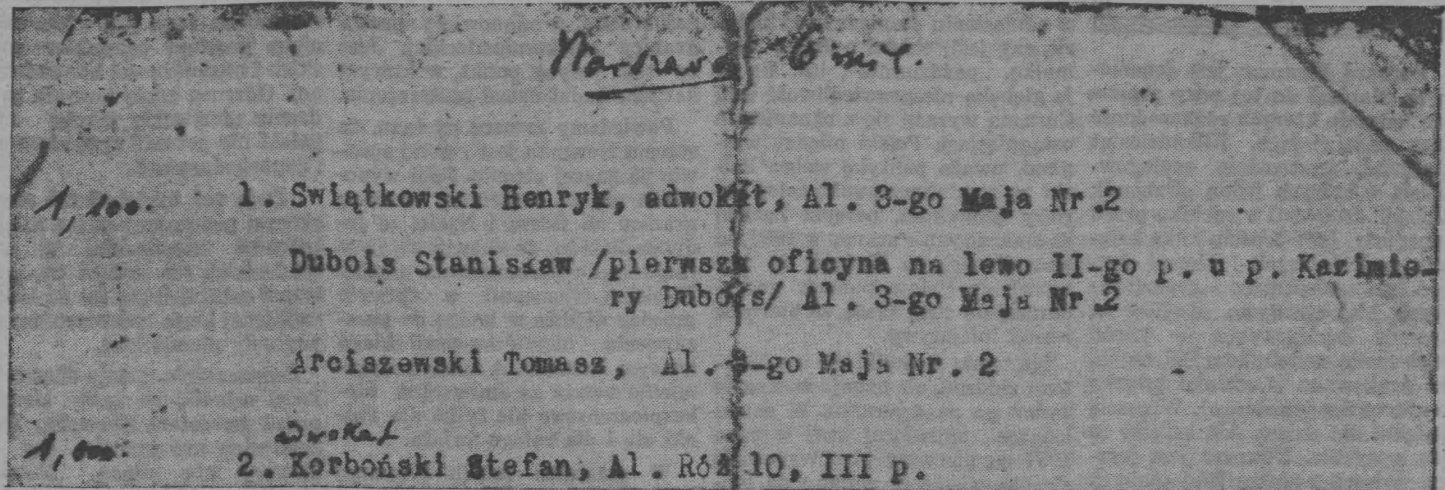
„Wielkanocne nadzieje na pokój”. (Por. Anglo-Saxon)... obserwując przebieg wydarzeń międzynarodowych na przestrzeni ostatnich lat i próbując przewidywać, jak będą się one kształtowały w ciągu najbliższych miesięcy — wydaje się, że istnieją rozsądne podstawy do twierdzenia, że światło przebija z ciemności”. „Ponad 2.000 Tybetańczyków zostało zabitych podczas rewolty przeciwko wojskom Chin komunistycznych w Lhasie. Rewolta, jak donoszą źródła chińskie, została „całkowicie zgniecioną”. (Tytuł i wyjątek z artykułu wstępnego oraz fragment depeszy Reutersa w wielkanocnym wydaniu sydneyjskiego „The Sun-Herald”).

Wielka Trójka. Patrz: Cheik, Jasiński, Kruszelnicki. R. G. (Copyright)

WYWIAD POLSKI ZARZUCA SIĘ NA MIKICIŃSKIEGO

PODWÓJNE ŻYCIE AGENTA

Poniższy dokument to wykaz nazwisk wybitnych osobistości politycznych w Polsce, którym za pośrednictwem Mikicińskiego prof. Kot wysłał pewne sumy w dolarach (wypisał je ręka przed nazwiskami). W ten sposób — nim jeszcze uformowało się kierownictwo Polski Podziemnej — Niemcy znali już jego skład i wcieli o kontaktach z Londynem.



(Reszta osób wymienionych w dokumencie: lub Kosmowska Irena, ul. Nowogrodzka 42. 3. Świętochowski Ryszard, u pp. Czajkowskich, Marszałkowska 61, II p. lub Dr. Kramsztyk Stefan, ul. Sniadeckich 8. — 1.000 dol. 4. Kwiciński Franciszek, ul. Marszałkowska 76 m. 10 lub Ks. Kaczyński, ul. Kanonia Nr. wg. telefonu — 400 dol. 5. Bożęcki Marian, adwokat, Konsulat Portugalski, ul. Lwowska I. IV p. lub Ks. Kaczyński, — 500 dol. 6. Prof. Krokiewicz Adam, ul. Brzozowa 10, parter, lub Prof. Tretiak, ul. Nowy Zjazd 5. II p. — 1.000 dol. 7. Hanna Demidecka, Kruca 5 lub Stanisł. Piasecki, Książęca 2 — 1.000 dol.)

Drukujemy następną, drugą część pasjonującej historii Mikicińskiego, agenta, który służył Polakom i Niemcom. W poprzedniej części była mowa o kilku wyprawach Mikicińskiego do Kraju na zlecenie władz rządu polskiego w Londynie.

Niemcy zrobili w połowie maja 1940 nalot na opustoszały zresztą — lokal poselstwa chilijskiego przy ul. Frascati. Przeprowadzono rewizję, której nadano wielki rozgłos; pytano o Mikicińskiego, przesłuchiowano służbę. „Szmatławce” (tak popularnie nazywano okupacyjną prasę niemiecką) zamieściły o tym obszernie notatki z sensacyjnymi tytułami.

Z dumą wydył Mikiciński swą pierś ozdobioną insygniami jednego z najwyższych polskich odznaczeń, gdy stał w gronie zagranicznych dyplomatów w Angers w czasie uroczystości 3-ciomajowych. Z godnością przyjmował gratulacje za tak ofiarne zdobyte wyróżnienie. Tylko parę osób, biorących udział w uroczystościach, wiedziało, jakie są kulisy tego odznaczenia. Zdumiewające są warunki, w jakich odbywała się podówczas współpraca poszczególnych członków polskich władz naczelnych we Francji.

BANK — PULAPKA

Zamiast do Polski Mikiciński zbaczając z drogi i zatrzymując się na krótko w Rzymie wyjechał z końcem maja do Bukaresztu i ożywił działalność swojej bazy — konspiracyjnego „banku”. Napływali jeszcze ciągle nowi klienci, bo chociaż wydręnowano już posiadane złotówki, a Niemcy unieważnili je w Polsce i wprowadzili „młynarki”, niemniej niektórzy uchodźcy mieli dolary i inną walutę, wielu też wyzybało się kosztowności by pomóc rodzinom w

czuwał nad tą stroną działalności bazy. Zwerbowanych przez bazę „pracowników” notowano w polskiej placówce wywiadowczej i w ślad za wyjeżdżającymi powiadamiano o tym władze bezpieczeństwa w Palestynie i w Egipcie.

nia i tam zdobył status dyplomatyczny, jako jeden z członków poselstwa chilijskiego w Ankarze. Krażył między Bukaresztem — Sofią — Stambułem i Ankarą.

głości, jakie potrafił rozwinąć w prowadzeniu każdej, ciekawej sprawy. A ostatnio powierzona mu była przecież pasjonująca. Ambicją jego było nie tylko ogra-

ła się jego względami; każdą inną poświęcał, gdy mógł spędzić wieczór w jej towarzystwie. Szarkiewicz nie żądał od Camille wyczynów wywiadowczych. Miała ona tylko roztoczyć opiekę nad swoim przyjacielem i raportować o jego zamiarach, podróżach, osobach, które spotyka o trybie jego życia. Choćby tylko z samej troskliwości o niego, bez naruszania ich przyjacielskiego stosunku i bez wyrzutów sumienia mogła spełniać tę rolę. I spełniała ją rzetelnie. O każdym kroku Mikicińskiego, znanym Camille, wiedział i Szarkiewicz.

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

BLISKI WSCHÓD

Gdy na Bałkanach zaczęło się

Nawiązał stosunki ze światem dyplomatycznym, a z niemieckim ambasadorem w Turcji von Pappenem zawarł serdeczną przyjaźń. Bywał częstym gościem na oficjalnych przyjęciach w wielu ambasadach. Stał się jednym z najruchliwszych dyplomatów.

nienie szkodliwej działalności bazy Mikicińskiego, ale pochwycenie go wraz z całą szajką.

W ciągu lata 1940, gdy Mikiciński zakładał podwaliny swojej bazy w Turcji i umacniał tam swoje pozycje, Szarkiewicz rozwijał swój plan. Mikiciński zdawał sobie sprawę, że był obserwowany. Nie przypuszczał jednak, że zarzuceno wokół niego tak gęstą sieć. Obie strony miały zresztą równe szanse. Zarówno tropiony jak i myśliwi działali na terenie neutralnym. Mikiciński, chroniony swoim statusem dyplomatycznym, był może nawet w korzystniejszej sytuacji. W razie zagrożenia Mikiciński miał wszelki tytuł do wezwania pomocy miejscowych władz bezpieczeństwa.

Polska placówka wywiadowcza w Bukareszcie przyjęła również ugrupowanie „w głąb” na wypadek, gdyby Rumuni zmusili ją do zwinienia działalności. Założyła swoje filie w Turcji i w Palestynie. Wydzielony specjalny zespół pod kierownictwem por. Edwarda Szarkiewicza miał zadanie obserwowania działalności Mikicińskiego.

Plan Szarkiewicza, by Mikicińskiego sprowadzić podstępem lub przemocą z państwa neutralnego na teren pod władaniem sprzymierzonych — zatwierdzono w polskiej placówce wywiadowczej.

W jesień 1940 sytuacja uchodźców polskich w Rumunii stała się nieznosna wobec wzmagających się ostrzeżeń, stosowanych pod naciskiem Niemców. Większość uchodźców wyjechała do Palestyny i do Egiptu. Toteż i dyrekcja konspiracyjnego „banku” postanowiła przesuwać tam swoją działalność. (Ciąg dalszy nastąpi)

To nowe ugrupowanie polskiej placówki wywiadowczej okazało się praktyczne, gdyż władze rumuńskie w drugiej połowie listopada 1940 zmusiły ją do opuszczenia Rumunii. Doszło nawet do aresztowania szefa placówki i kilku pracowników, których zwolniono dopiero w kilka miesięcy później po energicznych interwencjach. Ale zespołu Szarkiewicza, działającego już w Turcji, aresztowania nie objęły.

Szarkiewicz zapewnił sobie współdziałanie brytyjskich władz bezpieczeństwa na Bliskim Wschodzie i przystąpił do przygotowań, zachowując najściślejszą tajemnicę.

Copyright by A. Heller. The Polish Daily

Por. Szarkiewicz, oficer rezerwy, drobny, niski blondyn o niebieskich pogodnych oczach, z zawodu finansista nie zdradzał zewnętrznie zawziętości i przebie-

KOBIETA

Przez sieć werbunkową konspiracyjnego „banku” Szarkiewicz podstał Mikicińskiemu swoich ludzi, którzy „dali” się namówić do pracy na rzecz bazy. Jednego z nich, podoficera „X”, najsprytniejszego wybrał jako przynętę dla pochwycenia dyrektora „banku” w miejscu i w czasie upatrzonego.

A. Heller

13.5.40
Słuz. Substancji,
proszę list ten doręczyć w sposób absolutnie pewny
pewny Disizj.
Gdy p. Mikiciński miał jakikolwiek wątpliwość, proszę by się tu z mną połączył telefonicznie dnia do 8-mej godziny na Residence du Conseil

Drugi pułkownika, przez którego prof. Kot przekazał „w sposób absolutnie pewny” instrukcję (jej fotograficzną odbitkę zamieszczamy niżej na tej samej stronie) nie zdołaliśmy stwierdzić.

kurczyć pole do działania, a jednocześnie na Bliskim Wschodzie otwierały się nowe możliwości — dyrektor konspiracyjnego „banku”, a zarazem szef bazy przystąpił do przesunięcia jej na ten interesujący teren operacyjny.

Wewnątrz finansista nie zdradzał zewnętrznie zawziętości i przebie-

Ażeby mieć kontrolę nad poruszeniami Mikicińskiego, Szarkiewicz uciekł się do często stosowanego chwytu. Stambuł — perła Lewantu — słynął z pięknych kobiet. Mikiciński nie gardził ich towarzystwem. Szczególnie powabną mademoiselle Camille cieszy-

siatków rodaków w Kraju — indywiduum to pozostanie — wbrew wszelkiej logice — zaufanym powiernikiem swego mocodawcy.

Kraju, którym dawała się we znaki coraz większa bieda. Działalność finansowa „banku” trwała więc nieprzerwanie.

Swoją „Kwaterę Główną” założył w neutralnej Turcji. Dla uzyskania większej swobody działa-

PRZEGRUPOWANIE

Piąta z kolei misja Mikicińskiego do Polski, przewidziana w maju 1940, nie doszła do skutku, chociaż prof. Kot wydał wszystkie co do niej zlecenia (odbitki fotograficzne 2-ch listów). Powodem tego nie był jednak pech, jaki przynieść mogła feralna data na zleceniach, gdyż były one datowane 13-go maja, lecz zdecydowała w tym wypadku wola rzeczywistych mocodawców Mikicińskiego.

W działalności „banku” często powstawały trudności; niektóre przesyłki nie docierały do adresatów w Polsce, powodowało to niezadowolone i skargi klientów, ale poszkodowani, zaangażowani w nielegalne transakcje, nie mieli drogi dla dochodzenia swoich pretensji.

Szanowny Panie. 1. Proszę sobie zapisać nazwisko p. Wincentego Bryli (Bryla). W-wa. Przemysłowa 28; jemu należy wręczyć 100 tysięcy a nadto jego można obciążyć rozdawnictwem wszystkich sum dla urzędników Banku Polskiego. 2. Proszę wszystkie zbadać w sprawie pani Mikolajczykowej i pomóc ile można (jeśli w Krakowie, przez Mierzwę; jeśli w Warszawie to przez kogoś Pan potrafi); przed odjazdem proszę o wiadomość, czy Pan rozmawiał z p. Gano i z jakim rezultatem (to mi potrzebne z powodu Pana) nadto: kto wie o tym, że Pan będzie teraz w Kraju. Życzę powodzenia w drodze i pozdrowienia łączę, proszę zaś o CZESTĘ wiadomości. St. K.

Droga przez Belgię była już zamknięta wobec napaści niemieckiej na ten kraj. Mikiciński miał więc jechać przez Szwajcarię i Austrię. Ale ani takie czy inne zlecenie prof. Kota, ani pozorna pochyłość Mikicińskiego do usług nie miały przeciw żadnego znaczenia. Decydowały interesy niemieckie i one to wytyczały szlaki podróży Mikicińskiego.

Na pokłeskowych nastrojach uchodźstwa można było zerować. Odżywały zadawnione urazy, poszukiwano porachunków za dawne choćby urojone krzywdy, w beznaście uchodźczej doli, szczególnie po klęsce Francji, szukano sposobów polepszenia bytu. Zadaniem konspiracyjnych bankowców było wylawianie spośród klientów, rozżalonych na „polskie porządki”, kandydatów do właściwej pracy na korzyść bazy. Ostateczne urobienie kandydata i danie mu zadania miało załatwiać sam szef bazy — dyplomata chilijski.

W międzyczasie sytuacja w Rumunii uległa zmianie. Mimo życzliwego stosunku do uchodźców polskich — gospodarze — pod naciskiem Niemców musieli za-

KOMEDIA

Drugim powodem powstrzymania się Mikicińskiego od wyjazdu do Warszawy były jego obawy, że był już „spalony”. Dowiedział się niewątpliwie o wysuwanych pod jego adresem podejrzeniach i powiadomił o tym swych niemieckich mocodawców. Trzeba było więc osłabić podejrzenia i odbudować zaufanie Polaków.

Między wyjeżdżającą bazą starała się wcisnąć swoich „przedstawicieli”. Zaufany polskiej placówce wywiadowczej w Bukareszcie, pracownik konspiracyjnego „banku”

Oto tekst instrukcji prof. Kota dla Mikicińskiego. W instrukcji prócz Wincentego Bryli, wybitnego działacza ludowego wymieniona jest również pani Mikolajczykowa. Wydaje się, że chodziło o umożliwienie jej wyjazdu z Polski. Mikiciński specjalizował się w ułatwianiu wyjazdów na Zachód. Wspomniana jest również nazwisko plk. Gano, który podczas wojny był szefem II oddziału sztabu. Prof. Kot zapytuje czy Mikiciński „rozmawiał z p. Gano i z jakim rezultatem”.

13.V.40
Lubomir Ganie,
1. Proszę sobie zapisać nazwisko p. Wincentego Bryli (Bryla) W-wa. Przemysłowa 28; jemu należy wręczyć 100 tysięcy a nadto jego można obciążyć rozdawnictwem wszystkich sum dla urzędników Banku Polskiego. 2. Proszę wszystkie zbadać w sprawie pani Mikolajczykowej i pomóc ile można (jeśli w Krakowie, przez Mierzwę; jeśli w Warszawie to przez kogoś Pan potrafi); przed odjazdem proszę o wiadomość, czy Pan rozmawiał z p. Gano i z jakim rezultatem (to mi potrzebne z powodu Pana) nadto: kto wie o tym, że Pan będzie teraz w Kraju. Życzę powodzenia w drodze i pozdrowienia łączę, proszę zaś o CZESTĘ wiadomości. St. K.

IDEE
LUDZIE
ZDARZENIA

Bernard Newman — szczerzy nasz przyjaciel

Autor 100 książek (w tym 4 o Polsce)

Bernard Newman jest fenomenem. Napisał do tej pory prawie sto książek, których różnorodność jest zadziwiająca. Kilkadziesiąt powieści, przeważnie szpiegowskich, z których jedną „Dziennik Polski” drukował w odcinku przed paru laty. Dwadzieścia kilka książek podróżniczych i niemal drugie tyle podróży — reportaży, historycznych, studiów na tematy szpiegowskie — wśród nich znana czytelnikom Dziennika, bo drukowana w odcinku książka o aferze Sosnowskiego. Wreszcie książki dla dzieci. Ale książki to nie wszystko. Newman jest jeszcze jednym z najbardziej znanych i popularnych prelegentów i bez przerwy jeździ po W. Brytanii z odczytami.

Jego żywotność, przedsiębiorczość i wytrzymałość są niezwykłe. Jest zawsze pogodny, pełen humoru, umie od razu zdobyć sobie zaufanie każdego. Dawniej najchętniej jeździł rowerem, całą Polskę w ten sposób objechał przed 25 laty, z czego zrodziła się jego

w odniesieniu do niedawnej historii, czy jeśli chodzi o Jaltę, Gomułkę, „październik”, itd. Uznaje głęboką niesprawiedliwość linii Curzona wyraża się z uznaniem o osiągnięciach Polski między wojnami, uważa politykę wobec Polski za najłabszy punkt całej kariery Churchilla, potępia Zachód za zmarnowanie szansy w 1956, za uznanie reżymu Kadara, za nieudzielenie Polsce pomocy gospodarczej na dużą skalę, za bierność i brak inicjatywy.

Na temat Gomułki nie ma Newman złudzeń, ale uznaje znaczenie zmian po październiku. W samej książce opisującej kraj w roku 1957 na pierwszy plan wysuwają się oczywiście te zmiany na lepsze, ale ich ograniczony zasięg jest w pełni uwypuklony. W dopisku z 1958 r. ukazuje Newman odwrót od października. Notuje przy tym powiedzenie jednego z rozmówców: „Wracamy do roku 1956... Partia z każdym dniem zbliża się do ortodoksyjnego marksizmu w interpretacji Moskwy. Jaką szansę straciliśmy! I wy także!”

najbardziej, a mianowicie sprawa granicy polsko-niemieckiej. Jest to też jedyny punkt, w którym książka budzi nasze zastrzeżenia.

Powiedzmy zresztą od razu, że sercem Newman jest i w tej sprawie po naszej stronie. Jeśli wyowiada się za częściową zmianą granicy na Odrze i Nysie, to jedynie dlatego, że obawia się iż w razie braku porozumienia między Polską a Niemcami w sprawie granicy dojdzie w końcu do porozumienia niemiecko-sowieckiego naszym kosztem. A takie porozumienie uważa za śmiertelne niebezpieczeństwo nie tylko dla Polski ale i dla całego świata.

W ostatnich latach Newman jeździł dużo po Niemczech i był pod wrażeniem nasilenia propagandy rewizjonistycznej. Dlatego uważa za „niebezpieczne złudzenie” panujące na Zachodzie opinie, że jeśli sprawa granicy będzie dostatecznie opóźniona, to załatwi się sama przez się, gdyż Niemcy pogodzą się z linią Odry i Nysy. Jego zdaniem dążenie do odzyskania utraconych ziem jest w Niemczech powszechne i bardzo głębokie i że „wszelki przyszły Hitler mógłby podburzyć Niemców po prostu wymachując mapą”. Nawet obecni umiarkowani przywódcy niemieccy nie ośmielają się uznać publicznie granicy bo gdyby to uczynili, „oburzone masy przepędziłyby ich od władzy”.

Nie wydaje się to ściśle. Myślę, że jeśliby dziś Adenauer wyraził gotowość uznania granicy na Odrze i Nysie pod warunkiem, że jednocześnie Niemcy zostałyby zjednoczone, to poza paru działaczami uchodzącymi mało kto protestowałby. Jeśliby mocarstwa zachodnie wypowiedziały się zdecydowanie na rzecz granicy, to opinia niemiecka pogodziłaby się z losem.

WRAŻENIA Z ZIEM ZACHODNICH

W Polsce Newman objechał Śląsk i Mazury i Warmię, był w Szczecinie i we Wrocławiu, rozmawiał z chłopami, profesorami, z autochtonami i Lwowiakami, studiował statystyki i oglądał gospodarstwa. Wyraźnie jest pod

wrażeniem tego jak wiele osiągnięto pomimo rabunków rosyjskich i niedołężności komunistycznej. Odrzuca zdecydowanie twierdzenia niemieckie jakoby naród polski nie potrafił tych ziem użyć i zagospodarować.

Daje też czytelnikowi angielskiemu pouczający obraz ucieczki ludności niemieckiej z ziem wschodnich na zachód do 1939 r., zadającej kłam twierdzeniom propagandy niemieckiej.

Jednocześnie notuje obawy ludności osiadłej na tych ziemiach przed powrotem Niemców. Wciąż zadawano mu pytanie, czy aby Niemcy nie wrócą. Niemniej stwierdza obiektywnie, że ludność tych ziem uważa ich przynależność do Polski za trwałą. Wyjątkiem są, według niego, ziemie Dolnego Śląska między Nysą Łużycką a Odrą i Nysą Kłodzką: twierdzi że ziemia kosztuje tam o połowę mniej, niż na prawym brzegu Odry.

OSTRZEŻENIE DLA ZACHODU

Za charakterystyczną dla nastrojów społeczeństwa polskiego uważa Newman wypowiedź pewnego młodego oficera, z którym rozmawiał w pociągu na Ziemiach Zachodnich. Pod koniec rozmowy, w której oficer nie krył się z wrogiem stosunkiem do Rosji, wywiązała się taka rozmowa:

„Niech pan nie odpowiada jeśli nie ma pan ochoty — powiedziałem do młodego oficera. — Ale jeśli doszłoby do wojny między nami a Rosją, czego zresztą nie oczekuję, to jaka byłaby postawa wojska polskiego?”

„Na to łatwo odpowiedzieć. Większość oddziałów przeszłaby na naszą stronę, ale pod jednym warunkiem. Jeśli Brytyjczycy i Amerykanie przyszlizną tu, to znaleźliby wielu przyjaciół w Polsce. Ale jeśli przybyli tylko do siebie, to stawią nam opór. Żaden Polak nie chce już nigdy oglądać Niemca w swej ojczyźnie. To jest największy atut Rosjan wobec nas”.

DOLNY ŚLĄSK ZA... LWÓW

Newman twierdzi, że choć wszyscy Polacy zapewniali go iż nigdy nie zgodzą się na żadną zmianę granicy, to jednak na pytanie czy wolał kompromis czy też wojnę, dostawał tylko jedną odpowiedź. Wolno się domyślać, że — kompromis. Przede wszystkim jednak wypowiada się z nim sam Newman, uważając, że sprawa granicy może doprowadzić do wojny światowej.

Kompromis miałby jego zdaniem

w postaci zwrotu przez Rosję Lwowa: Jeśli przywódcy sowieccy tak pragną pokoju, jak to głoszą, to uczynią ten gest, którego efekt nie pozostawałby w żadnej proporcji do wartości gospodarczej tego obszaru”. Newman zapewnia, że nie ulega pokusie pobożnych życzeń. Twierdzi, że słyszał w Polsce pogłoskę jakoby Chruszczow powiedział Cyrankiewiczowi, że rewizja granicy wschodniej jest możliwa, co jego zdaniem mogłoby dotyczyć jedynie Lwowa... Chruszczow — pisze — powinien skorzystać z takiej okazji zyska-



BERNARD
NEWMAN
W MALBORKU
PO PODRÓŻY
ROWEREM
PO POLSCE
W 1934 R.

W poniedziałek 20 kwietnia o godz. 7.30 w Instytucie im. Gen. Sikorskiego, 20, Princes Gate, S.W.7. odbędzie się staraniem Związku Dziennikarzy R.P. publiczna

KONFERENCJA PRASOWA

na której autor książki „Portrait of Poland”, znany pisarz i podróżnik

BERNARD NEWMAN

odpowiadać będzie na pytania grona dziennikarzy polskich i publiczności.



Bernard Newman (w środku) z głównymi aktorami filmu VI o wykradzeniu tajemnic bomb latającej przez żołnierzy A.K.

pierwsza książka o naszym kraju pt. „Pedalling Poland”. Dziś pomimo lat bezmała sześćdziesięciu dalej często pożyczka rower by zachęcać niespodziewanie do takiej czy innej wsi polskiej czy rosyjskiej. Można sobie wyobrazić jaką sensację budzi cudzoziemiec zjawiający się w zapadłej wsi na rowerze!

Newman nie pomija żadnego aspektu sprawy polskiej, ale bodaj jedno zagadnienie pasjonuje go

4 KSIĄŻKI O POLSCE

Iość książek poświęconych Polsce i sprawom polskim dowodzi, że choć interesują go wszystkie kraje świata, Polska pociąga go specjalnie. Po wspomnianej już książce „Rowerem po Polsce” przyszła w 1939 popularna historia Polski dla szerszej publiczności pt. „Story of Poland”, następnie, wkrótce po wojnie, głośna książka „They saved London” — o wykradzeniu przez Armię Krajową tajemnic bomb latającej — na podstawie której zrobiony został w ub. roku film o „VI”. Jedną z pierwszych podróży po wojnie zaprowadziła Newman’a do Polski w 1945 z czego zrodziła się książka „Russia's Neighbour — the New Poland”.

Nie zyskał nią sobie sympatię u komunistów i przez długie lata nie mógł marzyć o podróży do Polski. Po „październiku” wznowił starania, ale pomimo listów do Gomułki, rok musiał czekać na wizę. Z podróży w lecie 1957 zrodziła się najnowsza książka o Polsce p. t. „Portrait of Poland”, a krótki pobyt w lecie 1958 w drodze powrotnej z ZSSR pozwolił na zaktualizowanie reportażu przez postscriptum.

Tytuł w pełni odpowiada treści. Jest to rzeczywiście portret Polski, — jej historii, jej oblicza dzisiejszego i jej problemów.

Dla czytelnika angielskiego jest to chyba najlepsza rzecz o Polsce jaka się w ostatnich latach ukazała. Dla czytelnika polskiego jest to szansa spojrzeć na dzisiejszą rzeczywistość w Kraju ze wszystkimi jej światłami i cieniami. Fakt że nie ze wszystkimi konkluzjami autora możemy się zgodzić, nie umniejsza w niczym wartości jego książki.

BEZ ZŁUDZEŃ

Przeważnie zresztą oceny Newman godzą się z naszymi, czy to

Korespondent 'TYGODNIA' Z BERLINA pisze

BERLIN w kwietniu Tytuł gości z NRF i innych krajów zachodniej Europy oraz z Oceanu przybyło w okresie świątecznym do zachodniego Berlina, że w hotelach i pensjonatach zabrakło miejsc. I to wszystko — pomimo pogroźek Chruszczowa i wojny nerwów, prowadzonej przez Pankow, stolicę komunistycznych Niemiec Wschodnich.

Pankow prowadzi tę wojnę w dwojaki sposób: po pierwsze szery fantazyjne plotki, a po drugie agenci wschodnio-niemieccy urządzają psie figle — panu Müllerowi np. zamawiają karawan, panu Mayerowi „przysyłają” nie zamówiony przez niego towar, a do innego znowu Mayera zgłasza się pogotowie szpitalne, chcąc go zabrać na operację wyrostka robaczkowego; kiedyś indziej panią Fritsch zawiadania telefonicznie jakaś nieznaną jej Frau, że pan Fritsch flirtuje z jakąś lafi-ryndą i traci na nią tysiące marek.

Honor „wyspiarzy”

Tysiące tych figlowych komunikatów uprzykrza życie, ale nie wyprowadza z równowagi „wyspiarzy” berlińskich, gdyż jak w kabarecie politycznym „Günther Neumann und seine Insulaner” śpiewają: „denn Insulaner vierliert die Ruhe nicht... und hofft, dass einmal seine Insel schönes Festland wird“ (gdyż wyspiarz nie traci spokoju i ma nadzieję, że kiedyś jego wyspa będzie pięknym lądem stałym).

Plotki są różne. Np. wschodnio-niemiecka prasa twierdzi, że dziesiątki tysięcy Niemców wyprowadza się z zachodniego Berlina do NRF, ze strachu.

A jak się przedstawia sprawa w istocie?

W styczniu rb było 270 przeprowadzek z zach. Berlina do NRF, w lutym — 370, w marcu — 440.

Wzrost, prawda, ale cóż znaczy 440 przeprowadzek dla miasta liczącego 2,2 miliona (zach. Berlin)? Nie poszczególne wypadki, ale ogólny nastrój dowodzi, jak berliń-

Berlińczycy gwizdzą na Nikitę

czyty ze swym dzielnym burmistrzem, Willy Brandtem reagują na pogroźki Chruszczowa, że wyrwie zachodni Berlin z politycznej i gospodarczej jedności z NRF.

Dzień jak co dzień

Rozpoczynające się 11 maja rokowania, w wyniku których mogą zapadć decyzje w sprawie Berlina, nie przejmują zbytnio berlińczyków. Planują oni obecnie wyjazdy na wakacje letnie, jak we wszystkich innych krajach.

Gospodynie nie robią specjalnych zapasów. Spizniamy ich są tak pełne, czy też tak pustawe, jak zawsze.

Tylko senat berliński jest przeczorny i zwiększył założone przed laty i planowo stale odnawiane zapasy środków żywności, a góry węgla na placach rosną z dnia na dzień. Trzeba być bowiem przygotowanym na każdy możliwy wypadek, także na nową blokadę, aczkolwiek poważnie nikt się z nią nie liczy.

Finanse i nieruchomości

Szary człowiek w zach. Berlinie troszczy się nie o spizniamie, lecz o portfel. W ostatnich tygodniach kasy oszczędności po raz pierwszy nie miały nadwyżek. Wielu berlińczyków woli mieć w kieszeni lub w biuźniarce kilkadziesiąt marek gotówki „na wszelki wypadek”, a niektórzy składają na książeczkę „PKO”. Poczciwa Kasa Oszczędności przeżywa „boom” — w samym tylko lutym zachodni berlińczycy wpłacili 12 milionów DM na PKO (zapewne pamiętają zamknięcie wypłat w innych berlińskich kasach oszczędności w pierwszych latach powojennych).

W porównaniu z okresem blokady 1948-49 berlińczycy ma dziś wiele do stracenia i wie, że w razie zakłócenia obiegu gospodarczego Berlin — NRF musi się liczyć z dotkliwymi ciosami finansowymi, które dotkną każdego. Dysponuje więc bardziej przeczornie niż zazwyczaj, a dwa razy się zastanawia zanim cocej niż w tymże miesiącu r.ub.

kupi dla domu i woli odłożyć sobie gotówkę „na wszelki wypadek”.

Pojawiają się, ale nie w przesadnej ilości, ogłoszenia, dotyczące sprzedaży nieruchomości. Wyjątkiem było tego rodzaju ogłoszenie: „Dom jednorodzinny — Dahlem, trzy pokoje z przedpokojem, kuchnią i łazienką — budowa z r. 1954 — z wszelkim komfortem, w maju do objęcia, cena sprzedaży poniżej 25 proc. kosztów własnych”.

W styczniu i lutym robiliśmy najlepsze interesy, od 10 lat — powiedział pewien makler nieruchomości. — Obiekty wartości do 50 tys. DM kupowano jak świeże bułki. Trudniej było sprzedać luksusowe wille powyżej 100 tys. DM.

W marcu rb. dwa wielkie gmachy w nowej dzielnicy Hansa znalazły nabywców, a dwie zagraniczne firmy i jedna zachodnio-niemiecka kupiły właśnie teraz przy Kurfürstendamm milionowej wartości place budowlane, które już od dłuższego czasu były na sprzedaż.

— Nie trzeba się bać — powiedział właściciel nowozbudowanego kiosku gazetowego przy Kurfürstendamm. — Berlińczycy są bardziej odporni niż ci „tam” sądzą — wskazał palcami na wschód.

Gwarancje

Szary człowiek ma oczywiście mniej zmartwień niż „góra” Berlina i burmistrz Brandt.

W ostatnim roku NRF wpompowała 2 miliardy DM w Berlin zachodni w subwencjach w ramach ogólnej akcji pomocy.

Gwarancje NRF dla dostaw firm berlińskich do NRF zostały wspinałomyslnie rozszerzone. Zamówienia NRF, jej krajów oraz przedsiębiorstw państwowych zostały w zwiększonej mierze skierowane do Berlina zachodniego.

Wywarło to korzystny wpływ na życie gospodarcze Berlina. Po przejściowym spadku zamówień w styczniu, w lutym już było ich więcej niż w tymże miesiącu r.ub.

Także najbardziej miarodajny barometr berlińskiej sytuacji gospodarczej — rynek pracy — wykazuje normalną tendencję zwykłą jak co roku o tej porze. Tym niemniej należy pamiętać, że wskutek podziału Niemiec co 9 berlińczyk jest jeszcze dziś bezrobotny.

Na zakończenie wypadałoby chyba wspomnieć o lokalach rozrykowych i „Nitribittkach” berlińskich.

Nie każdy czytelnik pewnie wie co to znaczy ten wyraz, twór niemieckiego „cudu gospodarczego”. Przed dwoma laty zamordowano we Frankfurcie „dame” z półwiatka, Rosemarie Nitribitt, która po dwóch latach „pracy” w swym fachu pozostawiła w spadku na koniec bankowym przeszło 100 tys. marek, luksusowe mieszkanie, samochód „Mercedes 320” i biużuterię. Mordercy dotychczas nie ujęto. Klienci zamordowanej byli tak różni i tak nieraz wysoko postawieni, że policja ma bardzo trudne zadanie.

Takie luksusowe damy są także w Berlinie, ale w znikomej liczbie, bo berlińczyk jest oszczędny, rozważny i rodzinny. „Damy” przyjeżdżają więc na krótkie występy z okazji jakichś zjazdów czy wystaw i więcej, ale nie z obawy przed politycznym kryzysem maja, lecz z powodu złych interesów.

Berlin wprowadził odbudował się i jest dziś wspaniałym nowoczesnym miastem — ale na rozpusztę berlińczyków nie stać. Toteż i lokali nocnych jest procentowo mniej niż w innych miastach NRF.

Za to berlińczycy masami pijają kawę. Moja znajoma zakłada w jakiejś dziurze kawiarenkę „Expresso” — koszt 18 tys. DM. Nic sobie nie robi z terminów Chruszczowa, które przestały być postrachem dla berlińczyków, nie tracąc humoru i wigoru — pomimo wszystko.

Zorganizowany w czasie blokady 1948-49 kabaret polityczny „Günther Neuman und seine Insulaner” nieraz jeszcze zepsuje humor władcom z Pankow i ich protektorom.

nia przyjaźni Polaków przez oddanie Lwowa.

Załatwienie sprawy granicy uważa Newman za warunek wszelkiego szerszego układu, owiązującego sprawę narodów Europy wschodniej przez oderwanie się o-bu bloków i ustanowienie pasa neutralnego. Jeśli nie dojdzie do porozumienia między Polską a Niemcami, to prędzej czy później nastąpi zbliżenie niemiecko-sowieckie. „Idea nowego paktu niemiecko-sowieckiego nie jest bardziej fantastyczna niż był pakt Stalina z Hitlerem” — pisze Newman dodając, że jest to zmorą każdego myślącego Polaka.

Niewątpliwie. Ale niebezpieczeństwo takiego paktu może być zażegnane tylko jeśli silna Polska, powiązana z innymi państwami tego obszaru, rozdzieli Niemcy i Rosję. A utrzymanie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej jest warunkiem by Polska, po odzyskaniu wolności, była silna.

PROBIERZ

Swoją książkę Newman kończy cytując ostatnich słów książki o Polsce z 1939 r.: „Będziemy wiedzieli czy wygraliśmy wojnę, na podstawie tego co się stanie z Polską”. I dodaje: „Jakże słusznie nie widzę powodu by zmienić moje zdanie”.

A swój dopisek z 1958 roku kończy twierdzeniem, że wracał do Anglii z niepokojem w duszy. „Polska nie może opierać swych nadziei na swoich własnych wysiłkach. Póki problem granicy na Odrze i Nysie nie jest ostatecznie załatwiony nie może być prawdziwego pokoju w Europie. A dopóki Polska nie może decydować o swej przyszłości nie może być sprawiedliwości w świecie”.

Raczej należałoby powiedzieć, że nie może być ani pokoju ani sprawiedliwości, dopóki Polska i inne kraje tego obszaru nie będą mogły decydować o swym losie.

Książka Newmana powinna przyczynić się do zrozumienia tej prawdy.

*) PORTRAIT OF POLAND. By Bernard Newman, Robert Hale. Liczne ilustracje. Cena 15s.

Aleksander Bregman
T.R.

Jak z Florydy NA Księżyc STRZELANO — 94 LATA TEMU

Któż z nas za młodu nie pasjonował się powieściami Francuza, Juliusza Verne, pioniera utworów fantastyczno-naukowych, autora, który



JEDEN TYLKO CZŁOWIEK NA ZIEMI NIE TRACI NADZIEI...

w XIX w. przepowiedział okretę podwodne, samoloty, telewizję i podróże kosmiczne?

Sledziliśmy przygody tajemniczego kapitana Nemo i innych bohaterów jego licznych powieści. I dziś choć upłynęło niemal sto lat od wydania jego powieści, książki Vernego są nadal drukowane i chętnie czytane nie tylko przez młodzież, ale także przez starszych.

Szczególnej aktualności nabiera w dzisiejszych czasach prób wystrzelenia rakiety na księżyc książka Vernego „Z ziemi na księżyc” (De la terre à la lune), wydana drukiem w r. 1865 a więc 94 lat temu. Dla tych, którzy kiedyś czytali tę książkę a może zapomnieli jej treść, podajemy streszczenie, aby mogli osądzić jak dalece Verne przewidział w r. 1865 to co się stanie w r. 1959.

KLUB ARTYLERYJSKI

Działo się to po wojnie secesyjnej (1861 — 1865) południowych stanów Ameryki przeciwko północnym. W tym okresie czasu Ameryka wyprzedziła Europę w sztuce artylerii: Amerykanie mieli lepsze armaty niż Anglicy, Francuzi czy Niemcy. W Baltimore (Maryland) zawiązuje się Klub Artyleryjski, bardzo selektywny. Członkami Klubu są starzy artylerzyści, którzy położyli zasługi w udoskonaleniu technicznemu tej broni.

W tym samym Baltimore są dzisiaj wielkie zakłady Glenn T. Martin and Co, w których wyrabiane są pociski rakietowe Vanguard. Proctowio Vernego czy przypadek?

CZY PRZYPADEK ?

Jest już po wojnie secesyjnej i na nową wojnę się nie zanosi. Nuda snuje się po kątach Klubu w Baltimore: pleśń pokrywa bibliotekę klubową, służba snuje się sennie po korytarzach, słychać chrapanie członków klubu, śpiących w fotelach. Niektórym przychodzi do głowy niedorzeczne myśli: a może przylączyć Anglii do Ameryki? Kiedyś Stany Zjednoczone były kolonią angielską, dlaczego teraz nie ma być odwrotnie? Klubowi grozi śmierć z bezczynności

Nagle spada piorun z jasnego nieba! Prezes Klubu Barbicane zwołuje nieoczekiwanie posiedzenie członków w wielkiej sali obrad, której strop wsparty jest na lufach armatnich zamiat kolumn z marmuru, żyrandole wykonane są z pistoletów i moździerzy a ściany przybrane łuskami z pocisków. Barbicane zasiada na fotelu przydzielonym zmontowanym na ławecy 32 calowego dział. Obwieszcza on członkom Klubu o projekcie zbudowania specjalnej armaty w celu wystrzelenia pocisku na księżyc.

LECĘ NA KSIĘŻYC

Na sali entuzjazm! Nareszcie zgnuśniały Klub ma rację istnienia a członkowie cel w życiu! Wiadomość lotem błyskawicy rozchodzi się po Baltimore i po całym kraju. Demonstracje uliczne. Ludzie piją na umór na cześć księżycy. Wszyscy zadzierają nosy do góry, patrząc na księżyc jakby go pierwszy raz zobaczyli. Optycy robią fortuny, sprzedając lornetki, na które powstał nagle wielki popyt.

Barbicane wraca do domu zmęczony i poturbowany przez rozentuzjazmowany tłum, który poszarpał na nim ubranie. Zgrzyt w ogólnej radości! Anglicy wystawiają w kilka dni potem w teatrze w Baltimore sztukę Szekspira „Dużo hałasu o nic”. Tłum Amerykanów demoluje teatr. Rozpoczynają się przygotowania

do strzału na księżyc. Sławne obserwatorium astronomiczne w Cambridge (Massachusetts) na prośbę Barbicane przysła instrukcje techniczne.

Pokrywają się one z dzisiejszymi obliczeniami techników przy wystrzeleniu pocisków rakietowych. Pocisk musi mieć tak dużą szybkość początkową, aby pokonać siłę przyciągania ziemi i doleci na księżyc w 96 godzin. (Pocisk amerykański Pioneer IV, wystrzelony 3 marca br., doleciał w pobliże księżycy w 41 g., ale miał większą szybkość początkową.)

Na świecie zaczynają mówić, że Amerykanie chcą anektować księżyc i na najwyższym szczyście srebrnego globu zatknąć gwiazdzisty sztandar.

Armata ma być odlana z żelaza, pocisk z aluminium a jako materiał wybuchowy użyta zostanie bawełna strzelnicza. Lufa armaty długości 900 stóp zostanie odlana w pionowym szybie kształtu lufy specjalnie wykopanym w ziemi. Armata otrzymuje nazwę Kolumbiada.

DWAJ RYWALE

Rywałem Barbicane jest fabrykant płyt pancernych Nicholl. Ile



„WSZYSCY ZADZIERAJĄ NOSY PATRZĄC DO GÓRY”...

razy Barbicane wynalazł nowy pocisk, tyle razy Nicholl tworzy silniejszy pancierz, którego nie przebijają nowe pociski. Obaj się nie lubią. Nicholl ogłasza, że pocisk nie dojdzie do księżycy, że wzniesie się tylko na 6 mil i spadnie na ziemię. Barbicane zakłada się o 6.000 dolarów, że strzał się uda.

Jako miejsce strzału na księżyc wybrano m. Tampa na Florydy. I znów czy prorocza wizja Vernego, czy też przypadek? Poligon rakietowy Cape Canaveral na Florydy leży o 100 mil od Tampa. Dobrze — „strzelił” J. Verne 94 lata temu!

Na całym świecie „urbi et orbi” zbiera się składki na sfinansowanie strzału na księżyc. Dają wszystkie kraje z wyjątkiem zazdrośnej Anglii, skąd nie wpływa ani jeden pens. Zebrano przeszło 5 milionów dolarów.

Robotnicy wywiercili w oznaczonym czasie szyb głębokości 900 stóp. 68 statków zwoziło na pola pod Tampa surówkę żelazną. Ustawiono 1.200 pieców, które zaczęły topić żelazo. O oznaczonej godzinie „Niagara płynnego żelaza” wlała się do sztybu. Ziemia trzęsła się w posadach. Ku niebu strzelały ogniście języki. Trzy tygodnie stygło żelazo ale odlew lufy udał się. Tysiące turystów zaczęły opuszczać się na dno Kolumbiady, a za bilety wstępu Klub Artyleryjski zebrał pół miliona dolarów.

LECĘ NA KSIĘŻYC

Pocisk miał być początkowo wystrzelony na księżyc bez człowieka. Barbicane otrzymuje niespodziewanie telegram od Francuza Michała Ardana, który proponuje, że jako ochotnik polecą w pocisku na księżyc. Oferta zostaje przyjęta i pocisk będzie przerobiony: zamiast kuli będzie miał kształt cylindra zakończony stożkiem.

Ardan staje się bohaterem narodowym Ameryki, nie może się opędzić od kobiet, które proponują mu małżeństwo nawet pod warunkiem, że polecą z nim na księżyc. „Nie chcę załudniać księżycy potomstwem o krwi amerykańsko-francuskiej” — mówi. Ardan przemawia do 300 tysięcy Amerykanów i oznajmia, że

istnieją sprzeczne sądy co do tego, czy na księżycu są ludzie. On leci po to, aby przekonać się jak jest naprawdę.

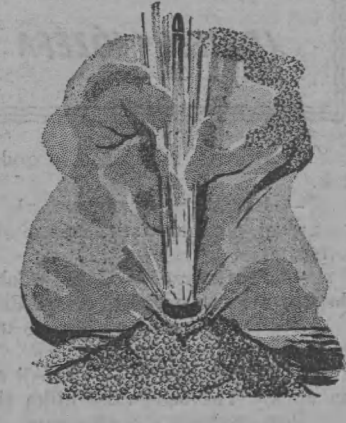
Tłum zachłystuje się z zachwytu nad bohaterskim podróżnikiem.

POJEDYNEK

Nagle zgrzyt! Jakiś nieznamy uczeństnik wiecu zaczyna oponować Ardanowi. Mówi, że podróż na księżyc jest samobójstwem: podróżnik umrze na księżycu z powodu braku powietrza, wody i przeraźliwego zimna. „Zginiesz śmiercią wariatów!” — woła nieznamy: „Za twą śmierć jednak poniesie odpowiedzialność kto inny!”

— Kto? — woła Ardan. — Ten ignorant, który organizuje absurdalny i niemożliwy lot!

Barbicane podrywa się z miejsca jak ukłuty żądłem. Biegnie ku nieznanemu. Na sali tumult, awantura. Tłum rozdziela przeciwników. Nieznajomym jest Nicholl, rywal Barbicane, fabrykant płyt stalowych, których nie przebijają pociski Barbicane'a. Rywale patrzą sobie w oczy. Pojedynek odbędzie się nazajutrz. Zrozpaczony Ardan postanawia nie dopuścić do spotkania z bronią.



I znów czy prorocza wizja Verneko? Psa Łajkę, wystrzelonego w sowieckim pocisku rakietowym, gdy zdechł, też nazywano „ofiara nauki”.

Nadeszła historyczna chwila. Do pocisku wiano wodę na głębokości 3 stóp od podłogi. Na wodzie jest drewniana tarcza ściśle przylegająca do ścian cylindra. Na tym toku — tratwie będą siedzieć podróżnicy. Woda będzie amortyzować wstrząs spowodowany przez wybuch. W pocisku jest żywność, gaz do oświetlenia i opalenia, tlen i chemikalia dla pochłaniania dwutlenku węgla wydychanego z płuc.

Milionowe tłumy zaległy pola pod Tampa. O godz. 7 wiecz. księżyc w pełni pojawia się na horyzoncie po witym rykiem tłumy. Podróżnicy wchodzą do cylindra — kabiny. Dźwig spuszcza pocisk na dno Kolumbiady. Zalega grobowa cisza.

WYBUCH SILNIEJSZY OD WULKANU

O oznaczonej godzinie włączony został prąd i armata wypaliła. Huk silniejszy niż wybuch wulkanu! Półwysp Floryda zatrzęsł się. Podmuch powalił tysiące ludzi na ziemię jak burza kładzie łany kłosów.

Niektórzy zostali wyrzuceni w powietrze. Kilkaś osób ogłuchło.

— Hurra! — wydziera się okrzyk radości z gardzieli milionowej rzeszy ludzkiej. Wszyscy podnoszą głowy do góry. Nagle po wybuchu 200.000 funtów bawełny strzelniczej następują zakłócenia atmosferyczne. Gęste chmury przesłaniają niebo. Nie widać pocisku.

NOWA GWIAZDA

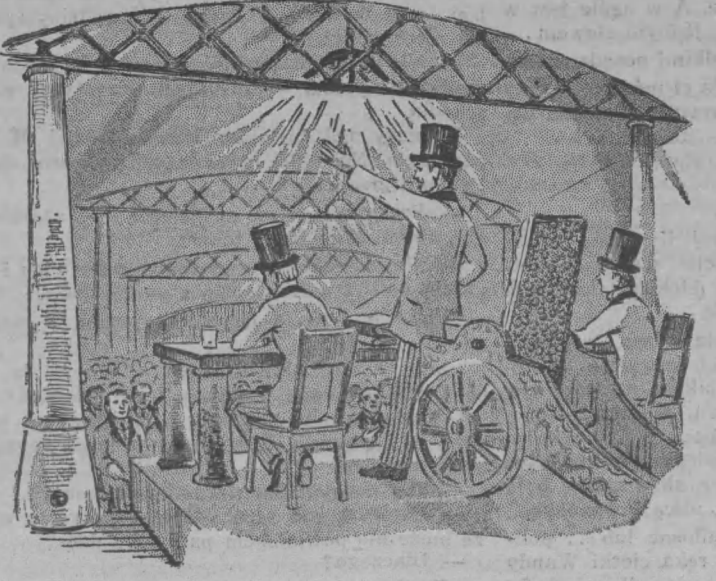
Teleskopy wykryły jednak, że pocisk nie trafił w księżyc, lecz wszedł w orbitę koło księżycy. Stał się nową gwiazdą. Udało się to w wyobraźni Verne'emu, co nie udało się Rosjanom i Amerykanom w r. 1959. Dwie próby wtrącenia satelity w orbitę księżycy nie powiodły się. Między one księżyc i poleciały ku stołcu.

Pocisk z trzema ludźmi będzie krążył dookoła księżycy po wieczne czasy.

Co się stanie z ludźmi? Z Barbicane, który wygrał zakład, z Nichollem i z Ardaniem? Mają zapas powietrza na 2 miesiące tylko a żywności na rok. Co potem?

Jeden tylko człowiek na ziemi nie traci nadziei. Jest nim Maston, przyjaciel Barbicane. Wierzy on, że pewnego dnia trzy podróżnicy wrócą na ziemię żywi i cali.

M. B.



BARBICANE ZWOLUJE POSIEDZENIE

Z tajemnic przeszłości Ziemi (7)

ARCHEOLOGIA

Szacunek dla starych murów, domów, różnych budowli zrodził się u Europejczyków stosunkowo niedawno. Świadomość wartości historycznej odkopanych ruin i troska o ich zachowanie nie istniały jeszcze 200 lat temu. Oczywiście bywały wyjątki ale ogół społeczeństw nie interesował się zabytkami. Burzono je, gdy tylko zaszła tego potrzeba. Kraków przed 200 laty otaczały wspaniałe mury obronne wraz z wieloma bastionami itp. W początkach ub. stulecia władze magistrackie doszły do wniosku, że stare mury trzeba zburzyć i założyć na ich miejscu planty. Ocalał tylko fragment murów i dwie baszty obok bramy Floriańskiej oraz Rondel. Dziś choć planty każdego ciężą — niemniej żałujemy, że stare mury zburzono. Zresztą Kraków nie był wyjątkiem, gdyż stare mury rozbiórano stopniowo wszędzie, bo hamowały rozwój miast.

Nieliczne są miasteczka jak n. p. Carcassonne gdzie zachowały się niekniejące mury średniowieczne ochraniające miasto. Nie ma w tym jednak zasługi ludności ani ojców miasta, gdyż Carcassonne zamiarło w swym rozwoju już dawno i nie było potrzeby burzenia murów. Dziś podziwiają je tysiące turystów.

Spędziłem kiedyś parę dni w małym hiszpańskim miasteczku Merida. Mieszkałem w hotelu „Parador”, który mieścił się w starym klasztorze niegdyś zbudowanym przez Arabów. Mury były jeszcze starszego pochodzenia. Tworzyły je bloki kamienne wydobytą z rzymskich ruin podtrzymujące parkan; w wielu domach — fragmenty rzeźb wmurowane dla ozdoby. W samym środku miasta stoi rzymska świątynia przerobiona na trzypiętrowy, duży dom mieszkalny. (dziś podobno świątynię tę przywrócono do dawnej wspaniałości) Most zbudowany 2000 lat temu — wciąż znajduje się w użyciu.

Mój przygodny znajomy, inżynier hiszpański, objaśnił mi, że pracując nad naprawą ogromnych rzymskich rezerwarów wodnych położonych w górach niedaleko Meridy a to dla zapewnienia stałego dopływu wody dla okolicy, która stała się jałowa z powodu chronicznej suszy; wykorzystany będzie również dawny akwadukt. Tak to przeszłość podaje rękę chwili obecnej.

Terazniejszość jest nierozzerwalnie złączona z przeszłością. Nasza kultura oparta jest na osiągnięciach Rzymian i Greków, Rzymianie czerpali z osiągnięć Greków i tajemniczego ludu Etrusków — Grecy czerpali z Egiptu i bliższego Wschodu i tak dalej sięgamy w przeszłość, której mniejsze lub większe ślady — nieraz niedostrzegalne dla ogółu, towarzyszą nam wszędzie.

Archeologia jest młodą stosunkowo nauką usiłującą ustalić przeszłość poczyną ludzkich. Tysiące przedmiotów wydobywanych z odkopanych ruin dawnych miast, budynków, grobów zasypianych przez wieki piaskiem pustyni, wskazują nam dziś jak żyli ludzie dawniej, co umieli, czego nie znali, jakie mieli obyczaje i jakim bogom holdowali. Dzięki archeologii, która powstała właściwie dopiero około 200 lat temu rozbudzona została ciekawość a w ślad za tym przyszło zrozumienie, że „stare mury” trzeba otaczać opieką bo przemawiają nie raz bardzo ciekawym językiem. Tego zrozumienia nie było dawniej, historyczne ruiny traktowano jako... kamieniolomy.

Ojciec archeologii

Za ojca archeologii uchodzi wień skromnego pochodzenia Niemiec Winckelmann, syn szewca, który od wczesnej młodości grzebał w podmiejskich kopcach, wydobywając mnóstwo skorup, garnków i różnych naczyń, których pochodzenia nie znał nikt w okolicy. Zdobywszy wykształcenie, został nauczycielem w Prusach, ale przeniósł się stamtąd do Dreżna, gdzie w 1748 r. został bibliotekarzem hrabiego von Bünau. W Dreźnie był zbiór różnych wykopalisk z okolicy i z dalszych krajów. Wrodzona ciekawość Winckelmanna do wykopalisk oraz możliwość studiowania

dzieli o przeszłości spowodowały jego wyjazd do Włoch gdzie w r. 1758 został bibliotekarzem kard. Albani oraz kustoszem jego zbiorów antyków. W tym charakterze zwiedził właśnie odkopywane ruiny Herulanum i Pompei. Te pierwsze prace wykopaliskowe prowadzone przez króla Neapolu nie były wynikiem ciekawości ani chęci zbadania wartości historycznej ruin. Król po prostu szukał ładnych rzeźb dla ozdoby pałacu swej małżonki. Praca była chaotyczna: kopano tu, to tam studnie i czasem trafiano na coś godnego uwagi. Sporó zniszczono przy tym. Po długich staraniach Winckelmann uzyskał pozwolenie na zwiedzenie zbioru wykopalisk będących własnością króla, który podejrzewał jednak Niemca o szpiegowskie zamiary i dlatego

nie pozwolił mu na zrobienie rysunków i szkiców tego co widział. Te ostrożności króla na niewiele się jednak przydały gdyż w roku 1762 Winckelmann rozesłał do różnych uniwersytetów swój „List otwarty” omawiający wykopaliska w Herulanum. Te listy ukazywały się regularnie a równocześnie Winckelmann opracował pierwsze dzieło p. t. „Historia Sztuki Starożytnej” w którym wyłożył logicznie i naukowo swoje tezy i metody opracowywania wyników badań. Jest to pierwsze dzieło o archeologii, w którym autor wykazuje, że nauka ta musi się posługiwać dedukcją opartą o najdrobniejsze nawet szczegóły.

Wykopaliska w Herulanum i Pompei zapaliły wyobraźnię wielu uczonych i laików.

Rola Napoleona

Dużym krokiem naprzód w archeologii i specjalnie egiptologii była niefortunna wyprawa Napoleona do Egiptu. Napoleon wprowadził udal się do Egiptu dla politycznych celów ale będąc



Plaskorzeźba, znaleziona w Chichen-Itza, przedstawiająca boga Mayów Kukulkan

człowiekiem wykształconym nie omieszkiał zabrać ze sobą licznego sztabu naukowców dla zbadania ile jest prawdy w wiadomościach o kolosalnych konstrukcjach egipskich i o śladach dawnej cywilizacji i t. d. Napoleon wyrcił w 1799 do Francji ale naukowcy zostali w Egipcie. Od tego czasu po dzień dzisiejszy trwają w tym kraju prace wykopaliskowe przynosząc wciąż coś nowego. Słynny egiptolog Champollion, również trawiony ciekawością samouk, stworzył podstawy do odczytywania hieroglifów egipskich, które ostatecznie zostały odczytane przez Lepsius'a w 1866-70.

Dziś prace archeologia ułatwia rozwój techniki fotograficznej, widzi się od razu każde osiągnięcie, które można porównywać z innymi. Fotografia lotnicza umożliwia odnajdywanie ruin schowanych nieraz głęboko pod ziemią gdyż n. p. kolor zboża jest inny tam gdzie pod ziemią znajdują się mury. W pustyni znowu widzi się w morzu piasku wyraźne zarysy dawnych budowli niewidoczne dla kogoś podróżującego na wielbłądzie lub samochodzie. Inne zdjęcia lotnicze wykazują ruiny w nieprzebranych puszcach Centralnej Ameryki a helikopter ułatwia dotarcie do nich.

Archeologia jest fascynującą nauką gdyż przenosi nas w tajemniczą przeszłość ziemi i ludzi, których jesteśmy potomkami.

E.S.A.

Profesor Mendelson, jego siostra Freikindowa i młody pisarz Goldberg dyskutują sprawę miesięcznika komunistycznego „Nowa Trybuna” oraz stanowią się nad „czystością linii partyjnej” jej redaktora, Józefa Zakrzewskiego. Freikindowa atakuje Józefa w sposób złośliwy.

— Widzisz, narwałaś się! — roześmiał się Mendelson. — Prze-
stańcie się czubić, bo tak wygląda, jakbyście byli małżeństwem.
Nalej no jeszcze kawy.

Józef był przyzwyczajony do wódki, ale koniak pijał bardzo
rzadko. Po trzech kieliszkach szumiało mu w głowie. Patrzył na
mecenasa wyzywająco i gotów był ostro reagować w razie nowej
zaczepki.

— A propos Władysława Łazuki — zwrócił się do profesora. —
W najbliższym numerze „Nowej Trybuny” drukuję jego wiersze.
Mam tu nawet odbitki...

— Chętnie posłuchamy.

Czytał wolno i wyraźnie, głosem i gestem uwydatniając rytm.
Wiersz zaczynał się od pesymistycznego pejzażu, aby już w trzeciej
strofie nabrać społecznych akcentów.

U wodopoju księżyc bije srebrnym kopytem,
świszcza w powietrzu czarne arkady gałęzi...

Lata gorzkiej młodości, groźnym wyrokiem pobite,
idą w żalobny korowód...
Słuchali z uwagą i zainteresowaniem. Skończył i złożoną ko-
rektę wsunął do kieszeni. Nastroszony, czekał na krytykę.
— Wydaje się ciekawe — przyznał profesor. — Trochę grzeźnie
w jesieninowszczyźnie. I ten pesymizm! Musicie go leczyć z meta-
fizycznych smutków.

— Ale ostateczny wydzwięk wiersza jest zupełnie konkretny.
„Tobie rzucamy wyzwanie, okrutna nocy!” — powtórzył z lekką em-
fazą końcówkę słowa. — To jest przecież niedwuznaczne.

— Zapewne, zapewne — kiwał głową Mendelson. — Niedwuznac-
zne w intencji autora. Ale który robotnik domyśli się, że tu cho-
dzi o noc kapitalizmu? Poradźcie Łazuce, żeby starał się odplątywać
te metaforyczne kokony. Słowa mają być prosto w cel. Nie insy-
nuować, tylko konstatować. Stwierdzać konkrety. Tak jak to robił
Majakowski i jego szkoła.

Wyciągnął do Józefa srebrną papierośnicę i zaraz ją cofnął.

— Prawda, zapomniałem, że nie palicie... Więc wydajecie ma-
jowy numer miesięcznika?

— W środę łamiemy, w czwartek idzie na maszynę.

— W zwykłej objętości?

— Tak. Idzie niezły reportaż Pietrzeli o strajku bandosów w
Opoczynie, uwagi towarzysza Szarego o Kongresie w Amsterda-
mie, mój artykuł na temat sytuacji w Niemczech. To niezmiernie
istotne zagadnienie. Właśnie na terenie robotników budowlanych
mogłem zorientować się, jak bardzo ludzie się przejmują. Są zasko-
czeni słabą reakcją niemieckiej partii na hitlerizm. „Jak to? — po-
wiadają. — Miliony komunistycznych wyborców i wygląda, jakby
ich w ogóle nie było!” Od takich stwierdzeń już tylko krok do de-
fetycznych nastrojów... Poza tym daję przekłady z Asiejewa
i Sielwskiego.

— Sielwiskij to formalistyczny poeta.

— Nie we wszystkim. Ma również rzeczy propagandowe i dzia-
lające bezpośrednią wymową treści.

— No, tak — profesor przeciągnął dłoń po łysiejącej głowie.
— Ale ja z wami chciałem mówić na inny temat. — Postanowiliśmy
wydać w końcu lata solidną jednodniówkę. Książkowy format, jak-
ieś cztery do pięciu arkuszy. Oczywiście, jak zawsze, liczymy na
waszą współpracę.

Zakrzewski podniósł brwi. „To o to chodziło! — myślał, czując,
że fala krwi napływa mu do czaszki. — Chcą podłożyć świnię Nowej
Trybunie...”

— W jednodniówce — ciągnął spokojnie Mendelson — nie musi-
my tak bardzo liczyć się z cenzurą. Postawimy we właściwy sposób
niektóre zasadnicze sprawy, których w waszym miesięczniku nie moż-
na ruszać bez niedopowiedzeń. W ten sposób niejako uzupełnimy
waszą pracę. Czasu jest dość, przedyskutuje się wszystko w zespole.
Jak się zapatrujecie na obszerny artykuł o zadaniach literatury
proletariackiej? Dałbym wam odpowiedni materiał...

Józef ochłonął. Zawstydzony, że podejrzewał profesora o nie-
lojalność. Poczzerwiał i pochylił się nad wystygłą kawą.

— Ależ naturalnie... bardzo chętnie!

— Nie chcemy was narażać, więc podpiszecie pseudonimem, albo
w ogóle pójdzie bez podpisu.

— I tak poznają!

— Niekoniecznie. Postarajcie się napisać zwięzłym, prostym
stylem, bez barokowych ozdóbek, bez metafor i patosu. To zmyli.
Poza tym was zawsze łączy z drukarnią Rybińskiego, a my jednod-
niówkę wydrukujemy u Kaca. Nie polapią się tak łatwo. Więc co,
temat wam odpowiada?

Teraz rozwinęła się zasadnicza rozmowa. Zakrzewski zapalał
się, rzucał pomysły, tasował nazwiska proletariackich pisarzy, gesto
cytował Gorkiego i Lefowców. Profesor wstawiał krótkie uwagi, z
rzadka odzywał się Goldberg. Freikindowa milczała, tylko zielone
oczy błyskały pod piegowatym czołem.

Józef Łobodowski

(12)

Mile złego początki

(DZIEJE JÓZEFA ZAKRZEWSKIEGO)

Przegadali tak przeszło godzinę. Mendelson spojrzał na zegar-
rek.

— Bardzo przepraszam, ale ja muszę iść. To są na razie wstęp-
ne uwagi, jeszcze nieraz będzie okazja omówić wszystko w większym
kolektywie.

— Profesorze. — Józef zdobył się na odwagę. — Ja bym miał
do was sprawę osobistą... Kilka minut, nie więcej.

Bezbarwne oczy objęły go uważnym spojrzeniem.

— Proszę...

— To ja na was — zwrócił się Goldberg do Józefa — zaczekam
na ulicy. Też będę miał kilka słów.

Pożegnał się z profesorem. Freikindowa wyszła do sąsiedniego
pokoju. Płacząc się i przerywając zdania, Zakrzewski opowiedział
o rozpaczliwej sytuacji, w jakiej znajduje się znajoma rodzina ży-
dowska. Zupelna nędza. Starsza siostra w ciężkim stanie, zmu-
szona jest zarabiać prostytutką; młodsza gorseciarka, też zagrożona
gruźlicą. Czy nie daby się zorganizować jakiejś pomocy? Jedną
wysłać do sanatorium, wystarać się o lepszą pracę dla drugiej...
Mówił coraz szybciej i bezładnie, czując na sobie zimne spojrzenie
Mendelsona. Już zaczynał być zły na samego siebie, że poruszył tę
sprawę, ale brnął dalej.

— Rozumiem doskonale wasze szlachetne tendencje — profesor
spokojnie cedził słowa. — Niestety, to nie jest odosobniony wypadek
i wcale nie najcięższy. W identycznej, a nawet gorszej sytuacji
znajdują się w Lublinie setki rodzin. Idźcie na Podzamcze, gdzie
się gnieździ żydowska biedota, to się przekonacie. Jeżeli pomóc
jednym, to dlaczego nie drugim? To jest zupełnie beznadziejne.



— Ale przynajmniej uratowało by się te dwie dziewczyny...
— I cóż z tego? Jakież to ma znaczenie w ogólnej perspekty-
wie walki klasowej? Obiektywnie biorąc, filantropia jest szkodli-
wa, bo zamazuje ostrą linię podziału. Burżuazja stara się łagodzić
i opóźniać rozwój procesu przez nalepianie angielskich plasterków na
ranę, która domaga się chirurgicznego cięcia. A my musimy temu
zdecydowanie się przeciwstawić. Działalność filantropijną to jesz-
cze jedna forma społecznego oszustwa. Gdyby pomoc była związana
z jakąś konkretną akcją polityczną, to co innego... A tak...

Dodał jeszcze kilka okrągłych zdań, uśmiechnął się współczująco

i wyciągnął pulchną dłoń. Zakrzewski trzasnął drzwiami silniej, niż
by wypadło i zleciał ze schodów jak oparzony. Dusił się od wście-
kłości. Przypomniał sobie pierwszą rozmowę z Franią i jej słowa:
„Dla nas, żydowskiej nędzy, nie ma rady. Antysemizm jest, ale bogatych
żydowskiej solidarności... No, to ta solidarność jest, ale bogatych
przeciw biednemu”. Psiakrew, wygłupił się tylko na próżno!

Mecenasowa wpadła z szumem do gabinetu brata. Tupnęła
nogą.

— Widzisz! Gruźlicznymi dziewczętami zaczyna się opiekować.
Ładny rewolucjonista! I tyś mu dawał pieniądze na to jego pi-
smo...

— Słyszalas rozmowę?

— Nie wszystko. O kogo mu chodzi?

— Nie mam pojęcia.

— Pewnie mu wpadła w oko i chciałby za cudze pieniądze ko-
chanek sobie przygruchać. Trzasnął drzwiami, jak w karczmie. I
ośmielił się zwrócić mi uwagę na jedwabne pończochy. Coś takiego!

— A boś go sprowokowała tym odezwaniem się o Łazuce. Nie
masz się co obrażać. Jeśli młody mężczyzna zainteresował się poń-
czochemi, to znaczy, że przyglądał się twoim nogom. Kto wie, może
mu się nawet spodobały...

— Co za głupstwa! — Zachnęła się. Gęsty rumieniec spłynął
od rudych włosów ku szyi. Stała przy oknie, ukryta za firanką i
patrzyła na ulicę. Profesor już wychodził, sprawdził, że nie ma pa-
pierośw. Zawrócił do biurka i nabijał tutki tytoniem.

— Wiesz co, Stefa — powiedział powoli. — Te twoje starcia z
Zakrzewskim zaczynają mnie zastanawiać. Za dużo serca w to
wkładasz...

— Sam dzisiaj mówiłeś, że mu trzeba rogę przytrześć...

— Kiedy to nie o niego chodzi.

— A o kogo?

— O ciebie.

— O mnie?!

— Widzisz, im gwałtowniej go atakujesz, tym bardziej dochodzę
do wniosku, że się w końcu z nim prześpisz. A w każdym razie masz
na to ochotę.

Freikindowa obróciła się gwałtownie, spojrzała na profesora.
Zielone oczy rozszerzyły się i twarz nabrała wyrazu rozgniewanego
ptaka. Wytrzymał jej wzrok. Nagle zaczęła się śmiać. Podeszła
do brata i pocałowała go w czoło.

— No jeśli pan profesor to mówi...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zakrzewski szybko wciągnął się w polityczną robotę u Budowlan-
nych. Miał dwa zebrania na tydzień, w sobotę po fajrancie i w nie-
dziele. Ale przychodził dość często i w ciągu tygodnia, gdy zbierali
się bezrobotni. Frekwencja była większa, niż się spodziewano. Ze-
brania odbywały się początkowo u Dziadoszów, którzy rozporządzali
spórą izbą, później jednak przenieśli się do związkowego lokalu.

— Nie budzi podejrzeń — mówił Czarny. — W prywatnym domu
to sąsiedzi od razu zwracają uwagę, że tyle narodu przychodzi. I nie
wiadomo, czy towarzysza Felicja nie jest już pod obserwacją. A
w lokalu sprawa prosta. W razie czego łatwe tłumaczenie: kursy
dokształcające dla młodzieży. A że ktoś ze starszych też przyjdzie
i przysłucha się, to mu chyba wolno.

Miewał więc stale odczyty, głównie na tematy polityczne, a to
„Sytuacja międzynarodowa”, a to „Znaczenie kolektywizacji wsi w
Związku Sowieckim”, albo „Rozkład faszyzmu” i „Koniec stabilizacji
kapitalistycznej”. Słuchaczy przychodziło coraz więcej, dyskusje po
referatach były ożywione. Od Goldberga-Szarego otrzymał komplet
„Nowego Przeglądu” z ostatnich lat i wertował mocno sfatygowane
egzemplarze po nocach. Ponadto, oprócz broszury „Trzeciemu Ple-
numu Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Polskiej”, Szary
dał mu bardziej szczegółowe sprawozdanie z narad tego Plenum, od-
bite maszynowym piśmem na cienkich bibułkach. Uczyl się na tej
lekturze taktyki walki i argumentacji w polemice.

Bywał tak zmęczony, że często usypiał przy czytaniu wprost na
stole, przy zapalonym świetle. Lekcji miał teraz mniej, bo już było
po piśmiennych egzaminach maturalnych, ale i tak pracy nie brako-
kowało. Za to humor dopisywał niezmiernie. Wszystko szło jak
z płatka. Wygrał turniej bokserski, majowy numer „Nowej Trybuny”
przebił się przez sitko cenzury, został wyprzedany w ciągu
kilku dni i przyniósł niezły dochód. Miał więc pieniądze na numer
następny. Wiosna była w pełnym rozkwicie, w ogrodzie Saskim ro-
liło się od młodzieży, dziewczęta z Klubu Dyskusyjnego przychodziły
na zebrania w lekkich sukienkach. Z Franką widział się jeszcze ze
dwa razy, ale krótko.

Sprawa z Gorkowskim narobiła na mieście sporo hałasu. Gdy
po trzech dniach sekundanci nareszcie dostukali się do drzwi i ozna-
mili o celu wizyty, Józef zapytał ich z głupią frantą, na podstawie
jakiego kodeksu ma się odbyć postępowanie honorowe...

— Bożewicza? Nie znam, nie czytałem. Znam jedynie Kodeks
Karny. Na podstawie jakiego artykułu obrazłem panów przyjaciela?

(Ciąg dalszy nastąpi)

Zofia Guzowska

Bar „Pod Przepiórką”

(12)

Krystyna, skierowana przez Olę do zakonspirowanego loka-
lu, aby otrzymać legitymację dla Brzezińskiego, doznaje straszli-
wego wstrząsu. Oto w „Wiktora” poznaje nieproszonego opie-
kuna z nocnego tramwaju, którego posiadła, że jest agentem
Gestapo. Zwierza się siostrze, że nie ma do niego zaufania.

— Rzeczywiście.

— Teraz sama nie wiem co robić. Po takim potraktowa-
niu nie mam wcale ochoty na spotkanie z nim.

— Musisz jednak pójść. Ja jeszcze w tę niedzielę nie
wyjdę. Matka iść nie może, bo go nie zna. Nie wiadomo
też czy ciotka Wanda go zna. To, że był taki lodowaty
dla ciebie, to nie powinno ci dziwić! Przypomnij sobie,
jak ciężko go obraziłaś wtedy...

— Właśnie, teraz się mści na mnie. A w ogóle jest w
nim coś takiego, że mówię ci... No, jednym słowem...

— Nonsens! Wiktor jest poza wszelkimi posądzaniami.

— Trudno, pójdę jeśli trzeba. Ale ja ci mówię: żyjemy
w czasach, kiedy nawet rodzonemu bratu nie można do-
wierać.

Ola ruszyła ramionami i zagłębiła się w książkę.

ROZDZIAŁ XIII.

Kawiarnia „Krasnoludek”, w której Krystyna miała
się spotkać z Wiktorem, był to niewielki, ale bardzo mi-
ły, estetycznie urządzone lokal, cały błękitno-złoty, pełen
kwiatów i ozdobnych bombonierek.

Osobliwością jego była półokrągła nisza w głębi,
gdzie stały dwa stoliki i parę miękkich krzeselek. Wcho-
dziło się do niej po paru schodkach, jak na estradę, a w
otworze wejściowym wisiała szafirowa, pluszowa zasłona.
Zakątek ten miał doskonale w tapetę zamaskowane,
znane tylko wtajemniczonym, drzewiczki, wychodzące
przez małą sionkę wprost na podwórze, skąd można było
przechodnią bramą przedostać się na ulicę Poznańską.

„Wymarzony kącik na schadzki miłosne lub... poli-
tyczne” — mówiła kuzynka i prawa ręka ciotki Wandy
— pani Zofia, osoba lat średnich, zawsze mile uśmiech-
nięta, pogodna, urodzona optymistka; wszyscy ją też
szczerze lubili, bo podchodziła do ludzi zawsze od dobrej

strony, z wyjątkiem Niemców, bo ich w ogóle nie uważa-
ła za ludzi.

Namiętnością jej było swatanie i niewinne miłosne in-
tryżki, improwizowane na poczekaniu, ku uciesze a cza-
sem i irytacji znajomych chłopców i panien.

Na widok wchodzącej Krystyny wybiegła szybko zza
kontuaru i chwyciwszy ją w swe pulchne objęcia, zaczęła
szeptać do ucha, z uwagi na stojącą przy ladzie klient-
kę:

— Dobrze że jesteś. Czeka tu na ciebie taki „fajny
kawaler”, że aż mi żal.

— A skąd wiesz, że na mnie? Może właśnie na kogo
innego.

— Opisał cię tak dokładnie, że od razu się domyśli-
łam. Idź, bo on już chyba pół godziny czeka i pewno
się niecierpliwi.

— Nie mogłam przyjść wcześniej, miałam miłego i
rzadkiego gościa — mruknęła Krystyna, wchodząc na
schodki.

W niszy nad filiżanką kawy siedział Wiktor, paląc
papierosa. Na widok wchodzącej poderwał się z miejsca
i skłonił głęboko.

— Przepraszam za spóźnienie — zaczęła Krystyna
sztywnym, oficjalnym tonem.

— Nic nie szkodzi, wyjątkowo mam czas i z przyjem-
nością poplirtowałem sobie z panią Zofią.

Uśmiechnął się, a Krystyna spojrzała na niego zdziwio-
na.

„Jaki on ma ładny uśmiech — pomyślała. — Jak mu
się twarz zmieniła. Zupelnie inny człowiek”.

Odruchowo odpowiedziała uśmiechem na uśmiech, ale
wnet zeszytniała i zająwszy miejsce spytała, nie pa-
trząc na niego:

— Czy ma pan już wszystko dla mnie?

— Owszem, ale teraz dopiero przyszło mi na myśl,
że może nie powinienem pani tego dać.

— Dlaczego?

— Bo w razie jakiejś rewizji ulicznej nie mogłaby się
pani wytłumaczyć, skąd i po co nesi pan przy sobie
męski dowód osobisty.

— Jakos bym się wyklamała. Zresztą, dlaczego mają
mnie rewidować?

— Bo nigdy nie wiadomo. Postanowiłem panią od-
prowadzić albo, jeśli pani sobie nie życzy, odniosę jutro
do domu.

— Przecież pan mnie nie zna, nie wie pan kim jestem,
ani gdzie mieszkam — odparła z ironią. — I czego pan
się śmieje? — zawołała ze złością.

Ale on niezmierny, śmiał się, niemal głośno.

— Panno Krystyno — powiedział wreszcie i wyciągnął
do niej rękę przez stół — dosyć już tej komedii. Prze-
cież ja panią znam od dawna z widzenia i z słyszenia.

Wiem, że pani nie jest znajomą, ale rodzoną siostrą
panny Oli, widywałem was często razem na ulicy. I wte-
dy kiedy zaczęłam panią w tramwaju wiedziałem do-
skonałe, kim pani jest i dlatego właśnie uważałem za
swoją obowiązkiem zaopiekować się panią. Nie chciałem się
jednak dekonspirować, tym bardziej, że ubawiła mnie
pani bojowa postawa. Ale teraz wszystko się wyjaśniło.

Zgoda między nami?

— Wcale się jeszcze nie wyjaśniło. Dlaczego pan po-
traktował mnie tak niegrzecznie u siebie w domu?

— Może chciałem się trochę zemścić... a może za-
bawić...

— Wie pan... Żeby człowiek tak poważny i tak waż-
ny...

— Widzi pani — ludzie którzy żyją wciąż jak na wul-
kanie i chodzą ze śmiercią pod ręką, miewają czasem
chwile odprężenia i wtedy zachowują się jak dzieci, albo
— wariaci... Albo piją.

— No, dobrze. Ale jeszcze jedno musi mi pan wyja-
śnić: dlaczego pan tak niechętnie odniósł się do ratowa-
nia tego rannego?

— Bo tego właśnie wieczoru na Starówce mieliśmy
zlikwidować gestapowskiego konfidenta. Myślałem więc,
że to on. Dopiero na drugi dzień dowiedziałem się, że
szelma zwąchał pismo nosem i zwał. Czy wszystko już
jasne?

— Tak, ale...

— Nie ma żadnego ale. Napije się pani dobrej kawy,
prawda? Zaraz poproszę panią Zofię. To zdaje się pani

Szanowne ZDROWIE

PESYMIZM

„Iproniazyd” początkowo był przeznaczony do zwalczania gruźlicy. Wywoływał on jednak u leczonych pewne objawy, które zwróciły uwagę psychiatry amerykańskiego, dra Teodora Robie.

Oto co on sam mówi o skutkach stosowania tego lekarstwa:

„Jedną z moich pacjentek, liczącą obecnie 58 lat, była kobieta ciężko dotknięta przez los. Z winy małżonka musiała się rozwieść, a jej 20-letnia przybrana córka usiłowała popełnić samobójstwo. Drugi mąż, którego p. L. poślubiła, okazał się chronicznym alkoholiczkiem. Groził on stale, że odbierze sobie życie. Matka jego była również alkoholizką. Przez 15 lat p. L. żyła w prawdziwym piekle, zanim się znów rozwiodła. Coraz częściej poddawała się depresji i zamierzała odebrać sobie życie. Dzisiaj jednak jest szczęśliwą i odważną kobietą, posiadającą dużo optymizmu. Oczekuje ona jeszcze wiele od życia. 2-tygodniowe leczenie iproniazidem spowodowało takie przeobrażenie.

Dodatkowym objawem stosowania

Lekarstwo na

iproniazidu — wyjaśnia dalej dr. Robie — jest wpływ na odżywianie moich pacjentów. Niedożywieni chorzy, przybrali w ciągu jednego tygodnia blisko 2 kg na wadze. Rekord stanowi 10 kg w przeciągu 2 miesięcy.

Nie należy przypuszczać, że każdy pacjent zażywający iproniazid musi przybierać na wadze. Apetyt jest również stanem duchowym. Kiedy iproniazid przywraca równowagę człowiekowi, wówczas niedożywiony pacjent stara się jeść więcej, jeżeli natomiast jest zbyt otyły, stara się zwrócić na dietę i odchudzić się.

Pacjenci leczeni nowym preparatem, zaczynają zwracać większą uwagę na swój wygląd zewnętrzny. Jedną z moich pacjentek przychodziła do mnie ubrana niestannie, a dzisiaj jest przystojną, młodą damą, która zważa na swoją garderobę.

W 78 na 100 wypadków, nowy preparat wykazał swoją skuteczność.

Dr. Robie ostrzega jednak laików przed stosowaniem iproniazidu na własną rękę. Nie jest to niewinny środek, lecz silny preparat, który w pewnych warunkach może wywołać niekorzystne objawy. Tylko lekarz powinien zapisywać ten preparat. Pacjent musi być przez cały okres leczenia pod stałą kontrolą lekarską ze względu na konieczność odpowiedniego dozowania tego preparatu. W rękę lekarza iproniazid jest doskonałym środkiem lekarskim, stosowanym w wypadkach schorzeń psychicznych.

Zastrzyki na długowieczność

Zastanawiając się nad możliwościami przedłużenia wieku człowieka prof. Henry S. Simms z uniwersytetu Columbia USA stwierdza, że powodem śmiertelnych zachorowań w starszym wieku jest osłabiona odporność na zarazki chorobotwórcze.

Starzejąc się organizm traci naturalną zdolność zwalczania szkodliwych bakterii i dlatego łatwiej ulegamy wszelkim chorobom.

Pozostając w stanie odporności 10-letniego dziecka, człowiek z łatwością dożyłby 800 lat...

Wychodząc z powyższego rozumowania, gdybyśmy mogli zastrzyknąć szczepionkę skuteczną przeciw wszystkim chorobom, tak jak można ją stosować przeciw tyfusowi, szkarlatynie czy ospie, z łatwością przedłużylibyśmy nasze życie.

Uczeni z innego uniwersytetu amerykańskiego, Cleveland, odkryli, że pewna forma zwierzęcej protyny wydobycy z serum odgrywa poważną rolę w utrzymywaniu się organizmu w stanie odporności na choroby.

Proteinę nazwano „properdim”, to znaczy niszczyciel (zarazków). Możemy mieć nadzieję, że przy pomocy zastrzyków „properdim” nawet starzy ludzie będą zabezpieczeni przed groźnymi zachorowaniami i tym rodzajem śmierci, którą powoduje brak sił do zwalczania zarazków.

W 4 OCZY

Kochana Siostrzo Anno!

Wiem, że Pani mi nie poradzi, ale może lepiej będzie kiedy się chociaż poskarżę ze swoim strapieniem.

Inne kobiety mają mężów, na których mogą mówić: pijak, albo gracz z karty, albo po prostu: ludaś. Ja mam męża, na którego nawet narzekać mi nie wolno, bo nikt mi nie uwierzy.

Mój mąż jest najlepszym, najprzyjemniejszym, kochającym mężem wtedy gdy jesteśmy z ludźmi. Nigdy nie powie złego słowa o mnie i nigdy w obecności innych nie podnie się na mnie głosu. Wszyscy powiadają:

— Jakiego szlachetnego pani ma męża.

PRZY LUDZIACH „aniołek” a potem pokazuje ROGI

A czy kto wie jaki on jest w domu, kiedy nikt nie widzi? Czy kto słyszał jakim do mnie odzywa się żeby inne kobiety ostrzec. Niech tonem, kiedy o coś go poproszę? Jak chcę z nim mówić to on czyta gazetę i ani mrknie. Jak bym się chciała zbliżyć do niego, albo pogłaskać, to po prostu odrzuci nawet moją rękę.

— Nie podnoś głosu, Izio, bo ludzie pomyślą, że cię tu kto męczy. I rzeczywiście ludzie zawsze się na mnie patrzą jakbym coś złego zrobiła, bo jestem niedobra dla takiego dobrego męża, który jest zawsze uśmiechnięty i uprzejmy w towarzystwie.

A ja, że znam jego właściwy charakter, to bym włosy sobie darła z głowy i biegła dokoła i wołała ludziom: „On kłamie, kłamie, kłamie!”

Siostrzo Anno! Nie piszę tego, żeby mi kto pomógł, ale dlatego żeby inne kobiety ostrzec. Niech nigdy nie wierzą, że Polacy to dobre mężowie! Żebym ja poślubiła Anglika, Amerykanina, Niemca albo Hindusa to nie byłabym na pewno taka nieszczęśliwa.

A tak to marnuje się moja młodość. I rozvodu nie mam nadziei dostać, bo kto za mną zaświadczy? Tysiąc świadków stanie w sądzie i powie: „On był dobrym, szlachetnym mężem.”

Przesyłam Pani pozdrowienia Izabella K.

Podalam list Pani Izabelli w całości, bo poza pewną wartością literacką posiada w sobie bardzo ciekawy problem.

Bardzo często tak się dzieje, że małżeństwo nie jest w rzeczywistości tym czym wydaje się być postronnym obserwatorom. Przecież to naturalne, że cały ciężar małżeństwa, cały jego sens to sprawa jak się dwoje ludzi ustosunkowuje do siebie samych, właśnie wtedy, gdy nikt na nich nie patrzy.

Dlatego nikomu nie wolno oceniać męża albo żony nie wysłuchawszy poprzednio stron obu.

Sędzia, który udziela rozwodów, Pani Izabelo, wie dobrze, że sąd ludzi postronnych nie zawsze zgadza się z rzeczywistością. Jest on na tyle rozumny i doświadczony, że na pewno uwierzyłby Pani.

Ale wysłuchałby także Pani męża. Czy jego, prawdziwe, zeznania wypadłyby dla Pani korzystnie?

I jeszcze jedno, może najważniejsze — nie wolno Pani generalizować, nie wolno Pani twierdzić, że Polacy są złymi mężami, nawet wtedy, gdy Pani mąż okazałby się najgorszym.

Bo bardzo wielu Polaków jako mężowie zachowują się wzorowo.

Siostra Anna

NIEPROSZENI POMOCNICZY

Holenderski działacz społeczny Stefan Saris, kelner z zawodu, znany jest z akcji na rzecz węgierskich uchodźców w roku 1956. Obecnie młodzież holenderska pod jego przewodnictwem wystąpiła w obronie dwóch chłopców murzyńskich uwięzionych w Monroe, Stany Zjednoczone za pocałowanie białej dziewczynki.

Zebrało 12.000 listów i delegacja 10 szkół wręczyła je w ambasadzie amerykańskiej.

Pan Saris otrzymał w tej sprawie list od komunistów holenderskich, którzy bardzo chcą przyjąć mu z pomocą.

Odpowiedź brzmiała: „Dziękuję, nie. Jest to sprawa pomiędzy dwoma przyjaźniami ustosunkowanymi sąsiadami. Wy macie swego „sąsiada” na wschodzie zajmijcie się nim. Warto.”

Krzyżówka Nr 12

Dzisiejsza krzyżówka jest pierwszą polską krzyżówką, która została zamieszczona w Kurierze Warszawskim w dniu 31 stycznia 1925 roku. Autorem jej podobno był publicysta i literat Jan Czemiński.

Nie jest to krzyżówka trudna chociaż odmiennie od dzisiejszych użyte w niej rzeczowniki nie zawsze są w 1 przypadku.

Łamigłówka krzyżowa

Grid for crossword puzzle with numbers 1-43.

ZNACZENIE WYRAZÓW

- 1 - Twórca religii. 2 - Łódź. 11 - Miasto w Stanach Zjednoczonych. 12 - Szorstki. 13 - Raza. 14 - Imię. 16 - Ofiara. 17 - Pierwsza i ostatnia głoska. 19 - Rzeź. 20 - Napój. 22 - Słynna hetera. 23 - Plemię Indian brazylijskich. 24 - Rzeź. 27 - Wyspa. 31 - Rzecz zakazana. 33 - Trzech park skandynawskich. 34 - Wydzielina. 35 - Rzeź. 37 - Czynność dostępna obecnie i ludziom. 38 - Pierwotny mieszkaniec Japonii. 40 - Materia chroniąca. 42 - Głupcy. 43 - Drobnny mineral. 1 - Szopa. 2 - Dekretu. 3 - Spół. 4 - W kierunku. 5 - Zaprzeczenie. 6 - Pytanie. 7 - Miarra. 8 - Zawartość pestek. 9 - Jęgomocność. 10 - Nazwa grecka króla perskiego. 15 - Nie my. 18 - Imię srodobnie w miejscowniku. 19 - Słynny malarz fresków. 21 - Narodowość. 22 - Potwierdzenie. 24 - Cenna tkanina. 25 - Główny kozak. 26 - Uzdrowsko włoskie. 28 - Wiedza o wiatrach. 29 - Najwyższe stanowiska. 30 - Stara rzecz cenna. 32 - Ofiaruje. 35 - Honor. 36 - Okres czasu. 39 - Rzeź. 41 - Podziękowanie dziecka.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 10

- 1 - Świętokrzyska, piąt, zew, słowik, wierzbowka, Pini, dąmski, wymierna, szaszawca, Litwos, dziw, ryzasfunk, prolog, San, akta, Szczepczyński. 2 - Świnica, interes, Trzebnica. 3 - Kew, Zosia, Stolpce, Avignon, wawrzyn, rec., Milczanie, rów, zdirus, zawilec, tłumacz, Obertyn, rygie, ser.

MOTOR i JA

B. DZIEWANOWSKI



PRAWO JAZDY WE WŁOSZECH

Nowe przepisy drogowe we Włoszech przedłużają ważność prawa jazdy do 10 lat z wyjątkiem ludzi w wieku powyżej lat 55, którzy muszą odnawiać swoje prawo jazdy co 5 lat.

BANK dla PODRÓŻUJĄCYCH

Na początku marca została otwarta przez brytyjskiego ministra transportu, Watkinsona, filia banku Martins Bank w Leicester, przeznaczona dla obsługi klientów, nie zmuszając ich do wysiadania z samochodu.

Z chwilą gdy samochód podejździe do okienka, kasjer zostaje zawiadomiony o tem specjalnym systemem foto-komórkowym. Rozmowa z klientem prowadzona jest przez głośniki, poza tym kasjer wyposażony jest w elektrycznie kierowaną szklankę do łączności z klientem, a odgradzony od niego grubą pancerną szybą.

DURKOPP DŻONA

Nowy model skuteru „weżona” w wersji sportowej został wystawiony na pokazie w Amsterdamie. Nowy model ma silnik pojemności 194 cm3 który ma dawać moc 12 koni mechanicznych, poza tym zastosowano nowy typ filtru powietrznego.

cioteczna siostra?

— Nie. Ale Zosia jest taka kochana, takie ma dobre serce i humor, że wszyscy ją szalenie lubimy i razem z ciotką Wandą uważamy za należącą do rodziny.

— Tak, to osoba wielkiej wartości. Pani Wanda również — dzielna, mądra i dobra. Tak samo jej siostra, pani Helena. To przecież starsza już niewiasta i chora na serce, a jaka odważna, pełna poświęcenia, kolporterka... Zamówię kawę. Niech pani nie ucieka. Porozmawiamy, mam dla pani pewną propozycję.

Pani Natalia, zgasiwszy światło w pokoju frontowym, podniosła storę i uchyliwszy lufecik nasłuchiwała chwilę. — Z kim ta Kryśka rozmawia tyle czasu przed domem? Przecież to zaraz będzie godzina policyjna. Jakiś męski głos, zupełnie mi nieznan. I po co ona go zatrzymuje? Jakże on będzie wracał o tej porze? Jeszcze go jakiś patrol zagarnie — mówiła pani Natalia do Oli. — Niech się mamusia nie martwi. Przecież nie są dziećmi. Idzie dozorczyński zamykać bramę. Nareszcie: pożegnali się.

Za chwilę brzęknął dzwonek, weszła Kryśka, zarumieniona, uśmiechnięta. Rozbijając się w przedpokoju przed lustrem, nuciła coś półgłosem.

— Widzę, że randka się udała? — zagadnęła Ola z uśmiechem.

— Owszem, nawet bardzo. Mam już wszystkie papiery i Brzeziński może jechać choćby jutro.

— Z kim rozmawiałaś tak długo przed domem? — zapytała matka.

— Długo? Chyba nie. Odprowadził mnie jeden „fajny kawaler”, jak go określiła Zosia. Ale mamusia go nie zna.

— Będiesz piła herbatę? Zjesz coś?

— Nie, dziękuję, nie jestem głodna. Ale herbaty się napiję z przyjemnością, jeśli gorąca. Niech mamusia się nie trudzi, wezmę sobie sama.

Ale matka już wyszła do kuchni. Krystyna idąc za nią, zatrzymała się w drzwiach i rzuciła przez ramię w stronę Oli:

— Miałas rację, Wiktor jeśli chce — potrafi być czarującym.

Za chwilę z pokoju Kryśki dobiegły słowa modnego tanga:

— Rzuć mi Twe serce jak róży kwiat, Cień twój przesłania mi cały świat, Nie wiem kto jesteś, lecz wiem, że kocham Cię...

— Biedny Misio — mruknęła Ola — układając się do snu.

ROZDZIAŁ XIV.

Nazajutrz Krystyna weszła do „Baru pod Prziorką” — bardzo się zdziwiła ujrawszy za bufetem, zamiast Reny, jej bratową, śliczną jak obrazek panią Hanke.

— Zastępujesz Renę? Chora?

— Nie, ale bardzo zajęta, wyjechała w pilnej sprawie za miasto, będzie może dopiero wieczorem. Ale i to nie na pewno — powiedziała przyciszonym głosem Hanke.

— Dobrze, damy sobie radę.

Ruch tego rana nie był wielki. Zaledwie paru gości przy bufecie i kilka nieciekawych osób na obiad. Dopiero około godziny 2 po południu weszła elegancka para. On wysoki blondyn w nowej jesiennej z karakulowym kołnierzem, ona szatynka, szczupła, zgrabna w doskonale skrojonym, szarym angielskim kostiumie ze srebrnym lisem w małym kapelusiku z woaleczką do pół twarzy.

Nie była ładna: rysy trochę mongolskie, wystające kości policzkowe, krótki nos, ale miała jakiś nieokreślony wdzięk w uśmiechu i ładne szare oczy, które patrzyły śmiało, trochę nawet wyzywająco, spod wyskubanych i zarysowanych wysoko brwi.

Dama skinęła Kryśki główką z miłym uśmiechem i przeszła wraz z towarzyszem na salę.

Kryśka popatrzyła zdziwiona i ruszywszy ramionami poszła za nią odebrać zamówienie.

— Kto to taki, ta dama, nie wiesz? — spytała Hanke, gdy Kryśka wrzuciła za ladę i zaczęła przygotowywać wódkę i zakąski.

— Ta „dama”? — roześmiała się. — Ano zgadnij, jak

ci się zdaje, co to może być za osoba, z jakiego środowiska?

— Czy ja wiem? Wygląda bardzo przyzwoicie, doskonale ubrana, w zupełnie dobrym guście. Jeśli by wnosić z tego i z jej dystygnowanej miny, można by ją wziąć za osobę z tak zwanego „towarzystwa”.

Kryśka śmiała się, zwracając do odpowiedzianki.

— To znana złodziejka tramwajowa!

— Nie, mo-żliwe! — przeciągając wyrazy i otwierając szeroko swoje i tak duże oczy, zawołała Hanke. — A ten jej towarzyszy, to pewno też złodziejaszek?

— Nie, wprost przeciwnie: agent policyjny.

— I tak razem w przykładowej zgodzie?

— Ano właśnie, trochę mnie to zdziwiło. Ale dzieją się rzeczy na niebie i ziemi... Czekaj, muszę im to zanieść, ale zaraz wrócę i opowiem ci wszystko, co wiem o pannie Zeni, a wiem sporo, bo to nasza stała klientka.

Jakoż wróciła za chwilę i myjąc szkło przy bufecie, zaczęła mówić głosem nieco przyciszonym z uwagi na gości, drzemającego pod piecem nad butelką piwa.

— Przede wszystkim muszę cię uświadomić, że panna Zenia to nie byle kto. To swego rodzaju artystka, gwiazda w złodziejskim zawodzie. Tak, kochanie, różne bywały udołnienia. Myślę że gdyby nie wojna, okupacja, a przede wszystkim gdyby ta dziewczyna urodziła się i wychowała w innym środowisku, gdyby ktoś umiał nią pokierować, to kto wie czy nie byłby z niej jakiś wartościowy, utalentowany człowiek. Zenia, mając obecnie lat zaledwie 19, „pracuje” w swoim fachu już od czterech lat, wykazując wprost fenomenalny talent. Ma na utrzymaniu narzeczonego, matkę, brata, a także kochankę mamci. Kiedy w zeszłym roku wpadła i posiedziła kilka miesięcy, to cała „ferajna” mało z głodu nie umarła!

— Skąd o tym wszystkim wiesz?

— Sama mi opowiadała. Zenia czuje do mnie, nie wiadomo dlaczego, wielki sentyment i często mi się zwierza ze swoich przeżyć i przygód.

— Chwali się pewno tylko.

(Ciąg dalszy nastąpi)

ZBIERAMY ZNACZKI

Poczta szybowcowa i balonowa w Polsce

Z okazji VII Szybowcowych Mistrzostw Świata, które odbyły się w Lesznie Wlkp. w czerwcu 1958 r., zorganizowana została wystawa filatelistyczna o tematyce lotniczej i sportowej, pod nazwą „Filsport”. W czasie trwania wystawy uruchomiono Poczta Szybowcowa. Trzy placówki przyjmowały przesyłki: jedna w Strzyżewicach na lotnisku szybowcowym, druga na wystawie w Lesznie i trzecia w m. Osieczna k/Leszna. Każda z placówek miała swój własny stempel okolicznościowy i własne ozdobne koperty.

Lotów Poczty Szybowcowej było 5. Pierwszy odbył się dn. 18. 6., szybowiec „Bocian”, zabrano przesyłek 901, drugi dn. 24. 6., szybowiec „Bocian”, zabrano przesyłek 863, trzeci dn. 26. 6., szybowiec „Jaskółka”, zabrano przesyłek 1.058, czwarty dn. 29. 6., szybowiec „Mucha 100”, zabrano przesyłek 1.244 i piąty dn. 1. 7., szybowiec „Jaskółka”, zabrano przesyłek 1.683 oraz 244 przesyłki poczty młodzieżowej.

Na wszystkie przesyłki Poczty Szybowcowej naklejane były specjalne nalepki z dopłatą 1 zł, drukowane w arkusikach po 20 sztuk, ząbkowane i cięte. Nalepek ząbkowanych wydrukowano 12.640 sztuk i nalepek ciętych 540 sztuk. Oplata pocztowa za przesyłkę szybowcowa wynosiła minimum 2.50 zł.

Przed zabraniem poczty przez szybowiec, znaczki pocztowe na kopertach były kasowane odpowiednim kasownikiem okolicznościowym danej placówki pocztowej. Nalepki natomiast były kasowane stempelkiem koloru fioletowego lub czerwonego z nazwą i numerem szybowca. Wszystkie przesyłki znaczone były numeratorem pocztowym na każdy lot osobno.

Z miejsca wylądowania szybowca worek z pocztą dostarczany był do najbliższego urzędu pocztowego, który po przyłożeniu swego normalnego stempla, odsyłał przesyłkę do adresata.

W dniu otwarcia Szybowcowych Mistrzostw Świata, tj. 15. 6. 1958 r., z rynku w Lesznie wystartował do lotu propagandowego balon „Poznań”, który zabrał 785 przesyłek pocztowych, stanowiących pierwszą powojenną pocztę balonową. Dla opłaty przesyłek balonowych przedrukowano nalepki szybowcowe ząbkowane w ilości 1.600 sztuk. Nadruk czarny: BALON (POZNAŃ) 15. VI. 1958. Na 17 nalepek jest błąd w nadruku: zamiast VI (czerwiec) jest V. Na każdej przesyłce przybijano również stempelek w kolorze fioletowym lub czerwonym: 1 LOT BALONU „POZNAŃ” LESZNO WŁKP. Balon wylądował w m. Siciń, 16 km. od startu.

Przesyłki dostarczono do miejscowego urzędu pocztowego, który po opieczętowaniu ich okrągłym kasownikiem w kolorze czarnym tegoż dnia przekazał je adresatom.

P.k.

FAKTY i UROJENIA BARBARZYŃCY

BARBARZYŃCĄ nazywa się dziś człowieka, który dopuszcza się gwałtów lub zachowuje się w sposób wyzywający. Zawiera się w tym słowie sztyderstwo i surowa ocena postępowania. Otóż należy przypomnieć, że w dawnych czasach barbarzyńcy nie zawsze byli okrutni i nieokrzesani. Dla starożytnych Greków i Rzymian mowa obcych ludów, z którymi się stykali, była kaskadą niezrozumiałych dźwięków: „baba...” Wyrazu „Barbaros” używali Grecy dla określenia cudzoziemca, mówiącego niezrozumiałym dla nich językiem. Barbarzyńcą w dawnych czasach mógł być człowiek cywilizowany łagodnych obyczajów, który nie znał greki ani łaciny.

BIG BEN

N AZWA Big Ben oznacza wielki dzwon, wydzwaniający godziny na wieży zegarowej pałacu westminsterskiego (w którym obradują obie Izby Parlamentu), ale nie sam zegar. Nazwa pochodzi od imienia Beniamina Hall'a, pierwszego komisarza robót publicznych w okresie, kiedy ten sławny dzwon został odlany.

Żaloszny obraz ... Anglii

Młody pisarz krakowski p. Bohdan Drozdowski, który niedawno bawił przejazdem w Anglii, dzieli się z czytelnikami „Życia Literackiego” swymi wrażeniami z tego kraju. Opisując swe spostrzeżenia p. Drozdowski daje równocześnie miążdzącą odprawę Anglikowi, p. Richard Curle, który niedawno, w związku ze swymi badaniami nad Conradem był gościem w Polsce. Po powrocie napisał, że Polska jest państwem policyjnym, w którym występują zjawiska nieodłączne od reżymu komunistycznego oraz podkreślił strzącający się w Polsce alkoholizm.

Pan Drozdowski uważa, że przelotnie bawiący cudzoziemiec, bez znajomości warunków i języka nie ma prawa wypowiadać takich uogólniających sądów:

Pyszni są ci dżentelmeni odwiedzający naszą stronę świata. Przyjeżdżają z gotowymi, sprecyzowanymi przez „zawodowych antykomunistów” formułkami, ich czaszki są już faktoszczelne, a horyzonty zaprawdę fundamentalne.

Pan Drozdowski daje lekcję tepe-mu Anglikowi. On sam również przyjechał do Anglii z pewnymi gotowymi poglądami — jest się tylko człowiekiem — ale nie wahał się radykalnie ich zrewidować, gdy tylko stwierdził, że nie odpowiadają one rzeczywistości. Był przekonany, podobnie jak wielu mieszkańców Polski, że Anglia jest kulturalna, zamieszana i „przodująca”. Pierwszego zaraz dnia przekonał się, że to wszystko bujda.

Kłamstwa Macmillana

W samym centrum Londynu uderzyły go widoki bezprzykładnej nędzy. Zobaczył clownów usiłujących swymi sztuczkami zarobić na kromkę chleba, ale bezlitośnie przeganianych przez głuchych na ich nędzę policjantów. W samym centrum Londynu Krakowianin własnym oczom nie chciał wierzyć; i obawiając się, że mu czytelnicy również nie uwierzą zamieścił fotografię owych clownów.

Boże, toż to centrum Londynu, stolicy kraju o jednym z najwyższych poziomów bytu — jak mówił premier Macmillan w Moskwie — a tu takie rzeczy! Biedny człowiek miał tyle ciężkiej gorczy w oczach. Płynący obok niego ściek zamarł, ale przecież nie byłoby efektu — gdyby „Zampano” miał na sobie koszulę...

Dalsze dowody cynicznych kłamstw Macmillana nasz krakowiak znalazł na East Endzie. Wszedł tam do małej knajpki „przypominającej podobnie w Rawie Mazowieckiej” z „papierowymi serwetkami w czerwone kraty” i za ciekawą zupkę, jako na boczek i małą Coca Colę zapłacił 8 szylingów.

Przy okazji dowiedział się od kelnerki, że zarabia ona trzy i pół funta tygodniowo. Dziewczyna była oczywiście obdarta, miała na sobie „tani sweterek i cienką sukienkę; stopy chowała w trumiaczkach wartości złotych polskich 60”.

Je jest takich dziewczyn w Londynie? — pyta p. Drozdowski, ale z braku odnośnej liczby nie daje na to odpowiedzi.

Wie natomiast, że jest 200 tysięcy prostytutek, co jest ostentacyjnie zrozumiałe w kraju, gdzie panuje „wzrost człowieka przez człowieka”; wie również, że jest wiele setek tysięcy teddy boy’ów, „z których wyrastają złodzieje i gangsterzy, oszuści i defraudanci itd.”

Pan Drozdowski jest tym szczerze zatroskany, ale troska nie przesztania mu wrodzonej jasności myślenia:

Dlaczego — pyta — ta angielska, świetnie — jak się u nas zwykło mawiać — sytuowana „worker class” jest wylęgarnią tej dokuczliwej fauny?

Pana Drozdowskiego śmiech pusty ogarnia na myśl o owej rzekomej zamożności „worker class”. Na własne oczy widział jak to wygląda naprawdę. I odważnie odsłania polskiemu czytelnikowi wstydliwie dotąd przemilczany fakt, że robotnicy angielscy — rzekomi posiadacze własnych samochodów — do pracy jeżdżą... Wiecej czym? Kolejką podziemną!!!

Metro w godzinach dojazdu do pracy i powrotu jest nabite jak warszawski tramwaj, koleje dojazdowe przypominają puszki z sardynkami. Pasażerowie, jak się należy domyślać, nie są posiadaczami will i samochodów.

A może — pyta z pieką ironią p. Drozdowski — oszczędzają wozy i benzynę, która jest droga?

O fenomenach psychiki Angielczyków

Ach, wiele, wiele rewelacyjnych odkryć zrobił p. Drozdowski w Londynie. Wiedziony pasją sumiennego obserwatora nie pominął niczego. Zwiedził nawet tancbudy, aby stwierdzić, że chłopcy chodzą w portkach „okrutnie wyartych na siedzeniach, często tatanych”, dziewczyny zaś są przysadziste i piersiaste a tańczą przeważnie — bosó.

Wszędzie ubóstwo, nędza i smród; ale zdaje się, że p. Drozdowski nie odsłania całej ponurej prawdy o zafotaniu Zachodu, bo przed wyjazdem ostrzegano go, aby pisał ostrożnie o negatywnych stronach życia na Zachodzie, aby nie ściągnął na siebie podejrzania że chce robić karierę.

Pan Drozdowski przeprowadził jednak sumienne studia nad „fenomenami psychiki Angielczyków” i w wyniku swych badań przyznaje całkowitą słuszność Mackiewiczowi, który pisał o „okrutnym zimnie czy o zimnym okrucieństwie Anglików”.

Oczywiście spostrzeżenia i wnioski p. Drozdowskiego są z pierwszej ręki, oparte na bezpośrednich rozmowach Anglików z różnych sfer. Dopomagała mu w tym doskonała znajomość angielskiego, której daje dowody, przytaczając gęsto swój reportaż wyrażeniami angielskimi takimi, jak „worker class”, „trubble”, „klown” i wiele ściśle podobnych.

Pan Drozdowski dokonał pozy-

MŁODA POLSKA
AKTORKA FILMOWA
BOŻENA KUROWSKA

Korespondent „Tygodnia” z Kraju pisze:

WARSZAWA, w kwietniu. „Dom Starców imienia Matysiaków”... „Fundusz Sierocy imienia Matysiaków”... „Wiejskie domy imienia Matysiaków”...

I tak dalej, I tak dalej, I tak dalej. Któż są ci Matysiakowie, których nazwisko patronuje tylu dziełom dobra ogólnego? Co to za zakęcie magiczne co otwiera serca i kieszenie obywateli dla wspomaganie milionowymi sumami czynów filantropii społecznej?

nie sprawy nieciekawych ludzi natrafiają na tak niespodziewanie silny oddźwięk w milionowych rzeszach słuchaczy?

Przed wojną entuzjazmowała szerokie masy „Trędowata” (entuzjazmuje zresztą i obecnie; są prywatni „przedsiębiorcy” zarabiający na dostatnie utrzymanie z wypożyczania na maszynę przepisanych dzieł panny Mniszek).

W żywiołowym czytelnictwie tej powieści była zapewne chęć ucieczki od szarości codziennego życia w wymyślony świat „wyższych

MATYSIAK



Walory negatywne

Trudno będzie znaleźć wytłumaczenie fantastycznego sukcesu „Matysiaków” jeżeli będzie go się szukało w pozytywnych walorach tej „sagi ludowej”. Pociąga w niej zapewne nie to co w niej jest ale raczej to, czego w niej nie ma.

Rubryka „nie ma” zawiera wiele istotnych pozycji. Nie ma „ważkiej problematyki ideologicznej”. Nie ma „idei całociowych” i „socialistycznego zaangażowania”. Sprawy Matysiaków nie są ujmowane „z pozycji marksistowskich” i nie łączy się z nimi kurs polityczny.

Srodowisko Matysiaków jest demokratyczne. Jest to srodowisko robotniczo-chłopskie. Nazwiska osób kończą się przeważnie na ski, to szlacheckość tej końcówki będzie przekreślona przez demokratyczne brzmienie pierwszej części nazwiska.

Chłopi i robotnicy jako bohaterowie fikcji — to nic nowego w Polsce ludowej. Byli oni „bohaterami pozytywnymi” w literaturze i w radio w okresie gdy mobilizowano poetów do kampanii na rzecz skupu zboża i żywca.

Do tej dali się nie pali

Ale, pożałujcie Boże, co to byli za robotnicy! Żyli w jakimś nie istniejącym świecie gdzie kwitła wysoka cywilizacja materialna i jeszcze wyższa kultura duchowa. Nie jedli, nie pili i nie golili się — wszystek swój czas zużywali na nieubłaganą walkę o socjalizm.

Inaczej Matysiakowie. Tych dzieje rozgrywają się w aktualnym roku 1959 — ze wszystkimi jego cieniami — nie w roku 1965, gdy będą już same tylko blaski. I to jest ogromna zaleta tego cyklu. Bo taka już jest „specyfika” obywatela współczesnej Polski, że jak zarazy nie znosi wizji promiennej przyszłości. „On do tej dali się nie pali, bo to niby co z tej dali?”

W życiu Matysiaków zdarzają się różne rzeczy, ale nie ma tego co było chlebem codziennym u bohaterów dawnych słuchowisk radiowych. Nikt tu nie demaskuje kapitalistycznych sabotażystów rozwijających ciemne machinacje, aby uniemożliwić wypełnienie planu produkcyjnego. Nikt nie traci życia w wyniku rzeczonych machinacji; nikt nie umiera z wyrazem szczęścia w gasnących oczach po otrzymaniu uspokajających zapewnień, że będzie godnie zastąpiony przy swej uko-

nej obrabiarce — tak że plan będzie, mimo wszystko, wykonany.

I nie ma wokół bohatera członków załogi w proletariackim uniesieniu zaciskających pięście i ślubujących odwet.

Autentyczne zamówienie społeczne

W tym tkwi chyba główna atrakcja sagi rodu Matysiaków. Ten wątpliwej piękności kwiat wyrósł na nawozie estetyczno-wychowawczych praktyk czasów przedpaździernikowych.

Matysiakowie apelują w jakiś tam sposób do pojęć i zainteresowań prostego człowieka. Dziela z nim jego gusty, upodobania i aspiracje. Portrety różnych Matysiaków, Kolańskich czy innych Grzelaków mogą być wymyślone i papierowe; ale dla słuchaczy są to żywi ludzie, z którymi mogą się zidentyfikować. Dialogi w naturalnej, „życiowej” rozwekłości są mówione, nie deklamowane. W tym wiodleństwie ludzi coś zachwyca. W tym grafo-manstwie coś ich urzeka.

Niebadane są tajnie duszy tzw. „masowego odbiorcy dóbr kulturalnych”.

Można bez przesady powiedzieć, że „Matysiakowie” to autentyczne „zamówienie społeczne”. Można też powiedzieć, że z całego programu upowszechnienia dzieł sztuki — to jedno dzieło zostało dotąd naprawdę upowszechnione. Ze jest jedynym, niewątpliwym i dotykającym przejawem „umasowienia kultury” — choć nieskończenie więcej w tym umasowienia niż kultury.

„Matysiakowie” nie mają dobrej prasy. Z ławów rozlegają się złowrogie ostrzeżenia, że audycja ta jest „zmarowaniem olbrzymiej szansy wychowawczego oddziaływania”. Słychać nawoływania aby ją upolitycznić. „Nasyć tymi treściami ideologicznymi jakimś żyje naród w Polsce”. Albo — jak się ktoś jeszcze barwniej wyraził — „zaoszczędzić walkę klasową” w fikcyjnym srodowisku radiowych Matysiaków.

Nie należy mieć wątpliwości, że te inspirowane nawoływania odniosą skutek. W obecnym okresie gdy



Fikcja realniejsza od rzeczywistości

Nie ma w Polsce osoby dorosłej lub dziecka, które by tego nie wiedziało. Matysiakowie to najpopularniejsze w Polsce nazwisko. Popularniejsze niż Chruszczow lub Gomułka.

Należy do świata fikcji, ale jest bardziej realne niż nazwiska ze świata rzeczywistego.

Matysiakowie to fikcyjna rodzina radiowa. Zwykle, codziennie wydarzenia jej życia są treścią audycji cyklicznej. Sam pomysł przywdro-wał z zagranicy — bodajże z Anglii — ale tu, na polskim gruncie, przybrał niezwykle, nie spotykane nigdzie formy i rozmiary.

Miliony ludzi słuchają co tydzień tego słuchowiska. A wokół niego rozgrywa się — szaleństwo.

Codzienna poczta przynosi tysiące listów imiennie adresowanych do postaci występujących w tym przedstawieniu. Napływają depeze gratulacyjne, gdy która z nich obchodzi imieniny. Spiją się dary — autentyczne dary dla fikcyjnych osób — gdy z tekstu wyniknie, że któraś z nich czegoś potrzebuje, czy czegoś nie może dostać.

I rzecz w Polsce „ludowej” niepodobna do prawdy — ludzie dobro-wolnie, z własnej i nieprzymuszonej woli, opodatkują się na cele filantropijne, jeżeli są związane z nazwiskiem Matysiaków.

Sienkiewicz, Wiech i Mniszkówna

Tysiące ludzi chcą wierzyć w najzupełniej realne istnienie Matysiaków. Granica między rzeczywistością a fikcją zatarła się całkowicie.

W tej skali rzecz to chyba bezprzykładna. Wiadomo że Sienkiewicz w toku publikowania w odcinkach Trylogii zasypany był listami czytelników, niepokojących się o losy bohaterów powieści.

Można spokojnie złożyć zapewnienie, że autorzy „Matysiaków” — panowie Janicki, Stampil i Żesławski są Sienkiewiczami na skalę niezmiernie ubożuchną. Ale, jeżeli uwzględnić zakres oddziaływania i społeczne skutki ich fikcji, to nie ulega kwestii, że osiągnęli sukces nie mniejszy niż Sienkiewicz.

Nasuwają się pytanie, które już wielu ludziom w Polsce się narzuciło: — Dlaczego nieciekawe ostatecz-

sfer towarzyskich”. Ale „Matysiakowie” są ucieczką od szarości codziennego życia — w inną wymyślony świat.

Nie jestem ekspertem od „Matysiaków”. Nie cieszę słucham tej monotonnej audycji. Ale ci co się nią pasjonują, jako ciekawym zjawiskiem socjologicznym, zapewniają że nie jest ona w żadnej mierze zwierciadłem życia warszawskiego. Jej ojcem duchowym jest Wiech, tylko że całkiem wyprany ze swego swoistego humoru i dowcipu.

Głównym rysem realistycznym, jak się zdaje, jest to że osoby wy-

O NAIWNYCH GDY DWÓCH MÓWI TO SAMO,

— Jeśli dwóch mówi to samo, to nie zawsze jest to samo — mawiali starożytni Rzymianie (od Rzymian należy, prawda, zacząć każdą naukę) — mniej lub więcej — naukowa). Zdaje się, że to Cicero odkrył tę prawdę. Cicero, choć polityk i gaduła, był przytomniaki — umiał odróżnić baranka rzetelnego od wilka beczącego baranem fałsetem.

Miałby Cicero dzisiaj uciechę nie małą, gdyby tak czytał słowa, troski o polskość pełne, w jakiejś reżymowej szmatce krajowej lub emigracyjno-agenciackiej, o cichutkie srebrniki reżymu opartej, a jednocześnie widział te same niemal słowa w uczciwym piśmie polskim.

DEFINICJA AGENTA

Działalność agenta, agenta doskonałego, polega na wczuciu się w życie srodowiska, które ma „rozpracować”, to znaczy rozbić, skłócić, przespiciłować, zniszczyć.

Agent tym się różni od wroga otwartego, że nie przychodzi z mieczem w garści, ale z nożem i trucizną za pazuchą; nie ze słowem potępienia, ale z początkiem judasza. Agent włącza się w chór ogólnych rozmów — białad lub pochwał — wczuwa się w atmosferę ogólnego smutku lub radości, próbuje stać się jednym z masy, by z czasem stanąć na jej czele, narzucając jej swoje przewodnictwo.

Mistrzami w działaniu za pośrednictwem agentów były od wieków tyranie Wschodu. Wśród nich do-

dużej doskonałości doszedł carat rosyjski, który jak wiadomo w okresie przedrewolucyjnym miał swoich szpicliów i prowokatorów we wszystkich organizacjach rewolucyjnych (u bolszewików — słynnego Malinowskiego, bliźniego przyjaciela Lenina; u eserów — Azeffa, w „dziki” ruchu robotniczym — mnicha Happona; w związkach zawodowych — Zubatowa itd.).

Od caratu system działania przez agentów przejęli i na światową skalę rozwinęli bolszewicy, spadkobiercy, kontynuatorzy i racjonalizatorzy tyranii carskiej.

Gdziekolwiek pojawi się jakikolwiek bolszewik — wiedzie, że tam zaraz gdzieś obok powstaje bądź indywidualna, bądź grupowa wtyczka agenturalna.

Przed wojną w Polsce komuniści, stanowiąc nieliczną sektę agentów moskiewskich, mieli wszędzie wpływ nieproporcjonalnie — do swej liczby i do popularności swej „idei” — wielkie. Uzyskiwali je przy pomocy agentów, posyłanych wszędzie gdzie tylko potrafili ich wcisnąć. Można powiedzieć bez przesady, że nie było liczniejszej grupy politycznej, społecznej, zawodowej, nawet religijnej, gdzie by nie działał agent komunistyczny.

WYDZIAŁ ORGANIZACJI WROGICH

Na miejsce jednego zde-maskowanego przychodzili inni. Jednych gnała zwykła szubrawa chęć „łatwego” zarobku, innych

głupota i fanatyzm ideowy, innych żądza przygody, innych pragnienie prowadzenia podwójnego życia, jeszcze innych zwykła przekora, chęć pądzenia, chęć wyzycia w ten sposób podświadomych przestępczych instynktów.

W partii bolszewickiej istnieją specjalne szkoły, istnieją, o bogatą praktykę oparte, teorie, uczące, jak się podbiera agenta, jak go się prowadzi, jak go się szkoli i wykorzystuje.

(W partii polskiej istniał wydział szkolenia agentów pod nazwą: „Wydział Organizacji Wrogich”). Są to metody wyrafinowane i precyzyjne, a że ich wyznawcy i wykonawcy nie mają w swej robocie najmniejszych skrupułów i zahamowań moralnych — skuteczne. Oczywiście na bliższą tylko metę. Bo fakt faktem że przed czy później cały ten antyludzki, zbrodniczy, utwierdzenie niewoli i tyranii mający na celu, system przed czy później skończy się powszechnym krachem — jak skończył się na makiawelizmie oparty system Cezara Borgii i jemu podobnych.

WŚRÓD EMIGRACJI

Tylko naiwni, dzieci — albo agenci komunistyczni — mogą mówić, że u nas na emigracji nie działają — komunistyczni agenci.

Działają — całym tłumem. Kilka lat temu rząd Partii Pracy, bez porównania mniej naiwny niż rząd twardogłowych konserwatywnych donkiszotów i makcudusio-

KOLOWIE RAJ

dziś, śni się „pięciolatka kulturalna”, gdy nakazem partii jest twórczość „realistyczna, zaangażowana i optymistyczna”, władze na pewno zechcą wykorzystać sukces „Matysiaków”, aby uczynić zeń „czynnik wychowawczy kształtujący świadomość socjalistyczną mas”.

Zbyteczne dodawać, że będzie to zarżnięcie tępych partyjnym nożem „Matysiaków”. Zarżnięcie jednej z ostatnich już „zdobyczy Października”.

Konstanty Październik



WAGARY NAD WISŁĄ

KWIATY z WIEZIENIA

Trzydziestoletnia głucha cisza, która nastąpiła po powstaniu 1863 roku, zdawała się świadczyć, jakoby naród polski pogodził się już ze swym losem i nie myśli już o „buncie”!

Aż tu nagle w setną rocznicę Konstytucji Trzeciego Maja, w 1891 roku, pierwsza manifestacja: grupka studentów Uniwersytetu Warszawskiego i profesorów składa wieńce na porośniętym mchem i pleśnią fundamentach Świątyni Opatrzności w Ogrodzie Botanicznym.

Aresztowania i zsyłka „buntow-szczyków” w głąb Rosji...

Po trzech latach, 17 kwietnia 1894 roku, znowu manifestacja, w której już bierze udział znacznie więcej osób. Po nabożeństwie żałobnym za duszę Kilińskiego wyrusza z katedry św. Jana pochód — przez Stare Miasto na ul. Wąski Dunaj — do kamienicy, w której ongiś mieszkał Kiliński.

Policja carska oczywiście czuwała. Manifestantów otoczono, aresztowano i rozwieziono po więzieniach, a częściowo, z braku miejsca, również po komisariatach, czyli tzw. „cyrkulach” policyjnych. Wśród uwięzionych znajdowały się i kobiety z dziećmi (między innymi stryjka moja Aleksandra Święcicka z ośmiomiesięcznym synkiem, Tadeuszem). Warszawa przyjęła to wszystko,

Jak Warszawa walczyła z carątem

oczywiście, z wielkim oburzeniem, co przyczyniło się do zwolnienia kobiet z niemowlętami, ale — jak to nasza kochana Warszawa — poniekąd i z humorem. Z ust do ust krążyły opowieści o kawałach, jakie studenci urządzali policjantom i żandarmom.

W „cyrkulach”, gdzie nie obowiązywał surowy regulamin więzienny, jak np. na Pawiaku i w Arsenale na Długiej, a młodzież trzymana była gromadnie w wielkich salach, śpiewano głośno, chóralnie, nie robiąc z wartowników, bardzo śmiało, naprędce ułożone kuplety o oberpolicmajstrze Klajgelsie, ogólnie znienawidzonym zruszczonym Niemcu:

...A ten Klajgels wielki zuch



POLSKIE TRAKTORY „URSUS” ŁADOWANE W GDYNI NA EKSPORT

Pochwalamy w Polsce

Z funduszy konserwatora wojewódzkiego na Opolszczyźnie przeprowadza się obecnie konserwację 20 zabytków w województwie opolskim. Do najważniejszych prac zaliczyć wypada konserwację murów obronnych i baszty w Otmuchowie, murów w Głubczycach, dawnego muzeum i kolegium św. Anny w Nysie, wieży średniowiecznej w Białej Prudnickiej i 4 drewnianych kościołków.

Obrabiarki z marką „HCP” fabryki Cegielskiego w Poznaniu są coraz bardziej poszukiwane na rynkach zagranicznych, w dużej mierze na rynkach zachodnich.

W roku ubiegłym fabryka Cegielskiego wysłała do wielu krajów zagranicznych i zamorskich, głównie na Zachodzie 170 maszyn. Tegoroczny portfel zamówień eksportowych obejmuje już w tej chwili 200 obrabiarek. Dla pozyskania dalszych odbiorców zakłady Cegielskiego wystawiają w tym roku swe obrabiarki na targach międzynarodowych w Melbourne, Johannesburgu, Mediolanie, Casablance, Barcelonie, Walencji, Goeteborgu i w Moskwie.

Wziął stu pięćdziesięciu dwóch, Hejże chłopcy, hejże-hal Kto mu pierwszy w mordę da?

A gdzieś z głębi sali odzywał się gruby głos: — Ja!

W „cyrkule” przy ul. Chłodnej siedział najmłodszy brat mojej stryjki, Stach, dorodny dwudziestoletni chłopak.

Po uzyskaniu zezwolenia na widzenie, poszliśmy obie ze stryjką 8 maja, to zn. w dzień jego imienin, odwiedzić Stacha. Widzenia odbywały się w wielkiej sali, gdzie tylko drewniana bariera oddzielała gości od więźniów. Rozmowy toczyły się swobodnie.

Dowiedziawszy się, że Stach spot-

PROTEST REYTANA

Warszawa była pełna wojska rosyjskiego, pruskiego i austriackiego, oraz najpodlejszych polskich wybiórków. Komendantem miasta był austriacki generał, a panem położenia gruby, przysadzisty Stackelberg, ambasador rosyjski. Miał on 120 tysięcy rubli rocznej pensji, utrzymywał wspaniały dwór; w jego przedpokojach pierwsi dygnitarze Rzeczypospolitej wyczekiwaliby go ziniemi na audyencję.

Pierwszy rozbiór był już postanowiony, ale 3 mocarstwa żądały, by sejm polski go zatwierdził.

Zamiast normalnych 242 posłów zjechało na ten sejm hańby tylko 111. Złamane katastrofą społeczeństwo zbojkotowało wybory i posłami zostali niemal wyłącznie jurgielnicy, nikczemne przedawczyki laszący się do kacapskiego rubla. Przewodził tej hałustrze Adam Poniński, rozpusztnik, szuler, kanalia bez czci i wiary. Carowa Katarzyna wyznaczyła go na marszałka tego sejmiku, który miał się wyrzec jednej trzeciej obszaru Polski.

ski nie ruszał się teraz bez ochrony oddziału wojska rosyjskiego. Zwolał też sąd konfederacki, który — zaozycznie — uznał Reytana za gwałciciela ustaw i za nieprzyjaciela ojczyzny, oraz skazał go na konfiskatę dóbr i wygnanie z kraju.

Król, dygnitarze, przyjaciele rozdali Reytanowi, by przeprosił Ponińskiego i zaniechał dalszego oporu. Ale poseł nowogrodzki nie chciał o tym słyszeć.

Trzeciego dnia otwarcia sesji nastąpiło o 7 rano. Zbrojna straż nie wpuściła na galerię arbirów. Wojsko moskiewskie otoczyło Zamek. Nieulekły Reytan, ochrypliły od ciągłego przekrzykiwania jurgielników, nadal domagał się wolnego sejmu.

Tymczasem Poniński, uzyskawszy od Stanisława Augusta przyrzeczenie przystąpienia do konfederacji, znowu solwował sesję. A przepisy nakazywały wybór marszałka w ciągu trzech pierwszych posiedzeń. Więc skoro poplecznicy Ponińskiego skierowali się do wyjścia — Reytan rzucił się w drzwiach na ziemię i, rozpostarty, wołał:

WALKA O LASKĘ

Lecz było i kilku posłów — patriotów z 30-letnim Tadeuszem Reytanem, ekskonfederatem barskim na czele. Reytan, poseł z Nowogrodka, zamierzał użyć „veta”, zerwać sejm i w ten sposób uratować przynajmniej honor Polski. Ażeby przeszkodzić tym planom Stackelberga nakazał Ponińskiemu zawiązać konfederację.

A na skonfederowanym sejmie veto nie istniało, decydowała tam większość głosów.

19 kwietnia 1773 roku, na Zamku Królewskim, odbyło się pierwsze posiedzenie sejmu. Skoro tylko Poniński, jako marszałek konfederacji, ujął laskę w dłoń i zasiadł na krześle marszałka koronnego, wystąpił

W DRZWIACH

— Bójcie się Boga! Jeśli Matkę Najświętszą kochacie, jeśli wam ojczyzna miła i w wieczną niewolę nie chcecie jej poddać — nie wychodźcie!

Ale jurgielnicy przelazili ponad Reytanem, deptali go w pośpiechu, popędzili na obiad i po nowe ruble Stackelberga.

Na sali zostało 11 posłów. Przesiedzieli o głodzie do zmierzchu. Liczba ich zmalała do pięciu... na noc pozostał w sali Reytan sam jeden...

Stackelberg wpadł w pasję. Zaczął grozić, że wprowadzi 50 tysięcy wojska, które spustoszy całą Polskę, że



Reytan i oświadczył, że to bezprawie, że to sejm zwykły, nie skonfederowany, że Poniński nie jest marszałkiem.

Posłowie łączący, sieradscy i kilku litewskich poparło Reytana hucząc gromko: — Nie pozwalamy!

Powstała straszna wrzawa. Wszyscy posłowie wrzeszczą na raz, rozwścieczony Poniński stuka laską, arbitrzy, czyli publiczność, krzyczą: — Niech żyją poczciwi posłowie!

W tym zamęcie Reytan wyrwał z rąk odźwiernego drugą laskę, przez-

wszystkich opornych wywiezie na Sybir, że króla pozbawi korony.

Przerazony Stanisław August przystąpił wraz z senatem do konfederacji. A wobec okupowania przez Reytana sali sejmowej zwołano posiedzenie skonfederowanego sejmu do sali senatu.

Sprawa była przegrana. Po 36 godzinach Reytan z 4 towarzyszami, Korsakiem, Bohuszewiczem, Kurzenieckim i Bulharynem, opuścił wreszcie salę sejmową. Wysłannik Ponińskiego ofiarował Reytanowi 2.000 dukatów w zamian za uznanie go marszałkiem, lecz Reytan odparł: — Przywożem z sobą na ekspensę 5.000 dukatów i chętnie je oddam panu Ponińskiemu, aby tylko marszałkostwo odstąpił.

Reytan nie brał udziału w obradach haniebnego sejmu, który pod laską Ponińskiego zatwierdził rozbiór. Wrócił do swego majątku, Hruszowej, w Nowogrodzkiem. Umarł w 7 lat później, zżerany rozstrojem nerwowym z powodu rozpaczy nad losem ojczyzny.

Karol Zbyszewski

I AGENTACH MO, TO NIE JEST TO SAMO

(jak nazywają w Anglii MacMillana, pobożnego pielgrzyma do białokamiennej Moskwy), wylał bez litości — i bez specjalnego rozgłosu — ponad dziesiątek co znaczących agentów komunistycznych, działających — od lat — wśród polskiej emigracji. Byli wśród nich ludzie, za których najwini i dzieci głowy by oddali; byli prezesi i wiceprezesi szanownych i naprawdę patriotycznych organizacji niepodległościowych...

A zdarzyło się to na długo przed „polskim październikiem”. Więc wyobraźcie sobie, jaki tłum operuje teraz — po październiku, po tym październiku, który stworzył tyle złudzeń i iluzji i który podsunał polityze możliwości „koegzystencji” — w umysłach poczciwców, oczywiście.

Nigdy nie zapomnę tego wieczoru, kiedy w moim domu, moją wódką, moi przyjaciele i poniekąd wychowankowie polityczni, tak byli zatumani „październikiem”, że mimo moich reytanowskich protestów, pili zdrowie Gomulki...

W tej mętnej wodzie frazesów, jakimi operuje z jednej strony przekupny Hanke i jego „Polonia” oraz tutejsi agenci reżymu, a z drugiej — najlepsi patrioci emigracyjni (i krajowi), agenci mogą się uwijać bezkarnie, jak szczupaki w błotnistym stawie.

CO MÓWI I ROBI AGENT

Agenci rozpowszechniają legendę Gomulki — że on dobry Polak, tylko musi grać, żeby oszukać Chru-

szczowa. Na legendę tę łatwo łapią się nasi poczciwi głupcy, którzy gdyby wiedzieli że są nieświadomymi narzędziami w rękach agentów reżymu, popełniliby chyba samobójstwo.

Agenci bardzo gorąco i usilnie troszczą się o polskość naszych dzieci.

My też. My zakładamy szkółki sobotnie, harcerstwo, organizujemy teatry dla dzieci. Agenci też pchają palce w te sprawy. I to bardzo uparcie. Nawet nie tylko palce, ale całe łapy i nogi.

Agenci bowiem dostali — wiemy o tym z pewnego źródła — polecenie, by przede wszystkim młodzież otoczyć siecią swej dywersyjnej penetracji, bo na starych raczej ręką należy machnąć. Dlatego agenci chwalebą wszystkie imprezy młodzieżowe — z wyjątkiem tych, na które wiedzą, że nie będą mieli nigdy wpływu — jak harcerstwo, świadome swych założeń ideologicznych i inne zdecydowanie antykomunistyczne imprezy.

Agenci mają również rozkaz, by operować szczególnie wytrwale wśród tej części emigracji, która specjalnie ucierpiała od Niemców — kacetowcy, ofiary Gestapo — a zwalczać, jako „beznadziejny element reakcyjny”, tych którzy przeszli „pierwiastowanie” w łagrach i zetknęli się z rzeczywistością komunistyczną praktycznie.

Instrukcja dla agentów komunistycznych powtarza kilkakrotnie obowiązek używania takiego języka

jakim mówi „rozpracowywana” masa. Z wyjątkiem oczywiście, jednej rzeczy — łączenia się z masą w atakach na Związek Radziecki. Tęgo tematu agent musi uniknąć — wiadomo: co to za pies, który szczeka na głównego pana...

Po tym więc agenta poznać można na najłatwiej: że milczy na temat tyranii moskiewskiej. Nie musi jej chwalić, ale musi co najmniej nie atakować.

POGARDZAĆ I ODCINAĆ

Wszystko co agent mówi jest czasem stuprocentowo słuszne. Tyle tylko, że brzmi fałszywie. Trzeba się wstrzymać w ton propagandy agenta. Trzeba ponad wszystko widzieć całokształt jego dywersyjnej działalności.

Emigracja nie ma własnej policji. Musimy więc chronić się sami przy pomocy własnego wyczucia i rozumu. A głównie przez przyswojenie sobie tej prawdy: jeśli dwóch mówi to samo, to nie zawsze jest to samo.

Jak dotąd, emigracja daje sobie radę z problemem dywersji i agenturalnej penetracji komunistycznej. Ale pamiętajmy, że ofensywa jest wielka, a prowadzi ją w każdym środowisku centralnie spec z ambasady sowieckiej...

Nauczmy się pogardzać agentami — trzymać ich poza naszą społecznością.

Janusz Kowalewski

kał tu kolegę, który nie ma w Warszawie krewnych ani znajomych, stryjka moja, pełna tupetu warszawianka, na poczekaniu potrafiła wydstać pozwolenie na widzenie ze swym, naprędce kreowanym, „siostrzeńcem”.

Za chwilę przed balustradą stanął przystojny wysoki brunet w studenckim mundurze. Byłam zachwycona! Nawiasem muszę nadmienić, że miałam wtedy lat 16 i — jak wszystkie pensjonarki uwielbiałam „niebieskie kołnierze” (tak zwano wówczas akademików).

Rozmowa potoczyła się gładko. Na pożegnanie zażartowałam: — Mam nadzieję, że panowie nie zapomną o moich imieninach 15 maja i będą mnie rewizytować?

— Ależ oczywiście — odpowiedzieli z głębokim ukłonem. Znamy się na formach towarzyskich! Wczesnym rankiem, w dzień św. Zofii zadzwonił dzwonek u drzwi wejściowych. Otwieram...

W progu stoi policjant, w ręcu mi dwa bilety wizytowe, pęk ślicznych pąsowych goździków i recytuje:

— Panowie bardzo przepraszają, że sami dzisiaj przyjść nie mogą, ale są bardzo zajęci!

Przeszły lata. Wysłałam za mąż, wprawdzie nie za Stacha, ani za Zygmunta, ale także za jednego z tzw. „kilińskich”.

Brałem często udział w koncer-

APTEKA Dr. J. L. SIKORSKIEGO
Telefony: APTEKA — FRE 0318
EXPORT — FRE 2058
202, Earls Court Road, London S.W.5. Blisko stacji Earls Court.
WYSYŁA wszelkie LEKARSTWA DO POLSKI
i innych krajów europejskich w dniu otrzymania zlecenia
Ceny eksportowe. — Nowe cenniki wysyłamy na żądanie.

tach, teatrach amatorskich itp. i z tej racji dostawałam wiele kwiatów.

Ale żaden nawet najwspanialszy kosz storczyków, żaden wieniec z szarfami o złożonych napisach nie sprawił mi tyle radości, nie wzruszył tak głęboko, jak ta skromna wiązanka pąsowych goździków nadesłana z więzienia!

Zofia Guzowska

FOTO DOLANS Ltd.
45, PRAED STREET,
London, W. 2. Tel. PAD 9533
Polecamy b. dobre i wypróbowane
Polskie filmy Foton 120
2 czułości 18/10 Dia i 21/10 Dia.
Cena 2/4 za rolkę. Do nabycia u nas i w polskich aptekach. Przy zleceniach pocztowych proszę załączyć 3d. na przesyłkę. Posiadamy na składzie 35 mm. filmy o takiej samej czułości, o długości 17 m.
Cena bardzo przystępna. 8822

naczną dla marszałka Litwy, i siadając na krześle obok zdumionego Ponińskiego wołał doń:

— Jakim prawem pan się zrobiłeś sam marszałkiem, takim i ja się nim zrobię!

A galeria na to chórem: — To patriota! To prawdziwy syn ojczyzny! Vivat marszałek Reytan!

Parę godzin trwał rozgardiasz. Widząc, że sytuacja wymyka mu się z rąk Poniński solwował sesję na jutro.

Następnego dnia Reytan z towarzyszami wpadli do sali sejmowej, ledwo ją otwarto, i pilnowali, by Poniński nie zasiadł na krześle marszałkowskim. 4 godziny zeszyły w szalonym zamieszaniu. Reytan przemawiał 11 razy! Zaklinał posłów, by wybrali marszałka, uznając tym sejm za zwykły. Wołał:

— Mości panowie, Poniński to kartownik co sejm uważa za partię faraona, to zdracza, którego sejm powinien pociągnąć przed sąd, to buntownik i gwałciciel, co się podstępnie wyznaczył marszałkiem.

Sesja znowu skończyła się na niczym. Wystraszony oporem Poniń-

WSZELKIE LEKI
i MATERIAŁY DENTYSTYCZNE
do cenach eksportowych
MATERIAŁY NA UBRANIA
PACZKI ŻYWNOŚCIOWE
do cenach umiarkowanych
wysyłamy do Polski i innych krajów oraz poza Linie Cursona
Mgr L. OLIWA • Mgr. B. DALSKI
APTEKA Ltd
THE BROMPTON PHARMACY
68, FULHAM ROAD,
SOUTH KENSINGTON,
LONDON S.W.3. Tel. KEN 7410.
WSZELKIE ZLECENIA
WYKONUJEMY NATYCHMIAS!
Apteka czynna codziennie do 8 w.
w czwartki do 10 po. 11268

Pamiętaj abyś dzień święty święcił...

EWANGELIA NIEDZIELNA

Na czwartą niedzielę po Wielkanocy czytamy Księgę św. Łukasza (r. 16, w. 5-14):

W on czas: Rzekł Jezus uczniom swoim: Idę do Tego, który mię posłał i nikt z was nie pyta mnie: dokąd idziesz?

Ale żem to wam powiedział, smutek napełnił serca wasze.

Lecz ja prawdę wam mówię: lepiej dla was, żebym odszedł, bo jeżeli nie odejdę, Poczyszciciel nie przyjdzie do was, a jeśli odejdę, posłę go do was.

I gdy on przyjdzie, przekona świat o grzechu, o sprawiedliwości i o sędzi.

O grzechu mówię, że nie wierzą we mnie, o sprawiedliwości, bo idę do Ojca i już mnie nie ujrzycie i o sędzi, bo księżę tego świata już został osadzony. Wiele jeszcze mam wam powiedzieć, ale teraz znieść nie możecie.

Lecz gdy przyjdzie ów Duch prawdy, nauczy was wszelkiej prawdy. Bo nie od siebie mówić będzie, ale cokolwiek usłyszy, powie i co ma nadzieję, wam oznajmi.

Łaska z wysoka pochodzi

Mszalna Lekcja czwartej niedzieli po Wielkanocy jest wyjątkiem z Listu św. Jakuba (r. 1, w. 17-21):

Najmilsi!

Wszelki dar dobry i każda wzniosła łaska z wysoka pochodzi, zstępuje od Ojca światłości, u którego nie masz odmiany ani cienia zmienności. Bo z własnej woli zrodził nas słowem prawdy, abyśmy byli niejako początkiem stworzenia jego.

Wiecie to, bracia moi najmilsi! A niech każdy człowiek będzie skory do słuchania, a powolny do mówienia i powolny do gniewu. Bo gniew człowieka nie wypełnia sprawiedliwości Bożej.



Dlatego też odrzuciwszy wszelką nieczystość i nadmiar złości przyjmijcie z łagodnością słowo w was wszczepione, które może zbawić dusze wasze.

Modlitwa Papieża Jana XXIII za Kościół Milczenia

O Jezu, Synu Boży, który miłujesz swój Kościół i ofiarowałeś zań samego siebie, by go uświęcić i „zgotować go sobie pełnym chwały, nieskalanym i bez zmazy” (Ef. 5, 23-27), wejrzyj miłościwym okiem na bolesny stan, w jakim mistyczna Twoja Oblubienica znajduje się w niektórych krajach świata, a dziś szczególnie wśród wielkiego narodu chińskiego.

Widzisz, o Panie, sidła zagrażające duszom Twoich wiernych, i znasz oszczerce oskarżenia, skierowane przeciw Twoim pasterzom, Twoim służebnikom i Twoim wiernym naśladowcom, którzy dążą do rozpowszechnienia prawdy Ewangelii i Twojego Królestwa, co nie jest z tego świata. Jakże uparcie i niecnie usiłuje się rozdzielić niepodzielną szatę Twojej Oblubienicy: jednego, świętego, katolickiego Kościoła Rzymskiego przez oderwanie Hierarchii i społeczności kościelnych od jednego ośrodka prawdy, autorytetu i zbawienia — od Stolicy Piotrowej.

Widząc tak wielkie zło, prosimy Cię przede wszystkim o przebaczenie za wyrządzone Tobie zniewagi. Zaiste, słowa skierowane przez Ciebie na drodze do Damasku do Szawła z Tarsu: „Szawle, Szawle, czemu mnie prześladujesz?” (Dz. Ap. 9, 4), możesz słusnie powtórzyć i dziś, jak zresztą tyle razy w ciągu niedawnych i dawno minionych dziejów. Pokładamy zawsze nadzieję w skuteczność wzniesionych słów, jakie skierowałeś z krzyża do Ojca Niebieskiego: „Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią” (Łk. 23, 34). Tak jak Twoja ofiara stała się źródłem powszechnego zbawienia, tak też dzięki Twojej łasce, niech dla całej ludzkości będzie zbawieniem i miłości, ponoszone w różnych częściach świata przez Kościół, Twą Oblubienicę a naszą Matkę.

O Księżę pokoju, spraw, aby biskupi, kapłani, zakonnicy i świeccy zawsze „starali się zachować jedność ducha, łączyli wzięciem poko-

ju” (Ef. 4, 3). Wszczępota moc Twoja niech obróci w niwecz złe ludzkie knowania, i niech sprawi, aby pasterze i ich trzody pozostali posłuszni głosowi jedynego Pasterza Powszechnego, jakim jest Biskup Rzymski, który w sercu swym nosi odpowiedzialność za to najczulsze westchnienie miłości: „Ojczy święty, zachowaj w imię Twoje tych, których mi dałeś, aby byli jedno jako i my” (Jan 17, 11).

Zbawicielu nasz, racz miłościwie spojrzeć na zasługi i modlitwy Two-

jej i naszej Matki, Królowej Misji i Powszechnego Kościoła. Wejrzyj na udręki, na ofiary i na przelaną krew niezliczonych zwiastunów wiary, którzy Tobie wszędzie składali i dziś nadal składają bohaterskie świadectwo. Nade wszystko jednak, pomny Twojej własnej najdroższej Krwi, obdaruj Chiny i cały świat Twoim pokojem, bo w nikim innym nie ma ani nadziei ani zwycięstwa ani pokoju, jeno tylko w Tobie, Panu naszym, nieśmiertelnym Królu wieków i narodów!

KOŚCIÓŁ W CHINACH

Do Chin dotarli katolicy misjonarze w 13 wieku. Byli to dominikanie i franciszkanie, którzy swoją ofiarną pracą przyczynili się do świętego rozwoju Kościoła w tym olbrzymim kraju. Ale zmiany panujących powodowały straszliwe prześladowania, ofiary których padali wierni wraz ze swoim duchowieństwem.

Jeszcze przed 13 laty Chiny były w Kościele terenem misyjnym, który podlegał organizacyjnie Kongregacji Propagandy Wiary. Ale w roku 1946 otrzymały Chiny własną hierarchię, składającą się z 19 arcybiskupów i 79 biskupów, z których 30 było rodowitymi Chińczykami, a inni, byli to cudzoziemcy, przeważnie Amerykanie, Francuzi i Irlandczycy. Wśród biskupów w Chinach był nawet jeden Polak, ks. Ignacy Krauze, należący do zgromadzenia ojców Łazarzistów. Był on biskupem w Shuntheit.

Kościół i kaplic mają Chińczycy ok. 6 tysięcy, parafii prawie dwa tysiące, a kapłanów blisko trzy tysiące i pół. Katolików Chińczyków jest nieco ponad 3 miliony, co jest istotnie niewiele w masie, liczącej 650 milionów.

Rząd komunistyczny usunął z Chin wszystkich biskupów cudzoziemców i prawie wszystkich pozostałych biskupów Chińczyków zamknął w więzieniu. Około dwóch tysięcy kapłanów zostało uwięzionych. Pozostali nie mają swobody wykonywania swojej kapłańskiej służby, chyba, że należą do utworzonej przez komunistyczny reżym organizacji: „Związek Patriotycznych Katolików Chińskich”, która powoli przekształcała się w „Postępowy Kościół Katolicki”, jaki z kolei stał się ostatnio „Niezależnym Kościołem Narodowym Chińskim”.

Katolicyzm w Chinach nie ma obecnie wolności, w tym bowiem kraju praktykowanie katolickiej religii jest najzupełniej unfemożliwione. Należenie do jakiegokolwiek katolickiej organizacji kościelnej lub religijnej (jak np. Sodalicia Mariańska) pociągą za sobą represje i prześladowania, uważane jest za „działalność kontrrewolucyjną” i zbrodnię przeciwko „nowym Chinom”. Praca misyjna dziś ustaje zupełnie.

Niesłychanym terrorem zmuszono kilku starych biskupów Chińczyków, torturowanych i więzionych uprzednio przez kilka lat, by dokonali biskupiej konsekracji na księżach, wybranych i odpowiednio przeszkolonych przez rząd komunistyczny. Pomimo zakazu Papieża Piusa XII, który specjalną encykliką potępił w lipcu 1958 r. cały „Postępowy Ko-

ściół Katolicki w Chinach” jak również ów „Związek Patriotów Katolików Chińskich” — konsekracje zostały dokonane. Tak konsekrujący jak i konsekrowani biskupi zostali ekskomunikowani, tzn. dotknęła ich klątwa. Ilość biskupów, konsekrowanych bez woli Stolicy Apostolskiej, co więcej — konsekrowanych wbrew jej woli: doszła obecnie bodajże już do trzydziestu kilku. I tak powstała schizma chińska, która wytworzyła już własną hierarchię i własne duchowieństwo, i do kościołów której terrorem pędzeni są wierni Kościoła w Chińscy. Ostatnio doszły słuchy, że przygotowuje się tam wybór narodowego chińskiego „papieża”, co podobno ma być widomym znakiem kompletnego zerwania z Rzymem, z którym zerwano już dawno.

Kościół Katolicki, jako Mistyczne Ciało Chrystusa stanowi całość. Skoro niektórzy członki tego Chrystusowego Ciała cierpią prześladowanie, ból ich jest udziałem całego Kościoła. Stąd cierpienia chińskich katolików są cierpieniami katolików całego świata. I stąd obowiązek modlitwy za prześladowany Kościół w Chinach, by po męczeństwie przyszło zwycięstwo Prawdy i zapanował Chrystusowy pokój.

ROZWIĄZANIA Z DNIA 7 MARCA

ZAGADKA I. Parasol, szkoła; ZAGADKA II. „Pan kotek był chory leżał w łóżeczku”, bajka S. Jachowicza; ZAGADKA III. Klece, Bory Tucholskie, Bolesław Wstydliwy; ZAGADKA IV. para; ZAGADKA V. 2; ZAGADKA VI. Warszawa, Wilno, Włodzisław, Wrocław, Włocławek, Walbrzych, Wieliczka.

Nagrody otrzymali: Rys Filipowicz (Nottingham) książkę L. Krzemieniecki pt. Z przeyród Kraemala Halabaly; Krysa Godek (Huddersfield) książkę Marri Koponickiej pt. Kwiatki Malgorzatk; Ewunia Heller (Lancaster) książkę M. Rodeziewiczówny pt. Lato leśnych ludzi; Urszulka Kordas (Manchester) książkę M. Rodeziewiczówny pt. Straszny dziadunio.

Oprócz nagrodzonych odpowiedzi nadesłali: Urszulka Czerska (Doddington), Ediek Drzymalski, Stefan Drzymalski (Cheltenham), Bogus Kordas (Manchester), Marysia Kozłowska (Melton Mowbray), Jacek Krzanicki (Nottingham), Jolanta Kasprzycka (Oldham), Wojtus Nagórski (Nottingham), Krysa Podhorodecka (London), Witk Tomaszewski (Manchester), Kazik Wałęga (Daglingworth), Marysia Wariwoda, Hania Wariwoda (Nottingham), Michał Zalupka, Zbyszek Zalupka (Nantwich).

W grupie z Zakładu Księży Marianów w Hereford nagrody otrzymali Rys Pieckielson książkę Or-Ota pt. Stoliczku nakryj się i książkę A. Fredry pt. Bajki.

Oprócz Rysia i Władka odpowiedzi nadesłali: Zdzisł Maciąg, Czesł Molodcki, Junak Cezary. W grupie ze szkoły polskiej w Keighley i Barnoldslee nagrody otrzymali: Teresa Podsiadkiewicz książkę R. Brudzińskiego pt. Dzieje piekeli; Helena Stawiarz książkę J. Porazińskiej pt. Kozucha Kłameczka; Stefan Kubiszewski książkę J. Porazińskiej pt. Za górami.

KALENDARZYK

- NIEDZIELA 26 KWIECIEŃ
Czwarta niedziela po Wielkanocy (Wiernych obowiązują wysłuchanie mszy św. i wstrzymanie się od ciężkich robót służebnych).
Św. Kłoda, papieża, męczennika, św. Marcelina, papieża, męcz. św. Piotra z Bragi, bisk., wzn. Błg. Aldy, wdowy.
- PONIEDZIAŁEK 27 KWIECIEŃ
Św. Piotra Kanizjusza, wzn., Doktora Kościoła, św. Teofila, biskupa, wynawcy, św. Zyty, panny.
- WTOREK 28 KWIECIEŃ
Św. Pawła od Krzyża, wynawcy, św. Witalisa, męczennika, św. Teodora, męczennika, Błg. Ludwika de Montfort, wynawcy.
- ŚRODA 29 KWIECIEŃ
Św. Piotra z Werony, wynawcy, św. Hugona (Hugo) z Clugny, wynawcy, św. Józefa z Cottolengo, wzn. CZWARTEK 30 KWIECIEŃ
Św. Zofii, panny, męczenniczki, św. Katarzyny z Sieny, panny, Błg. Benedykta z Urbino, wzn. Błg. Mileśa Gerard, męczennika.
- PIĄTEK 1 MAJA
(W dniu tym obowiązują wiernych abstynencja, tj. wstrzymanie się od jedzenia mięsnych pokarmów).
Św. Józefa Robotnika, Oblubienca Najśw. Marii Panny, wynawcy, św. Jakuba Mniejszego, Apostoła, św. Filipa, Apostoła.
- SOBOTA 2 MAJA
Św. Atanazego, bisk., wynawcy, Doktora Kościoła, św. Zygmunta, męczennika, św. Zoc, męczenniczki, Błg. Mafaldy.

Co tydzień DZIECIOM

DZIEJE BIAŁEGO KRUKA

Słońce wstało i pierwsze promienie padły na Niekruczka siedzącego na gałęzi z głową pod skrzydłem. Obudził się, spojrzął: dookoła pola połyskiwały rosą jak obsypane diamentami. Poczul głód, wszak wczoraj nie było czasu na posiłek. Zanim coś zjem — postanowił po namyśle — muszę zobaczyć, czy Aniolowi udało się uratować sarenkę? Poleciał więc w stronę Fiołkowej Polany. Lecąc ujrzał na skrajku lasu przy ognisku dwóch myśliwych ze strzelbami. Obok nich leżały dwie świeże skóry wilcze. Zniżył lot. Wnet usłyszał jak jeden z myśliwych odezwał się do drugiego: „Gdyby nie ów nieznajomy, który ostrzegł nas przed wilkami i powiedział gdzie są, to nigdy byśmy ich nie dostali”. Niekruczek ogromnie się ucieszył, gdyż domyślił się, że to na pewno Aniol był owym nieznajomym. Niemniej chciał jeszcze sprawdzić. Sarnę zobaczył i zanieść jej dobrą nowinę.

Na polanie sarna pasła się spokojnie ze sarniuczkami. Już obniżył lot, gdy sarna ujrzała kruką beknięła: — Ani się waż zbliżać tutaj, pasakudny ptaku! Ty który nas straszysz wilkami!

Niekruczek prędko odleciał rozważając w sercu, czemu te sarny są takie nieuprzejme? Lecz najważniejsze, że żyją!

Skerował swój lot do najbliższej wsi, sądząc, że może tam spotka Aniola. Poleciał wzdłuż drogi. Droga biegła prosto, lecz ostro zakręcała przy jarze, stromym i kamiennym. Nikt nie szedł nią prócz starego ślepego, który kosturem macał drogę przed sobą. Zbliżył się do jaru, a nie wiedząc naturalnie o zakręcie na pewno wpadłby do przepaści, gdyby nie Niekruczek, który widząc co się dzieje rzucił się w dół i uderzył tak silnie ślepego w pierś, że ów upadł na ziemię. Jakiś pracujący niedaleko stary chłop podniósł ślepego, łaskę wsadził mu w dłoń i przeprowadził przez niebezpieczne miejsce. Żegnając się ze ślepego rzekł: — Podziękuj, ślepcze, Panu Bogu za opiekę, bowiem gdyby nie ów dziwny biały ptak, który nad tobą krąży, to byłbyś nieżywy leżał na dnie jaru. Ten ptak jest na pewno wysłannikiem Bożym!

Niekruczek słysząc to mało nie pękł z dumy. Żadnego kruką dotychczas tak nie nazwano. Widocznie jest lepszy od innych kruków, bo jest biały! Żeby tu był Aniol — myślał dalej, to podziwiałby moją dobroć. Tak! Trzeba pokazać ludziom jak kruk postępuje! Z dumą siadł na ramieniu ślepego i prowadził go aż do najbliższego osiedla, krakaniem ostrzegając przed przeszkodami. Ludzie stawali ze zdumieniem patrząc, jak biały, śnieżny kruk prowadzi ślepego starca. Wzruszeni dali ślepego tyle srebra i złota, że od razu stał się bogatym. Kruk zaś nadszedł do syta.

Mieszkało w tym osiedlu dwóch złoczyńców. Widząc, że ślepy ma pieniądze, udając przyjaźń i litość zaprosili go na nocleg do swego domu. Postanowili po kryjomu obrabować go i wyrzucić precz, zaś białego

kruką, sprzedać do cyrku za złoto. Biały kruk rodzi się bowiem tylko raz na sto lat! Jak postanowili, tak uczynili.

Niekruczek znalazł się w klatce, w cyrku, gdzie dyrektor cyrku z batem zaczął go uczyć wywracania koziołków na drążku, krakania do dziesięciu i nawet liter alfabetu. Jeżeli lekcji nie umiał — nie dostawał jedzenia. Więc Niekruczek cierpiąc w niewoli, gorzko żałował swej lekkomyślności. „To wszystko dlatego — myślał — że jestem mądrzejszy i lepszy od wszystkich kruków. Chcą uczyć się ode mnie mądrości... Widząc zaś, że to czego się w cyrku nauczyli ludziom się podoba i cieszą się, szczególnie gdy krakce do dziesięciu — uczył się ważnym członkiem cyrkowego społeczeństwa. Niestety nie mogąc latać wkrótce wy-

sechł na szczapę, pióra straciły połysk i postrzępiły się jak psie kudły. Coraz mniej ludzi przychodziło, żeby podziwiać mądrość białego kruką i coraz częściej dyrektor z batem białad:

— Wpadłem tylko z tym krukkiem, trzeba będzie wymyślić coś takiego, co by znów przyciągnęło ludzi. I zaczął uczyć kruką coraz to innych sztuk. Lecz kruk z dnia na dzień był coraz bardziej zmęczony.

Coraz częściej nie mogąc spać po nocy, gdyż inne zwierzęta, zwłaszcza lwy i tygrysy, ryczały z żalości, myślał sobie: „Gdyby tak Aniol przyszedł. Aniol byłby mnie uwolnił. Przychodzi tyłu ludzi, może i on się zjawi?” c.d.n.

M. Lisiewicz

PIĘĆ PYTAŃ dla starszych dzieci

PYTANIE 1.

Gdzie umarł: Tadeusz Kościuszko, Kazimierz Białski, Adam Mickiewicz?

PYTANIE 2. Postaraj się z liter zawartych w słowie SZAROTKA złożyć jak złożonych z liter w słowie SZARONAJWIĘCZĄCĄ. P. Irena Ludwig TKA.

Je potrafią złożyć słów z liter zawartych w słowie SZAROTKA?

PYTANIE 3. Wykreślajcie w każdej linijce, podanych poniżej liter (poziomo), nazwę rzeki (każda nazwa składa się z czterech liter). Pozostałe w każdej linijce litery, czytane z góry na dół, dadzą Wam nazwę geograficzną, złączoną ze zwycięską dla Polaków bitwą (150 lat temu).

R D B A R
K R A A W
S R S T Y
T R P Z U
Y I N P A
R N D O A

PYTANIE 4. a. Dwaście miesięcy napisz wspan, dodaj litery, których brak. A całe nazwisko — ... Częstochowy blisko! b. Córka Urszulki Jan KOCHA — 1 nad życie. Po kocha, sześć liter naliczycie. Pod lipą siadywał, wiersze pisywał.

ROZWIĄZANIA Z DNIA 7 MARCA

Oprócz nagrodzonych odpowiedzi nadesłali: Janek Matusz, Marysia Brown, Lusnia Rawska, Leszek Marks, Jurek Marks, Elżunia Nowiela, Krysa Skoeka, Zula Lewanowska, Krysa Krwaczek, Basia Kaczmarek, Patricia Kaczmarek, Zenon Drewnowski, Kasia Maczka, Edzio Kielar, Józio Zięba, Marysia Zybka.

W grupie z gimnazjum polskiego w Bradford nagrody otrzymali: Aniela Makula książkę J. Porazińskiej pt. Dwie Drotki; Rys Szafranski książkę M. Konopnickiej pt. Frank; Rys Gruszczyński książkę J. Porazińskiej pt. Niezwykła podróż.

Oprócz nagrodzonych odpowiedzi nadesłali: Renia Hildebrandt, Hania Wójcik, Leszek Żelazowski, Henryk Hildebrandt, Jurek Giez, Leszek Grabowski, Teresa Piwowarska, Krysa Michalkiw, Danusia Bartłowiak.

W grupie ze szkoły polskiej w Halifax nagrody otrzymali: Stas Lenius książkę Or-Ota pt. Stoliczku nakryj się; Marek Słota książkę J. Porazińskiej pt. Kozucha Kłameczka; Stas Baran książkę Or-Ota pt. Stoliczku nakryj się oraz Zosia Kasa książkę pt. Chronione rośliny górskie.

Gaska ze Śląska



„Gdy przybędziesz do Torunia” — Tak uczyła ją babunia — „Musisz wiedzieć moja mała Skąd się wzięła jego chwala: To siedzba kanonika Astronoma Kopernika”.

Wtem na Wiśle wiatr się zrywa, Już na fali biała grzywa, Deszcz rzęsyty pada z nieba, Gdzie się przed nim schronić trzeba. c.d.n.

UWAGA: NIE ZAPOMINAJCIE O FOTOGRAFIACH PROSIMY NASZYCH CZYTELNIKÓW O NADSYLANIE SWOICH FOTOGRAFII.

Korespondencja własna Tygodnia Polskiego.

Gorączka w Detroit

Przez ostatnie kilka tygodni Detroit żyło znowu w gorączce wyborczej. Kandydaci i ich najbliżsi adherenci robili tyle szumu, że wydawało się, iż mają się decydować jakieś zasadnicze problemy. W rzeczywistości powiewała nuda. Wybory w Stanach odbywają się tak często, że społeczeństwo straciło już dawno zainteresowanie. Nawet wybory prezydenckie nie powodują tego entuzjazmu co dawniej, a co tu mówić o głosowaniu, przed którym teraz staliśmy.

Trzeba było wypowiedzieć się w sprawie zaciągnięcia pożyczki na rozbudowę szkół, a ponadto wybrać dwudziestu kilku sędziów i kilku członków Rady Naukowej uniwersytetów stanowych. Trudno więc było oczekiwać zbytniego zainteresowania.

Kandydatom oddać jednak trzeba sprawiedliwość, że robili wszystko aby zwrócić uwagę wyborców na swoje osoby i na cechy, którymi mieli się odznaczać.

Ulice całego miasta zostały zastawione plakatami, afiszami, portretami i sloganami przyszłych sędziów. Dowiadaliśmy się np., że tylko wybierając sędziego O'Hara możemy oczekiwać bezstronnego wyroku. Każdy z kandydatów, w zależności od dzielnic, chwalił się swymi sympatiami do Irlandczyków, Żydów, Polaków, Włochów czy Niemców.

Siedmiu Polaków

Mielśmy okazję dowiedzieć się ile każdy z kandydatów ma dzieci i czym zajmuje się w wolnych chwilach, do jakich organizacji należy, jakim jest doskonałym ojcem rodziny i sumiennym pracownikiem.

Wśród kandydatów było 7 Polaków ubiegających się o stanowiska sędziowskie. Trzej byli już sędziami poprzednio i teraz starali się uzyskać wybór na nową kadencję, pozostali byli adwokatami i usiłowali wyostać się na szersze wody urzędu sędziowskiego. Posada sędziego nawet niższych sądów nie jest do pogardzenia w Ameryce, przynosi na początek około 20 do 25 tysięcy dolarów rocznie, sporo prestiżu i dość wygodne warunki pracy. W sądach zalegają tysiące nierozpatrzonych spraw i każdy z ubiegających się o posadę prawników obiecuje, że jak tylko zostanie wybrany, stanie się tytanem pracy, ale po uzyskaniu wyborze bardzo prędko zapomina na ogół o obietnicach i przyjmuje beztrocki system pracy swych kolegów i poprzedników.

W obrębie więc całego wielkiego Detroit widzieliśmy przez ostatnie tygodnie afisze nawołujące nas do głosowania na sędziego Szymańskiego, Stańczyka, Targońskiego, Lewandowskiego, na Lutomskiego, Mazurę i innych.

Widzieliśmy poważne lub uśmiechnięte twarze togi i inne symbole władzy sędziowskiej: „Wybierz ponownie do sądu okręgowego sędziego Targońskiego... Sędzia Benjamin Stańczyk... przyjacielem człowieka pracy, głoszą na niego”.

Na setkach drzew, na samochodach, ciężarówkach, na płotach i budujących się domach, widzieć można było plakaty z krótkim wznawaniem: „Józef Lewandowski na sędziego okręgowego”.

Nagonka na Targońskiego

Na parę tygodni przed wyborami, prasa anglojęzyczna przyczepiła się do sędziego Targońskiego. Wywieczono jakieś zarzuty, że był on współwłaścicielem firmy ubiegającej się o kontrakty od rządu stanowego, zaczęto podawać w wątpliwość jego kwalifikacje na wysokie stanowisko, które piastował. Grupa prawników w naprzecde przeprowadzonej ankiecie, wypowiedziała się negaty-

wnie na temat jego kwalifikacji fachowych.

Inna organizacja prawnicza natomiast uznała sędziego Targońskiego jednym z najlepszych kandydatów na ponowny wybór. Wokół osoby tego kandydata zawała. Polonia oczywiście stanęła ławą za nim. Organizacje jedna za drugą uchwałyły poparcie. Wprawdzie wśród Polonii wielu było takich, którzy

nak nikt nie miał zamiaru odmówić mu swego poparcia w wyborach.

Dzień wyborów, 6 kwietnia, był ładny — słoneczny i ciepły. Do urn wyborczych stanęło więc stosunkowo więcej niż można się było spodziewać.

Porażka Polaków

Wynik wyborów dla kandydatów



twierdził, że sędzia Targoński od czasu zajęcia wyższego stanowiska urzędowego coraz mniej pokazuje się w środowiskach polskich to jed-

nych okazał się tylko częściowo pomyślny. Sędziowie Franciszek Szymański i Benjamin Stańczyk wybrani zostali obryzmia większością głosów, ale nieprzychylna kampania prasowa przyniosła jednak porażkę sędziemu Targońskiemu. Nie uzyskali wyboru również pozostali kandydaci polscy.

Polonia dyskutuje teraz zawzięcie powody tego niepowodzenia. Głosów polskich potencjalnie jest przecież olbrzymia ilość, widocznie jednak stosunkowo poważna gromada wyborców polskich w ogóle do urn się nie pofatygowała.

ANDRZEJ KORAB

DZIĘKUJEMY

tym wszystkim, którzy w okresie walki o dalsze życie naszego Wydawnictwa stanęli po naszej stronie, nie żałując na oświetlenie całej sprawy łamów swoich bratnich Pism, ani słów otuchy w niezliczonej ilości nadesłanych nam listów.

Dziękujemy raz jeszcze organowi polskich Kombatantów we Francji: SYRENIE; dziękujemy rozwijającemu się co raz bardziej, ku radości całej Emigracji, drukowanemu w Lille tygodnikowi: WIARUSOWI NIEZALEŻNEMU i jego redaktorce, P. Brejskiej-Nawrockiej.

Dziękujemy wszystkim naszym Czytelnikom, którzy do prenumeraty dołączyli osobne sumy pieniężne na dalszy rozwój pisma.

Dziękujemy tym, co piszą: „Byłoby bardzo źle, gdybyście zostawili teraz warsztat dotychczasowej swej pracy. Sprawa bowiem musi zakończyć się Waszym zwycięstwem. Polonia zagraniczna, mimo wszystkie jej braki, pomoże Wam utrzymać się przy życiu. Dacie na pewno radę. Do śmiałych świat należy.”

„Kurzujemy się co raz bardziej. W tym trudnym stadium, w jakim znajduje się obecnie emigracja, zamknięcie Waszego Wydawnictwa byłoby bardzo dla nas wszystkich bolesne. Oby Bóg pozwolił się cieszyć nam wszystkim Waszą dalszą piękną pracą...”

Do tych podziękowań i wzruszającego przywiązania do naszego Wydawnictwa wracać jeszcze będziemy w następnych numerach Tygodnika.

A dzisiaj — raz jeszcze dziękujemy!

KANCELARIA PRAWNA

pod kierownictwem Doktora Praw

S. OLSNICKI

106, rue Joffroy - Paris 17

Tel.: WAGram 88-91.

Metro: WAGram.

TEUMACZ PRZYSIĘGLY

przy Sądach francuskich

TEUMACZENIA URZĘDOWE do

ślubów, naturalizacji i innych. —

Wszystkie sprawy sądowe we Francji i w Polsce.

Z CYKLU „OJCZE NASZ”

„Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi”

Kiedy zważam na krótkość mego życia, wchłoniętego w wieczność, będącą przed nim i po nim, kiedy zważam moją przestrzeń, którą zajmuję, a nawet którą widzę, utopioną w nieskończonym ogromie przestrzeni, których nie znam i które mnie nie znają, przerażam się i dziwię, iż znajduję się raczej tu, niż tam. Nie ma bowiem racji, czemu raczej tu, niż gdzie indziej, czemu raczej tu, niż wtedy... Kto mnie tu postawił? Na czyj rozkaz i z czyjej woli przeznaczono mi to miejsce i ten czas?!”

Błażej Pascal, bo jego są te słowa, zrozumiał dobrze trzecią prośbę, zawartą w Modlitwie Pańskiej, która także nam powtarza nieustannie: „Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi”.

W naszych czasach myślał podobnie autor Medytacji, Walter Russell Bowie, który pisze: „Natchnij mnie, o Boże, wiarą, że ideały duszy nie są czczym majakiem, ale władzą, która ma rozporządzać moim wiernym oddaniem i kierować moim życiem tutaj, w naszej ziemskiej ojczyźnie”.

Podobną była modlitwa całego życia Anieli Salawy, Ojca Kolbego, biskupa Kozala, Jerzego Frassatiego, lotnika Antoniego Scheura, Karola de Foucauld, Jerzego Bernanosa. Oni wydeptali ścieżki, na które i my wstępować możemy. Ścieżki, prowadzące na wyżyny, z których łatwiej widzi się Boga.

Prośba o

zbuntowanego człowieka

Jedną z cech charakterystycznych współczesności jest tęsknota za pełną wolnością. Kto z nas lubi więzy, jakie druzdy — starsi, roztropniejsi, poważniejsi, mędrsi, lepsi — chcieliby nałożyć naszym sposobowi myślenia, mówienia, działania, naszemu sposobowi bycia? I ołatego w takim dzisiaj nieposzanowaniu znajduje się posłuszeństwo i szacunek wobec bliźnich, autorytet tych, co mają prawo pokazywać nam drogowskazy życia!

Ze słabości tej korzysta system, który obiecuje zbuntowanemu człowiekowi raj na ziemi. Lecz za cenę wyrzeczenia się jedynej Prawdy, jedynej Dobra, jedynej, bo Bożego Szczęścia.

Biedny człowiek poszedł za tym pokuszeniem. Teraz — zawiedziony całkowicie — szuka znowu drogi, z której zeszedł, kiedy przestał na kolanach wołać: „Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi!”

Zgoda z wola Bożą, nieustanne „tak, Ojcze”, niema nic wspólnego z pesymizmem w życiu, z pełnym lekku podporządkowaniem się „cyhającemu” na nas wszędzie dekalogowi, z ustawiczną gotowością przyjmowania na zbolełe barki krzyża pracy, cierpienia oraz śmierci. Wprost przeciwnie: zgoda z wola Bożą jest podstawą spokoju sumienia, wewnętrznej radości, która jest tak bardzo zapożyczoną cechą religii. Zgoda z wola Bożą uczy nas wierności Bogu zawsze: w chwilach smutku i radości, w dniach triumfu i porażki, kiedy ciężkie chmury wiszą nad strudzoną głową, jak i wtedy, kiedy pełno słońca i nadziei w sercu.

„Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi” — oto nasze „fiat”. Owo „fiat”, które wyrzekł na początku dziejów świata Stwórca. „Fiat”, które stoi na progu naszego odkupienia.

Nasze „fiat”, nasza nieustanna zgoda z wola Boga jest pomostem, zbliżającym nas do Tego, który chce być Ojcem w niebie i na ziemi.

O ludziach bezdomnych

Rok uchodźcy

LONDYN, w kwietniu.

W Genewie toczą się obrady przedstawicieli 32 krajów wolnych w sprawie... Trudno jednym słowem określić tę sprawę. Chodzi o problem „ludzi bezdomnych”, jak to nazwał Żeromski. Totalnie bezdomnych. Ludzi bez przydziału państwowego, obywateli bez obywatelstwa, wszelkich „dipisów”, „stateless'ów”, „Staatloss'ów” — jednym słowem emigrantów — głównie politycznych — których zły los, a właściwie zła tyrania (takiego czy innego koloru), pozbawiły domu, ojczyzny.

My, wszyscy jesteśmy tymi bezdomnymi.

ISTOTA SPRAWY

Nawet jeśli jesteśmy obywatelami takiego czy innego kraju, który nas przyjął i przytulił, to niewątpliwie nie staliśmy się przez to jego synami, jesteśmy pasierbami swoich przybranych ojczyzn.

Ludzie dobrej woli, którzy radzą nad naszym losem, losem bezpieczeństwa — lub państwowych — pasierbów, stoją przed zagadnieniem naszym, jak don Kiszot przed wiatrakami. Bo i cóż uradzić mogą, w czym zmienić nasz los?

Urządzą takie czy inne ulgi, bezpłatne wizy, albo w ogóle zwolnienie od wiz w podróżach do krajów wolnych? Czy zmienią to istotę sprawy?

A istota sprawy polega — wiadomo na czym: na istnieniu tyranii.

Ludzie dobrej woli — wszyscy ilu ich jest na ziemi — zrobiliby lepiej gdyby zebrał się i zdecydowali, że należy zniszczyć wszelkie istniejące tyranie i tyranów.

Jak? Siłą.

Tyran, gangstera, opryszka, zbrodniarza — inaczej się nie zniszczy. Tyranie są wrzodem na żywej tkance ludzkości, wrzodem który można usunąć tylko w drodze operacji. Szczególnie groźnym rakiem naszych czasów jest tyrania bolszewicka, która opanowała wschód naszej planety. Opanowała, niestety, przy pomocy sił w zasadzie tyranii przeciwnych, przy pomocy demokracji, które nie rozumiały tej prawdy, że od tyranii nie uchroni żaden parasol.



FOTO (Z NATURY) A. RURKA.

Grzechem demokracji jest jej miękkość, jej onieśmienie w traktowaniu imperialistycznego tyra. Z grzechu tego demokracji nie mogą się oczyścić mimo tylu bolesnych doświadczeń.

Wystarczy czytać np. prasę angielską — szczególnie układnie faryzeuszowskiego „Observera”, by grzech ten widzieć w całej pełni. Złudzenia, że bolszewickiego gada można ugłaskać i można przekabacić na konferencjach, że można mu wyperswadować jego zaborczość i tyrańską dzikość stały się chorobliwą manią tego pisma i wielu podobnych.

Odchodzącego Dullesa ci biedni maniacy pozegnali westchnieniem ulgi — że oto odchodzi — w ich pojęciu — przeszkoda na drodze ugody z Rosją. A „przeszkoda” ma być zasada prowadzenia polityki z pozycji siły.

Tej naiwności, tej miękkości dziecinnych marzycieli my zawdzięczamy naszą bezdomność. Nas z domu wyгнаła przemoc, wyгнаła zasada gwałtu. Dom zrabowany zyskać możemy tylko wtedy, gdy świat wolny na gwałt tyranii — gwałtem wobec tyranów odpowie. A gwałt wobec tyra. Nie jest bezprawiem, ale świętym prawem.

„NIE Z WŁASNEJ WINY”

Jednym z nielicznych głosów w Anglii, trzeźwo i rozumnie oceniających te sprawy był artykuł wstępnego dziennika „Daily Telegraph”. Pismo to przed kilku dniami omówiło problem bezpieczeństwa w naszych czasach — z okazji rozpoczęcia się wówczas konferencji w Genewie. Artykuł nosił wymowny tytuł: „Tragedia bezpieczeństwa”.

W bardzo wstrząsających — można powiedzieć płomiennych — słowach zobrażowano tę naszą tragedię. Artykuł m.in. mówi, że staliśmy się ludźmi bez ojczyzny „nie z własnej winy”.

Na pewno nie z własnej. Ale z czyjej? I tu leży sedno problemu. Bo jeśli świat wyraźnie nie ustalił winy tej i tysięcy innych zbrodni, to nie ruszy z miejsca ani tego ani tysięcy innych problemów.

W sprawach wielkich trzeba wszystko zaczynać od wykrycia i pokazania źródła. A gdy to źródło się ujawni i określi, należy też wyraźnie określić postępowanie — w stosunku do źródła, do przyczyny.

Nic bowiem nie pomoże zasypywanie czy odcinanie poszczególnych strumyków zła, mniej albo więcej wtórnych skutków.

Przyczyną wszelkiego zła społecznego na świecie są tyranie, jest niewola człowieka u człowieka, gwałt człowieka nad człowiekiem, krzywda, której człowiek doznaje od człowieka. Tego gwałtu i tej krzywdy źródłem jest każda tyrania, a tyrania komunistyczna w czasach dzisiejszych w szczególności.

Wypowiedzieć wojnę świętą tej tyranii na gruncie zasad moralności i postępu — oto jedyna droga, oto obowiązek wolnej ludzkości.

Oby „rok uchodźców”, zaczynający się 1 czerwca — był rokiem takiej decyzji...

JANUSZ KOWALEWSKI

Wydawnictwo św. Antoniego

263-bis, rue St. Honore — Paris (1).

„Polska Wierna” — „Słowo Katolickie”

Telefon: Richelieu 83-85.

Konto pocztowe: CCP 4955-03.

PRENUMERATA: OGŁOSZENIA: Kwartalna — frs. 650 DROBNE — 200 frs. od 1-lamowego wiersza. półroczna — frs. 1.300 INNE — według umowy z naszym akwizytorem. roczna — frs. 2.600

PRZEDSTAWICIELSTWA:

- ANGLIA: J. Górka, 50, Windsor Rd., Holloway, London, N.7. Egzemplarz pojedynczy 10d., prenumerata roczna 52/-.
- AUSTRALIA: Rev. L. Jaroska, SS. Peter a. Paul's Presbitery, Geelong West Vic.
- BELGIA: Mr. Bernard Woliński, 31, Leopoldstraat, Eindhoven (Limb.), CCF Bruxelles — 126.203. Prenumerata kwartalna 73 fr. belg.
- DANIA: Rev. Jan Szymaszek, Hans Bogbinders Allee 2, Kobenhavn.
- HISZPANIA: Ks. Dr. Marian Walorek, 9, Calle de Larra, Madrid.
- HOLANDIA: Mr. Bronisław Gallas, Fagelstraat 15A, Breda, Giro 286.988.
- KANADA: Rev. St. Robert, 322 Cath. Str., Sault Ste. Marie, Ont. Prenumerata roczna 6 dolarów.
- LUKSEMBURG: Rev. Pere Thiel, O.M.I. Luxembourg, St. Michel, 14 rue Siegfroid, C.P. 214.89. Prenumerata kwartalna fr. 73.00.
- NIEMCY: „Słowo Katolickie”, Rotkreuzplatz 3/1, Muenchen, Telefon: 61.518. Egzemplarz pojedynczy 50 fenigów. Prenumerata kwartalna 6 DM.
- SZWAJCARIA: Madame E. Gierszewska, Wallisellenstr. 483, Zurich 59. Prenumerata kwartalna 4 fr. szw., półroczna 12 fr. szw.
- SZWECJA: Mgr. Bolesław Kurowski, Rovingegatan 13 B, Lund. Telefon 119.16.
- WŁOCHY: Mgr. Czesław Piszczewski, Via Carlo Cattaneo 10/18, Roma.
- U.S.A.: Rev. Gorgon Nędra, 2955 Door Street, Toledo 7, Ohio. Prenumerata roczna 6 dolarów.

REDAKCJA: nie zwraca niezamówionych rękopisów, nie odpowiada za treść ogłoszeń, przyjmuje interesantów w środy od 11.00 do 13.00.

GERANT: Col. dr Charpentier.

Published by Echo Polski Ltd. and printed by The Polish Daily (Printers), Registered at the G.P.O. as a newspaper.

COMPAGNIE FRANCAISE DE TOURISME

POLSKI ODDZIAŁ PODRÓŻY

„LUBLIN”

Kierownik: Stefan POTOCKI

14, Boulevard Beaumarchais — Paryż 11-e. Metro: Bastille. Tel. ROQ 00.92.

PRZEDSTAWICIELE:

Lille, 4, rue des Ponts de Comines

Valenciennes, 11, Place de l'Esplanade

WYCIECZKI do wszystkich krajów, indywidualne, grupowe, autokarowe.

BILETY: KOLEJOWE — LOTNICZE — MORSKIE do wszystkich krajów.

Zalotowanie wszelkich wiz oraz formalności, związanych z podróżą. Wizy transytowe w 24 godzinach.

Udzielamy wszelkich informacji bezpłatnie. — Korespondencja po polsku.

BILETY z POLSKI do FRANCJI (płatne we frankach francuskich)

Wyjazdy grupowe co tydzień.

KONKURS TYGODNIA

Podróże p. Agapita Rurki

KUPON NR 8

Odcinek 1

Na cotygodniowe odpowiedzi

Miejscowość

Kraj

Imię i nazwisko Czytelnika

Adres

KUPON NR 8

Odcinek 2

Zachować i nadesłać z enkwitwym rozwiązaniem konkursu

Miejscowość

Kraj

Imię i nazwisko Czytelnika

Adres

Właścicie rozwiązań zagadki Nr 6 dotychczas nadesłali: H. Aslanowicz, M. Cichowicz, S. Dopierała, T. Jandzio, W. Kopel, M. Krzyżak, M. Włodkowska i B. Kosiewicz (którego nazwisko odczytaliśmy poprzednio mylnie jako „Koteżwicz”). Nagrodę książkową wylosował p. T. Jandzio.

AUSTRALIA — czeka...

POLACY W

Ilu nas?

Co robimy?

Jak utrzymujemy polskość?



(Dokończenie ze str. 1)

o jakiej nie śniło się starożytnym Egipcjanom. Pustynia ustępuje ludziom, sieć kanałów rozrasta się, pokrywa tysiące mil kwadratowych, praca nie ustaje.

Za kilka lat zostanie ukończony — częściowo już zrealizowany — fantastyczny Projekt Rzeki Śnieżnej („Snowy River Scheme”). Nowe masy wód, jeszcze marnowane na waskie paski pp. geografów, runą w dół po przeciwnej stronie gór, zasilając na „bezludziu” nowe gaje pomarańczowe, nowe ryżowiska. A w przyszłości — mówi się o odwróceniu biegu rzek w Queensland. Ruszą kiedys z północy ku południowi przez cały kontynent, niosąc życiodajną zielen milionom nowych osadników.

Zawracanie głowy

Cóż jednak dzieje się z owymi nieużytkami obecnie? Są jeszcze nienawodnione, jałowe, suche, wypalone słońcem?

Znakomity prof. Stamp mówi: „Ograniczona ilość bydła trzymanego jest na tropikalnych wypasach północy. O wiele ważniejsze są pastwiska południa, łącznie z mleczarskimi farmami skrawka dobrze nawadnianych ziem przybrzeżnych na południe i północ od Sydney oraz w dolinach stanu Wiktorii”.

Wszystko to sprawia wrażenie profesorskich domysłów, wysnutych z dala od Australii. W r. 1930, tj. na 6 lat przed ukazaniem się pierwszego wydania książki prof. Stampa, „Ograniczona ilość bydła na tropikalnych wypasach północy”, tj. w Queensland, wynosiła 5,5 miliona sztuk, czyli o cały milion więcej niż na „o wiele ważniejszych pastwiskach południa”, tj. stanów Nowej Południowej Walii i Wiktorii, razem wzięwszy.

Pogłowie bydła w Australii w r. 1954 wynosiło już 15 i pół miliona sztuk; dwie trzecie całości wypasa się na terenach „mało ważnych”. Pogłowie owiec w tymże roku — 131 milionów, a w r. 1957 już 149 milionów — wypasanych prawie wyłącznie poza „wąskimi paskami” pp. uczonych!...

„Tów biorę cenny podręcznik do ręki i czytam, że ropy naftowej nie da się znaleźć w Australii, ponieważ wiek skał każe wątpić, czy jakkolwiek ropa zostanie odkryta.

Ze niby na kontynencie, geologicznie tak starym, ropy być nie może. Rzucam więc uczoną książkę w ką. Ropa trysnęła w Australii. Wbrew profesorom.

Tyle — książki. Przepisywane jedna z drugiej, od czasów Cooka i Darwin. Pospali się pp. geografowie, sprawdzając im się nie chce — Australia leży zbyt daleko od Europy. A uczniacy (i politycy) na całym świecie wkuwają „wiedzę” o wąskich paseczkach. O niemożliwości dalszego rozwoju.

„Neskę piją jak wodę...”

Polscy sportowcy, którzy dwa lata temu brali udział w igrzyskach olimpijskich w Melbourne, ośmieleni byli wysoką stopą życiową Polaków w Australii. Gościnnie rozchwytywani przez samochody rodaków, rozwożeni i fetowani po prywatnych domach — zrazu próbowali wierzyć tak jak im wbijano w głowy przed wyjazdem z Polski: że wszystko to są sztuczki zręcznie ukartowanej, kapitalistycznej propagandy.

Słyszało się szept: — Popatrz, psia krew, neskę piją jak wodę!...

Nie wierzyli, że samochody, lodówki, telewizory, elektryczne pralki, a nade wszystko te jednorodzinne domki (tu tak oczywiście, że nie ma co wydziwiać, a w Polsce szumnie zwane „luksusowymi willami”) — mogą być własnością zwykłych robotników. Zrobiły perskie oko: wiadomo, że luksusy te nie zawsze

są zupełnie własne, bo najczęściej z hipoteką, na spłaty, na raty — o tym się nie mówi.

Gość w dom, Bóg w dom! Jedź i pij, bracie, i popuszczaj pasa! To też po wyżerce, po wypitce, diabli wzięli pierwszą nieufność — rozwiązały się języki, otworzyły serca, i wilgotniały oczy olśnionym gościom z ojczyzny:

— Jezu! To wy naprawdę tak tu żyjecie?!

Oczywiście, było to życie od święta, zastaw się a postaw się i pokaz — prawdziwie po polsku. Nic tu, że nie każdy ma tu domek, nie każdy ma samochód. Ale elektryczną lodówkę i pralkę na pewno ma każdy człek z rodziną: bez tych rzeczy trudno sobie wyobrazić rodzinę nawet w głębi „buszu”. Nawet w najdalszych zakątkach, gdzie elektryczność jeszcze nie dotarła, lodówki i pralki, choć naftowe, są nie mniej ozdobne i kosztowne, a równie konieczne.

Ogólna stopa życiowa Australii równa się co najmniej stopie Stanów Zjednoczonych. Ci, co byli w Stanach, twierdzą że w Australii jest wyżej. Nawet niewykwalifikowany robotnik może tu sobie pozwolić na mięsny posiłek trzy razy dziennie. Albo, co kto woli, na upicie się trzy razy dziennie.

Pijąków tu nie brak, trunek jest — tak samo jak wyścigi — narodową rozrywkę. Imigranci, oczywiście, przyswajają sobie pewne cechy miejscowej cnoty, określonej ogólnikiem „the Australian way of life” („australijski sposób życia”).

Jedni więc ciulają na własne domki i samochody, a inni piją i zostawiają portki na wyścigach. Ktokolwiek twierdzi, że go nie stać na jedno, tego na pewno stać na drugie (chyba że jest w ogóle niedołęga, nałogowym nieszczęślikiem lub zgola kwękajł-hipokrytą). Jedno z dwojga: albo wysoka stopa życiowa, albo się „trzyma fason” — „co użyjem, to dla nas”.

Polskiemu Panu Bogu należy gorąco dziękować, że, na szczęście, odsetek epikurejczyków i patriotycznych kwękajł jest w tutejszej Polonii proporcjonalnie znośny.

Zwolna — niestety znacznie wolniej niż np. Grecy lub Włosi, nie mówiąc już o Holendrach czy o da-

tutejsi nieraz sprzedawali tanią siłę roboczą, często drogą nielegalną, zwłaszcza Chińczyków, Hindusów i tzw. „kanaków”, tj. wyspiarzy Pacyfiku. Robotnikom miejscowym dali się we znaki szczególnie Chińczycy, którzy potrafili organizować się w doskonałe kooperatywy.

Sto lat temu, w latach 1854-1857, na polach złotonośnych powstały krwawe ekscesy, aż wybuchło poważne, ogólne starcie zbrojne między białymi a żółtymi. Poszło o masowe wdzieranie się Chińczyków w bardziej intratne złoża, kosztem górników miejscowych. Rozruchom na skalę narodową zapobiegła interwencja wojska i akt parlamentu, ograniczający przywóz „kolorowych”.

Tym niemniej, liczba Chińczyków wzrastała. W r. 1881 na 100 białych przypadało 2 Chińczyków, a w terytorium Północnym — na każdego białego było 4 Chińczyków. Zmusiło rząd do kontroli bardziej energicznie. W rezultacie, w r. 1954 spis ludności wykazał tu niewiele ponad 10 tysięcy Chińczyków, urodzonych już w Australii; a więc, z grubsza, 1 Chińczyk na 900 białych.

Oczywiście, żaden spis ludności nie wykaże, ilu ich tu przecisną się drogą nielegalną. Wybrzeża Australii są potwornie rozległe. Rybackiej barce z Indonezji nie trudno jest wysadzić ładunki na ląd gdzieś na północy.

Policja tutejsza też nie interesuje się nikim, kto nie daje powodu. W „moim” Griffith jednak, od najbliższego portu odległym o 450 mil, kilka miesięcy temu aresztowano czterech Chińczyków, właścicieli bardzo popularnej tu restauracji,

którą prowadzili od trzech lat. Okazało się, że w Australii zjawili się nielegalnie: zbiegli z pokładu statku z Hong Kong. Oczywiście, deportowano ich.

Ale po miesiącu zawitali tu nowi Chińczycy: restauracja prosperuje dalej, ta sama, w tym samym miejscu.

Ciekaw jestem, czy działała tu jakaś chińska kooperatywa?...

komunizm się skrada.

Co ciągnie przybyszów do Australii? Ilu ich może żywić ten kontynent pustynny, w Europie raz po raz zapomniany?

Ciągnie oczywiście wysoka stopa życiowa. Europejczyków ciągnie nadzieja „odkucia się” po nędzy, wywołanej wojną; a nadto — jeszcze do niedawna — złudzenie, że od Sowietów dzieli Australię całe pół globu. Niestety, złudzenie pryska: komunizm skrada się tu, podchodzi Archipelagiem Malajskim.

Na pomoc Anglii i Ameryki oglądać się trzeba, ale liczy na nią w stu procentach — nie można. Jedyne ratunkiem Australii jest szybki przyrost ludności. Czołową koniecznością państwową jest wzmocnienie przywozu nowych osadników z białego Zachodu.

Ilu ich można przywieźć? Stare podręczniki europejskie — tradycyjnie żonglując „wąskim pasieczkiem przybrzeżnym” — wahają

się w tej sprawie. Gdy je pisano, zagadnienie masowego przywozu ludności nie istniało. Istniało tylko zagadnienie maksimum produkcji żywności przez Australię. Niektóre uważają, że kresem możliwości stanie się ludność...10-milionowa.

Czyli, ponieważ kilka dni temu urodziło się nam niemowlę Nr. 10.000.000, nasytzenie terenów już nastąpiło? I co wobec tego stanie się z wysoką stopą życiową?

Oczywiście, prawda wygląda znacznie różnie.

Na pytanie to od dawna próbowano znaleźć właściwą odpowiedź. Np. jeden z badaczy sprzed pierwszej wojny światowej, T. Griffith Taylor, w r. 1911 ocenił, że — przy stopie równej Stanom Zjednoczonym — Australia utrzyma tylko 30 milionów ludności; ale, gdyby zaszła konieczność zadowolenia się przeciętną stopą życia Europy zachodniej — Australia utrzymałaby aż 62 miliony.

Bardziej szczegółowe badania przeprowadził w r. 1951 ekonomista J. Gentilli, władający bardziej nowoczesną metodą badawczą. Oceniał on, że — przy utrzymaniu obecnych sposobów produkcji żywności oraz obecnego rozmieszczenia ludności — po przekroczeniu 13 i pół miliona ludzi nie da się zachować obecnej wysokiej stopy życia. Liczbę tę można by podnieść do 18 i pół miliona (przy tej samej wysokiej stopie życia dla wszystkich), lecz nadwyżkę musieliby stanowić Azjaci, sprowadzeni na tereny tropikalne, do których ludność biała nie pali się.

Albo — czy starczy dla wszystkich mięsa, masła, cukru, kartofli?

Prawda, przy obecnej produkcji pszenicy starczy jej na 25 milionów ludzi; cukru na 21 milionów; ale

masła już tylko na 15; mięsa — przy obecnej wyżerce — tylko na 12; a kartofli... już tylko na 10 milionów obywateli...

Czy starczy?

Niemowlę Nr. 10.000.000 rozpoczęło erę zniżonej konsumpcji kartofli! Wysoka stopa życiowa (na szczęście, tylko w kartoflanej diecie) osiągnęła kres obecnych możliwości, i u kresu stanęła. A ludność wzrasta. Będziemy musieli, psia krew, dojadać ananasami.

Gentilli woła, że aby zapobiec smętnym horoskopom, część miejscowej ludności musi poświęcić się rolnictwu. Miasta muszą być rozłożone. Boć prawdę gloszą stare podręczniki, że prawie cała ludność kontynentu mieści się w obszarach dwu miast-gigantów: Sydney i Melbourne.

Kto pójdzie na rolę? Kto porzuci miejskie wygody i wygodki? Telewizję, „milk-bar’y”, „pub’y”, kina, wyścigi?

Czy tylko — Azjaci?...

Gentilli ocenia, że, było nie było, gdy ludność Australii kiedyś osiągnie rekordy królicze — kraj ten pomieści i wyżwi 100 milionów białych. Oczywiście — ostrzeżenie znakomitego ekonomisty — będzie to równać się stopie życiowej tak niskiej, jak w Polsce (sic!) lub na Sycylii. Albo, jeśli wędra się tu Azjaci, jeszcze pracowitsi i jeszcze biedniejsi, a skłonni do zadowolenia się własną, jakże niską stopą życiową — Australia pomieści ich i wyżwi 185 milionów.

Przed tą ponurą wizją biała Australia się broni.

Zbigniew Jasiński

Teatr polski w SYDNEY

Zespół Teatralny Polskiego Koła Kulturalno-Artystycznego w Sydney w ciągu pięciu i pół lat istnienia miał swoje wloty i upadki, ponadto 8 premier własnych plus 2 współpracując z bratnim zespołem PKKA w Melbourne, ogółem blisko 40 przedstawień w Sydney i innych ośrodkach polskich w Nowej Południowej Walii, w Kanberze, Melbourne oraz w dwóch największych skupiskach polskich w Nowej Zelandii: w Wellingtonie i Auckland. Twórcą zespołu, jego dyrektorem i reżyserem jest Leopold Muszkat. Recenzjerzy w polskiej prasie w Australii nazywają go po prostu „manakiem teatralnym”.

To już teatr z prawdziwego zdarzenia

Krótką, zawartą w jednym zdaniu historia jest wystarczającym powodem, aby tę amatorską placówkę uznać za instytucję stałą, reprezentującą nienajgorszy poziom artystyczny (inaczej nie ostałaby się przez tyle lat).

Chyba to było przyczyną, że Mrs. Doris Fitton, O.B.E., zasłużona założycielka i dyrektorka czołowego przybytku Melpomeny w Sydney, jakim jest „Independent Theatre” — zaprosiła polski zespół do współpracy, dając mu

brał jedną z ostatnich komedii Jerzego Jurandota, „Trzeci dzwonek”. Publiczność polska w Sydney dostąpiła zaszczytu oglądania emigracyjnej premiery sztuki napisanej przez autora krajowego. Nawet udało się ubiec Londyn. Kanwą „Trzeciego dzwonka” jest dziedzina, którą autor zna jak własną kieszeń: zakulisowe życie teatralne.

Wszystkie intrygi i intryżki, skandale i skandaliki, plotki i ploteczki, protekcja, międzyaktorskie wawiści pokrywane wystudowanym na scenie słodziutkim uśmiechem — wszystko to podane jest ze znanstwem oraz z umiejętnie ale i hojnie dozowanym humorem.

Autor, człowiek teatru niemal od dwóch pokoleń, znający na wylot zakamarki psychiki aktorów i publiczności, pisał „Trzeci dzwonek” tak, aby zadowolił klientów po obu stronach teatralnej rampy.

Jedyny zarzut, jaki można by postawić — to długi cztery czy pięć przedkurtynowych monologów autora. Dało się to odczuć nawet po radykalnych Muszkatowych cięciach.

O wykonawcach (ze zrozumiałych powodów) nie mogę nie powiedzieć. W każdym razie cały

nię z jednodniowym postojem w Melbourne. Tym razem zespół kombinowany: troje z Sydney, troje z PKKA i kabaretu satyrycznego „Perskie Oko” w Melbourne (eksperyment bez precedensu: niemal bez wspólnych prób!).

Repertuar: wznowienie „Męża i żony” (o czym stary wyga-recenzent teatralny z przedwojennej łódzkiej „Republiki”, jednym słowem: red. Władysław Polak, napisał, że był to polski „największy sukces teatralny” w Sydney) i pierwsza napisana w Australii komedia, osnuta na stosunkach pomiędzy imigrantami i tubylcami. Tytuł komedii: „Grzech i ska”; autorem jest poeta i kierownik artystyczny melburneńskiego „Perskiego Oka” — Andrzej Gawroński.

Następna premiera w Sydney — to wielka niewiadoma. Może „Grzech i ska”, może... „Królowa przedmieścia”. Zobaczymy. W każdym razie nie dramat. Leniwa (pod względem frekwencji) i przyćmiewka (pod względem reakcji publiczności sydneyjska bardzo licznie stawiała się na oba przedstawienia „Trzeciego dzwonka” — ale dramatów nie lubi.

Roman Gronowski



OBOK — Zespół teatralny.

PONIŻEJ — Leopold Muszkat — zasłużony działacz i zapalony reżyser.



do dyspozycji cały techniczny zespół przyznaje słuszność bufe-warsztat pracy, z lokalem, doskonale wyposażoną sceną, personalem technicznym i aparatem reklamowym włącznie. Obok australijskiego i polskiego, w skład koncertu „Independent Theatre” wchodził ponadto teatr niemiecki — „Kammerspiele Sydney”.

Tam ich jeszcze nie było!

Najbliższe projekty Teatru Polskiego w Sydney, to krótki weekendowy wypad na dziewięć (tam ich jeszcze nie było) Tasma-

na pierwszy ogień Muszkat wy-

Teatr w krzywym zwierciadle

Na pierwszy ogień Muszkat wy-

YORK STREET, SYDNEY.



AUSTRALII

wszelkiego rodzaju, na drugim miejscu idzie budownictwo i usługi komunalne.

Sprawa pracy i zarobków nie była zagadnieniem ani trudnym ani bolesnym dla owych 155 tysięcy nowych przybyszów.

Okres dobrobytu i postępu ekonomicznego, który Australia przeżywa, sprawia, że każda para rąk do ciężkiej pracy fizycznej jest przyjmowana chętnie.

Polak, który chciał pracować, miał przed sobą drogę otwartą. Praca fizyczna, nawet niewykwalifikowana, jest dobrze płatna i przyciąga większość. Nawet ludzie z wykształceniem unikają — o ile mogą — biur i posad administracyjnych, gdyż są one gorzej płatne.

Robotnik, rzemieślnik, majster w fabryce dorabia się tu łatwo i szybko. Wielu mieszka w własnych domach, ma telewizję, elektryczny odkurzacze, lodówkę i radiogram.

Stosunki społeczne australijskie zachęcają do dorabiania się; ceni się tu zamożność, energię, pieniądze więcej niż przedmioty towarzyskie czy duchowe.

Długo z jednej strony wyteżona praca, często poza obowiązującymi godzinami, a z drugiej — chęć dorównania miejscowym sprawią, że wielu Polaków poczyna odcinać się od wszelkiej wspólnoty z dawnym starym krajem i z polskością. Wynaradawiają się.

Nowy człowiek bez przeszłości

Władze australijskie nie tylko sprzyjają asymilacji imigrantów, ale żądają jej, wymagają całkowitego włączenia się do społeczeństwa, które — starając się zachować cechy anglosaskie — coraz bardziej staje wyłącznie „australijskie”.

Od samego początku imigranci podlegają naciskowi. Od wczesnego pobytu w obozach do chwili, gdy szczęśliwie osiedlą się we własnym domu, zawsze i na każdym kroku wisi nad nimi przymus, aby zapomnieli o swej dawnej narodowości.

Niektórzy walczą z tym i wtedy stają się osamotnieni, rzuceni na margines społeczny. Inni poddają się wpływowi tutejszym i sami starają się jak najszybciej zatracić się w masie australijskiej. Wielu, porównując warunki w jakich tu się znajdują z dawnym życiem w Polsce, po prostu odcina całą swoją ciężką młodzież wraz z jej najlepszymi momentami i staje się zupełnie nowym człowiekiem bez przeszłości.

Najbardziej opierają się wynarodowieniu inteligenci, ale oni są najstarszą i najmniej liczną (10 proc. ogółu) grupą wśród polskich imigrantów. Ci, którzy nie mogą pracować jako robotnicy w fabrykach lub na budowie, zarabiają niemało, a więc o wiele mniej znaczą w oczach Australijczyków.

Kto walczy przeciw wynarodowieniu się Polaków?

Już w 1955 roku, na Zjeździe Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii, znalazła się uchwała, która zachęcała do przyjmowania obywatelstwa australijskiego i brania jak najpełniejszego udziału w tutejszym życiu społecznym i politycznym.

Trudno polemizować z uchwałą, która została prawdopodobnie spowodowana troską o zdrowie społeczne i psychiczne Polaków, cierpiących na skutek osamotnienia w gettach i trudności nawiązania kontaktu z tutejszym społeczeństwem. Ale przyjmując tę uchwałę Rada Naczelna nie rozporządzała ani tymi tradycjami, ani możliwościami i środkami działania, co np. Kongres Polonii amerykańskiej, który zrzeszając Amerykanów polskiego pochodzenia czyni wiele dla podtrzymania ich polskości.

Za mało księży i parafii

Największą rolę i najbardziej skuteczną pracę dla polskości ma przed sobą polskie duchowieństwo. Polskie parafie organizowane na podstawie prawa papieskiego „Exul Familia”, polska prasa katolicka i polscy proboszczowie mieli by tu bardzo duże pole do działania. Niestety, za mało jest polskich księży w Australii.

Paradoksem i to nie najprzyjemniejszym dla nas jest to, że najczęściej dla polskości dotychczas uczynili Polacy spod znaku Gomulki. Najbardziej polskimi byli nasi Australijczycy, kiedy dopingowali polskich zawodników na olimpiadzie w Melbourne, kiedy chwalili się wobec tubylców ich wynikami.

Wizyta polskiego zespołu olimpijskiego spowodowała chwilowe podniesienie się temperatury narodowej, ale przez odpowiednią robotę towarzyszącą sportowcom polityków osłabiła stanowisko antyreżymowe Polonii australijskiej.

GARAŻ NA WZGÓRKU

Garaż ten, zbudowany na wzgórku, był pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem z okna mego pokoju, gdy, przed ośmiu laty, przybyłem w te strony.

Szybko rosnące miasto podsunęło się dziś ze swoimi domami w pobliże tego garażu. Wtedy jednak było to pustkowie, pokryte wędzobylskim australijskim „bush'em”. Taniutki ten kawałek gruntu musiał kupić ktoś, nie mający dużo gotówki. Jakiś biedak, a zatem — któryś z nowoprzybyłych imigrantów.

I stało się to już jakoś moim zwyczajem, że każdego poranka, otwierając okno, rzucałem pierwsze spojrzenie na wzgórek. Tam zaś działy się cuda. Z maleńkiej tej posiadłości zniknął „bush”. Pokazała się czarna ziemia, a na niej, po kilku tygodniach, zaczęły zielenić się jęczmienie i kwiaty. Potem widać było, że gospodarz zabiera się do otoczenia całej swej „majątkości” parkanem. Najpierw w równych odstępach wkopał słupy, najprawdopodobniej zużyte progi kolejowe, które po odbyciu przepisanej ilości lat w służbie australijskiego departamentu komunikacji, mogą jeszcze 10-krot-

nie więcej starają, pieniądze i czasu. I nie dadzą panu tej wizy na dłużej niż na 3 miesiące.

— Ja nie chcę być tam nawet przez trzy tygodnie. Nawet przez trzy dni!

— Zupełnie nie rozumiem pana. Widać było, że stacza wewnętrzną walkę. Zastanawiał się, czy ma powiedzieć mi, obcemu człowiekowi, o nieszczęściu, które go spotkało.

— Wie pan, to długa historia — zaczął bezdźwięcznym, złamanym głosem. — Pochodzę z kresów. Ojciec mój był leśniczym. Chodziłem do gimnazjum w Tarnopolu, gdy wybuchła wojna. Zaraz w grudniu tego samego roku Rosjanie wywieźli na Sybir moich rodziców. Byłem jedynakiem. Uniknąłem tej zsyłki tylko dlatego, ponieważ w tym czasie przebywałem u znajomych w Tarnopolu. Tam też zostałem i ukrywałem się aż do nadejścia Niemców... Zakochałem się w córce moich gospodarzy i jej też nie byłem obojętny. Potem Niemcy wywieźli mnie i ją na roboty do Rzeszy. Po wojnie spotkaliśmy się znowu. Ona nie chciała wracać za Bug, a ja nie miałem wracać do komunikacji, mogą jeszcze 10-krot-

nie więcej starają, pieniądze i czasu. I nie dadzą panu tej wizy na dłużej niż na 3 miesiące.

— Ja nie chcę być tam nawet przez trzy tygodnie. Nawet przez trzy dni!

— Zupełnie nie rozumiem pana. Widać było, że stacza wewnętrzną walkę. Zastanawiał się, czy ma powiedzieć mi, obcemu człowiekowi, o nieszczęściu, które go spotkało.

— Wie pan, to długa historia — zaczął bezdźwięcznym, złamanym głosem. — Pochodzę z kresów. Ojciec mój był leśniczym. Chodziłem do gimnazjum w Tarnopolu, gdy wybuchła wojna. Zaraz w grudniu tego samego roku Rosjanie wywieźli na Sybir moich rodziców. Byłem jedynakiem. Uniknąłem tej zsyłki tylko dlatego, ponieważ w tym czasie przebywałem u znajomych w Tarnopolu. Tam też zostałem i ukrywałem się aż do nadejścia Niemców... Zakochałem się w córce moich gospodarzy i jej też nie byłem obojętny. Potem Niemcy wywieźli mnie i ją na roboty do Rzeszy. Po wojnie spotkaliśmy się znowu. Ona nie chciała wracać za Bug, a ja nie miałem wracać do komunikacji, mogą jeszcze 10-krot-

— Ja nie chcę być tam nawet przez trzy tygodnie. Nawet przez trzy dni!

— Zupełnie nie rozumiem pana. Widać było, że stacza wewnętrzną walkę. Zastanawiał się, czy ma powiedzieć mi, obcemu człowiekowi, o nieszczęściu, które go spotkało.

— Wie pan, to długa historia — zaczął bezdźwięcznym, złamanym głosem. — Pochodzę z kresów. Ojciec mój był leśniczym. Chodziłem do gimnazjum w Tarnopolu, gdy wybuchła wojna. Zaraz w grudniu tego samego roku Rosjanie wywieźli na Sybir moich rodziców. Byłem jedynakiem. Uniknąłem tej zsyłki tylko dlatego, ponieważ w tym czasie przebywałem u znajomych w Tarnopolu. Tam też zostałem i ukrywałem się aż do nadejścia Niemców... Zakochałem się w córce moich gospodarzy i jej też nie byłem obojętny. Potem Niemcy wywieźli mnie i ją na roboty do Rzeszy. Po wojnie spotkaliśmy się znowu. Ona nie chciała wracać za Bug, a ja nie miałem wracać do komunikacji, mogą jeszcze 10-krot-

— Ja nie chcę być tam nawet przez trzy tygodnie. Nawet przez trzy dni!

— Zupełnie nie rozumiem pana. Widać było, że stacza wewnętrzną walkę. Zastanawiał się, czy ma powiedzieć mi, obcemu człowiekowi, o nieszczęściu, które go spotkało.

— Wie pan, to długa historia — zaczął bezdźwięcznym, złamanym głosem. — Pochodzę z kresów. Ojciec mój był leśniczym. Chodziłem do gimnazjum w Tarnopolu, gdy wybuchła wojna. Zaraz w grudniu tego samego roku Rosjanie wywieźli na Sybir moich rodziców. Byłem jedynakiem. Uniknąłem tej zsyłki tylko dlatego, ponieważ w tym czasie przebywałem u znajomych w Tarnopolu. Tam też zostałem i ukrywałem się aż do nadejścia Niemców... Zakochałem się w córce moich gospodarzy i jej też nie byłem obojętny. Potem Niemcy wywieźli mnie i ją na roboty do Rzeszy. Po wojnie spotkaliśmy się znowu. Ona nie chciała wracać za Bug, a ja nie miałem wracać do komunikacji, mogą jeszcze 10-krot-

— Ja nie chcę być tam nawet przez trzy tygodnie. Nawet przez trzy dni!

— Zupełnie nie rozumiem pana. Widać było, że stacza wewnętrzną walkę. Zastanawiał się, czy ma powiedzieć mi, obcemu człowiekowi, o nieszczęściu, które go spotkało.

— Wie pan, to długa historia — zaczął bezdźwięcznym, złamanym głosem. — Pochodzę z kresów. Ojciec mój był leśniczym. Chodziłem do gimnazjum w Tarnopolu, gdy wybuchła wojna. Zaraz w grudniu tego samego roku Rosjanie wywieźli na Sybir moich rodziców. Byłem jedynakiem. Uniknąłem tej zsyłki tylko dlatego, ponieważ w tym czasie przebywałem u znajomych w Tarnopolu. Tam też zostałem i ukrywałem się aż do nadejścia Niemców... Zakochałem się w córce moich gospodarzy i jej też nie byłem obojętny. Potem Niemcy wywieźli mnie i ją na roboty do Rzeszy. Po wojnie spotkaliśmy się znowu. Ona nie chciała wracać za Bug, a ja nie miałem wracać do komunikacji, mogą jeszcze 10-krot-

— Ja nie chcę być tam nawet przez trzy tygodnie. Nawet przez trzy dni!

— Zupełnie nie rozumiem pana. Widać było, że stacza wewnętrzną walkę. Zastanawiał się, czy ma powiedzieć mi, obcemu człowiekowi, o nieszczęściu, które go spotkało.

— Wie pan, to długa historia — zaczął bezdźwięcznym, złamanym głosem. — Pochodzę z kresów. Ojciec mój był leśniczym. Chodziłem do gimnazjum w Tarnopolu, gdy wybuchła wojna. Zaraz w grudniu tego samego roku Rosjanie wywieźli na Sybir moich rodziców. Byłem jedynakiem. Uniknąłem tej zsyłki tylko dlatego, ponieważ w tym czasie przebywałem u znajomych w Tarnopolu. Tam też zostałem i ukrywałem się aż do nadejścia Niemców... Zakochałem się w córce moich gospodarzy i jej też nie byłem obojętny. Potem Niemcy wywieźli mnie i ją na roboty do Rzeszy. Po wojnie spotkaliśmy się znowu. Ona nie chciała wracać za Bug, a ja nie miałem wracać do komunikacji, mogą jeszcze 10-krot-

— Ja nie chcę być tam nawet przez trzy tygodnie. Nawet przez trzy dni!

— Zupełnie nie rozumiem pana. Widać było, że stacza wewnętrzną walkę. Zastanawiał się, czy ma powiedzieć mi, obcemu człowiekowi, o nieszczęściu, które go spotkało.

— Wie pan, to długa historia — zaczął bezdźwięcznym, złamanym głosem. — Pochodzę z kresów. Ojciec mój był leśniczym. Chodziłem do gimnazjum w Tarnopolu, gdy wybuchła wojna. Zaraz w grudniu tego samego roku Rosjanie wywieźli na Sybir moich rodziców. Byłem jedynakiem. Uniknąłem tej zsyłki tylko dlatego, ponieważ w tym czasie przebywałem u znajomych w Tarnopolu. Tam też zostałem i ukrywałem się aż do nadejścia Niemców... Zakochałem się w córce moich gospodarzy i jej też nie byłem obojętny. Potem Niemcy wywieźli mnie i ją na roboty do Rzeszy. Po wojnie spotkaliśmy się znowu. Ona nie chciała wracać za Bug, a ja nie miałem wracać do komunikacji, mogą jeszcze 10-krot-

— Ja nie chcę być tam nawet przez trzy tygodnie. Nawet przez trzy dni!

— Zupełnie nie rozumiem pana. Widać było, że stacza wewnętrzną walkę. Zastanawiał się, czy ma powiedzieć mi, obcemu człowiekowi, o nieszczęściu, które go spotkało.

— Wie pan, to długa historia — zaczął bezdźwięcznym, złamanym głosem. — Pochodzę z kresów. Ojciec mój był leśniczym. Chodziłem do gimnazjum w Tarnopolu, gdy wybuchła wojna. Zaraz w grudniu tego samego roku Rosjanie wywieźli na Sybir moich rodziców. Byłem jedynakiem. Uniknąłem tej zsyłki tylko dlatego, ponieważ w tym czasie przebywałem u znajomych w Tarnopolu. Tam też zostałem i ukrywałem się aż do nadejścia Niemców... Zakochałem się w córce moich gospodarzy i jej też nie byłem obojętny. Potem Niemcy wywieźli mnie i ją na roboty do Rzeszy. Po wojnie spotkaliśmy się znowu. Ona nie chciała wracać za Bug, a ja nie miałem wracać do komunikacji, mogą jeszcze 10-krot-

— Ja nie chcę być tam nawet przez trzy tygodnie. Nawet przez trzy dni!

— Zupełnie nie rozumiem pana. Widać było, że stacza wewnętrzną walkę. Zastanawiał się, czy ma powiedzieć mi, obcemu człowiekowi, o nieszczęściu, które go spotkało.

— Wie pan, to długa historia — zaczął bezdźwięcznym, złamanym głosem. — Pochodzę z kresów. Ojciec mój był leśniczym. Chodziłem do gimnazjum w Tarnopolu, gdy wybuchła wojna. Zaraz w grudniu tego samego roku Rosjanie wywieźli na Sybir moich rodziców. Byłem jedynakiem. Uniknąłem tej zsyłki tylko dlatego, ponieważ w tym czasie przebywałem u znajomych w Tarnopolu. Tam też zostałem i ukrywałem się aż do nadejścia Niemców... Zakochałem się w córce moich gospodarzy i jej też nie byłem obojętny. Potem Niemcy wywieźli mnie i ją na roboty do Rzeszy. Po wojnie spotkaliśmy się znowu. Ona nie chciała wracać za Bug, a ja nie miałem wracać do komunikacji, mogą jeszcze 10-krot-

— Ja nie chcę być tam nawet przez trzy tygodnie. Nawet przez trzy dni!

— Zupełnie nie rozumiem pana. Widać było, że stacza wewnętrzną walkę. Zastanawiał się, czy ma powiedzieć mi, obcemu człowiekowi, o nieszczęściu, które go spotkało.

— Wie pan, to długa historia — zaczął bezdźwięcznym, złamanym głosem. — Pochodzę z kresów. Ojciec mój był leśniczym. Chodziłem do gimnazjum w Tarnopolu, gdy wybuchła wojna. Zaraz w grudniu tego samego roku Rosjanie wywieźli na Sybir moich rodziców. Byłem jedynakiem. Uniknąłem tej zsyłki tylko dlatego, ponieważ w tym czasie przebywałem u znajomych w Tarnopolu. Tam też zostałem i ukrywałem się aż do nadejścia Niemców... Zakochałem się w córce moich gospodarzy i jej też nie byłem obojętny. Potem Niemcy wywieźli mnie i ją na roboty do Rzeszy. Po wojnie spotkaliśmy się znowu. Ona nie chciała wracać za Bug, a ja nie miałem wracać do komunikacji, mogą jeszcze 10-krot-

— Ja nie chcę być tam nawet przez trzy tygodnie. Nawet przez trzy dni!

— Zupełnie nie rozumiem pana. Widać było, że stacza wewnętrzną walkę. Zastanawiał się, czy ma powiedzieć mi, obcemu człowiekowi, o nieszczęściu, które go spotkało.

— Wie pan, to długa historia — zaczął bezdźwięcznym, złamanym głosem. — Pochodzę z kresów. Ojciec mój był leśniczym. Chodziłem do gimnazjum w Tarnopolu, gdy wybuchła wojna. Zaraz w grudniu tego samego roku Rosjanie wywieźli na Sybir moich rodziców. Byłem jedynakiem. Uniknąłem tej zsyłki tylko dlatego, ponieważ w tym czasie przebywałem u znajomych w Tarnopolu. Tam też zostałem i ukrywałem się aż do nadejścia Niemców... Zakochałem się w córce moich gospodarzy i jej też nie byłem obojętny. Potem Niemcy wywieźli mnie i ją na roboty do Rzeszy. Po wojnie spotkaliśmy się znowu. Ona nie chciała wracać za Bug, a ja nie miałem wracać do komunikacji, mogą jeszcze 10-krot-

— Ja nie chcę być tam nawet przez trzy tygodnie. Nawet przez trzy dni!

— Zupełnie nie rozumiem pana. Widać było, że stacza wewnętrzną walkę. Zastanawiał się, czy ma powiedzieć mi, obcemu człowiekowi, o nieszczęściu, które go spotkało.

— Wie pan, to długa historia — zaczął bezdźwięcznym, złamanym głosem. — Pochodzę z kresów. Ojciec mój był leśniczym. Chodziłem do gimnazjum w Tarnopolu, gdy wybuchła wojna. Zaraz w grudniu tego samego roku Rosjanie wywieźli na Sybir moich rodziców. Byłem jedynakiem. Uniknąłem tej zsyłki tylko dlatego, ponieważ w tym czasie przebywałem u znajomych w Tarnopolu. Tam też zostałem i ukrywałem się aż do nadejścia Niemców... Zakochałem się w córce moich gospodarzy i jej też nie byłem obojętny. Potem Niemcy wywieźli mnie i ją na roboty do Rzeszy. Po wojnie spotkaliśmy się znowu. Ona nie chciała wracać za Bug, a ja nie miałem wracać do komunikacji, mogą jeszcze 10-krot-

— Ja nie chcę być tam nawet przez trzy tygodnie. Nawet przez trzy dni!

— Zupełnie nie rozumiem pana. Widać było, że stacza wewnętrzną walkę. Zastanawiał się, czy ma powiedzieć mi, obcemu człowiekowi, o nieszczęściu, które go spotkało.

— Wie pan, to długa historia — zaczął bezdźwięcznym, złamanym głosem. — Pochodzę z kresów. Ojciec mój był leśniczym. Chodziłem do gimnazjum w Tarnopolu, gdy wybuchła wojna. Zaraz w grudniu tego samego roku Rosjanie wywieźli na Sybir moich rodziców. Byłem jedynakiem. Uniknąłem tej zsyłki tylko dlatego, ponieważ w tym czasie przebywałem u znajomych w Tarnopolu. Tam też zostałem i ukrywałem się aż do nadejścia Niemców... Zakochałem się w córce moich gospodarzy i jej też nie byłem obojętny. Potem Niemcy wywieźli mnie i ją na roboty do Rzeszy. Po wojnie spotkaliśmy się znowu. Ona nie chciała wracać za Bug, a ja nie miałem wracać do komunikacji, mogą jeszcze 10-krot-

— Ja nie chcę być tam nawet przez trzy tygodnie. Nawet przez trzy dni!

nie więcej starają, pieniądze i czasu. I nie dadzą panu tej wizy na dłużej niż na 3 miesiące.

— Ja nie chcę być tam nawet przez trzy tygodnie. Nawet przez trzy dni!

— Zupełnie nie rozumiem pana. Widać było, że stacza wewnętrzną walkę. Zastanawiał się, czy ma powiedzieć mi, obcemu człowiekowi, o nieszczęściu, które go spotkało.

— Wie pan, to długa historia — zaczął bezdźwięcznym, złamanym głosem. — Pochodzę z kresów. Ojciec mój był leśniczym. Chodziłem do gimnazjum w Tarnopolu, gdy wybuchła wojna. Zaraz w grudniu tego samego roku Rosjanie wywieźli na Sybir moich rodziców. Byłem jedynakiem. Uniknąłem tej zsyłki tylko dlatego, ponieważ w tym czasie przebywałem u znajomych w Tarnopolu. Tam też zostałem i ukrywałem się aż do nadejścia Niemców... Zakochałem się w córce moich gospodarzy i jej też nie byłem obojętny. Potem Niemcy wywieźli mnie i ją na roboty do Rzeszy. Po wojnie spotkaliśmy się znowu. Ona nie chciała wracać za Bug, a ja nie miałem wracać do komunikacji, mogą jeszcze 10-krot-

— Ja nie chcę być tam nawet przez trzy tygodnie. Nawet przez trzy dni!

— Zupełnie nie rozumiem pana. Widać było, że stacza wewnętrzną walkę. Zastanawiał się, czy ma powiedzieć mi, obcemu człowiekowi, o nieszczęściu, które go spotkało.

— Wie pan, to długa historia — zaczął bezdźwięcznym, złamanym głosem. — Pochodzę z kresów. Ojciec mój był leśniczym. Chodziłem do gimnazjum w Tarnopolu, gdy wybuchła wojna. Zaraz w grudniu tego samego roku Rosjanie wywieźli na Sybir moich rodziców. Byłem jedynakiem. Uniknąłem tej zsyłki tylko dlatego, ponieważ w tym czasie przebywałem u znajomych w Tarnopolu. Tam też zostałem i ukrywałem się aż do nadejścia Niemców... Zakochałem się w córce moich gospodarzy i jej też nie byłem obojętny. Potem Niemcy wywieźli mnie i ją na roboty do Rzeszy. Po wojnie spotkaliśmy się znowu. Ona nie chciała wracać za Bug, a ja nie miałem wracać do komunikacji, mogą jeszcze 10-krot-

— Ja nie chcę być tam nawet przez trzy tygodnie. Nawet przez trzy dni!

— Zupełnie nie rozumiem pana. Widać było, że stacza wewnętrzną walkę. Zastanawiał się, czy ma powiedzieć mi, obcemu człowiekowi, o nieszczęściu, które go spotkało.

— Wie pan, to długa historia — zaczął bezdźwięcznym, złamanym głosem. — Pochodzę z kresów. Ojciec mój był leśniczym. Chodziłem do gimnazjum w Tarnopolu, gdy wybuchła wojna. Zaraz w grudniu tego samego roku Rosjanie wywieźli na Sybir moich rodziców. Byłem jedynakiem. Uniknąłem tej zsyłki tylko dlatego, ponieważ w tym czasie przebywałem u znajomych w Tarnopolu. Tam też zostałem i ukrywałem się aż do nadejścia Niemców... Zakochałem się w córce moich gospodarzy i jej też nie byłem obojętny. Potem Niemcy wywieźli mnie i ją na roboty do Rzeszy. Po wojnie spotkaliśmy się znowu. Ona nie chciała wracać za Bug, a ja nie miałem wracać do komunikacji, mogą jeszcze 10-krot-

— Ja nie chcę być tam nawet przez trzy tygodnie. Nawet przez trzy dni!

— Zupełnie nie rozumiem pana. Widać było, że stacza wewnętrzną walkę. Zastanawiał się, czy ma powiedzieć mi, obcemu człowiekowi, o nieszczęściu, które go spotkało.

— Wie pan, to długa historia — zaczął bezdźwięcznym, złamanym głosem. — Pochodzę z kresów. Ojciec mój był leśniczym. Chodziłem do gimnazjum w Tarnopolu, gdy wybuchła wojna. Zaraz w grudniu tego samego roku Rosjanie wywieźli na Sybir moich rodziców. Byłem jedynakiem. Uniknąłem tej zsyłki tylko dlatego, ponieważ w tym czasie przebywałem u znajomych w Tarnopolu. Tam też zostałem i ukrywałem się aż do nadejścia Niemców... Zakochałem się w córce moich gospodarzy i jej też nie byłem obojętny. Potem Niemcy wywieźli mnie i ją na roboty do Rzeszy. Po wojnie spotkaliśmy się znowu. Ona nie chciała wracać za Bug, a ja nie miałem wracać do komunikacji, mogą jeszcze 10-krot-

— Ja nie chcę być tam nawet przez trzy tygodnie. Nawet przez trzy dni!

— Zupełnie nie rozumiem pana. Widać było, że stacza wewnętrzną walkę. Zastanawiał się, czy ma powiedzieć mi, obcemu człowiekowi, o nieszczęściu, które go spotkało.

— Wie pan, to długa historia — zaczął bezdźwięcznym, złamanym głosem. — Pochodzę z kresów. Ojciec mój był leśniczym. Chodziłem do gimnazjum w Tarnopolu, gdy wybuchła wojna. Zaraz w grudniu tego samego roku Rosjanie wywieźli na Sybir moich rodziców. Byłem jedynakiem. Uniknąłem tej zsyłki tylko dlatego, ponieważ w tym czasie przebywałem u znajomych w Tarnopolu. Tam też zostałem i ukrywałem się aż do nadejścia Niemców... Zakochałem się w córce moich gospodarzy i jej też nie byłem obojętny. Potem Niemcy wywieźli mnie i ją na roboty do Rzeszy. Po wojnie spotkaliśmy się znowu. Ona nie chciała wracać za Bug, a ja nie miałem wracać do komunikacji, mogą jeszcze 10-krot-

— Ja nie chcę być tam nawet przez trzy tygodnie. Nawet przez trzy dni!

— Zupełnie nie rozumiem pana. Widać było, że stacza wewnętrzną walkę. Zastanawiał się, czy ma powiedzieć mi, obcemu człowiekowi, o nieszczęściu, które go spotkało.

— Wie pan, to długa historia — zaczął bezdźwięcznym, złamanym głosem. — Pochodzę z kresów. Ojciec mój był leśniczym. Chodziłem do gimnazjum w Tarnopolu, gdy wybuchła wojna. Zaraz w grudniu tego samego roku Rosjanie wywieźli na Sybir moich rodziców. Byłem jedynakiem. Uniknąłem tej zsyłki tylko dlatego, ponieważ w tym czasie przebywałem u znajomych w Tarnopolu. Tam też zostałem i ukrywałem się aż do nadejścia Niemców... Zakochałem się w córce moich gospodarzy i jej też nie byłem obojętny. Potem Niemcy wywieźli mnie i ją na roboty do Rzeszy. Po wojnie spotkaliśmy się znowu. Ona nie chciała wracać za Bug, a ja nie miałem wracać do komunikacji, mogą jeszcze 10-krot-

— Ja nie chcę być tam nawet przez trzy tygodnie. Nawet przez trzy dni!

— Zupełnie nie rozumiem pana. Widać było, że stacza wewnętrzną walkę. Zastanawiał się, czy ma powiedzieć mi, obcemu człowiekowi, o nieszczęściu, które go spotkało.

— Wie pan, to długa historia — zaczął bezdźwięcznym, złamanym głosem. — Pochodzę z kresów. Ojciec mój był leśniczym. Chodziłem do gimnazjum w Tarnopolu, gdy wybuchła wojna. Zaraz w grudniu tego samego roku Rosjanie wywieźli na Sybir moich rodziców. Byłem jedynakiem. Uniknąłem tej zsyłki tylko dlatego, ponieważ w tym czasie przebywałem u znajomych w Tarnopolu. Tam też zostałem i ukrywałem się aż do nadejścia Niemców... Zakochałem się w córce moich gospodarzy i jej też nie byłem obojętny. Potem Niemcy wywieźli mnie i ją na roboty do Rzeszy. Po wojnie spotkaliśmy się znowu. Ona nie chciała wracać za Bug, a ja nie miałem wracać do komunikacji, mogą jeszcze 10-krot-

— Ja nie chcę być tam nawet przez trzy tygodnie. Nawet przez trzy dni!

— Zupełnie nie rozumiem pana. Widać było, że stacza wewnętrzną walkę. Zastanawiał się, czy ma powiedzieć mi, obcemu człowiekowi, o nieszczęściu, które go spotkało.

— Wie pan, to długa historia — zaczął bezdźwięcznym, złamanym głosem. — Pochodzę z kresów. Ojciec mój był leśniczym. Chodziłem do gimnazjum w Tarnopolu, gdy wybuchła wojna. Zaraz w grudniu tego samego roku Rosjanie wywieźli na Sybir moich rodziców. Byłem jedynakiem. Uniknąłem tej zsyłki tylko dlatego, ponieważ w tym czasie przebywałem u znajomych w Tarnopolu. Tam też zostałem i ukrywałem się aż do nadejścia Niemców... Zakochałem się w córce moich gospodarzy i jej też nie byłem obojętny. Potem Niemcy wywieźli mnie i ją na roboty do Rzeszy. Po wojnie spotkaliśmy się znowu. Ona nie chciała wracać za Bug, a ja nie miałem wracać do komunikacji, mogą jeszcze 10-krot-

— Ja nie chcę być tam nawet przez trzy tygodnie. Nawet przez trzy dni!

— Zupełnie nie rozumiem pana. Widać było, że stacza wewnętrzną walkę. Zastanawiał się, czy ma powiedzieć mi, obcemu człowiekowi, o nieszczęściu, które go spotkało.

— Wie pan, to długa historia — zaczął bezdźwięcznym, złamanym głosem. — Pochodzę z kresów. Ojciec mój był leśniczym. Chodziłem do gimnazjum w Tarnopolu, gdy wybuchła wojna. Zaraz w grudniu tego samego roku Rosjanie wywieźli na Sybir moich rodziców. Byłem jedynakiem. Uniknąłem tej zsyłki tylko dlatego, ponieważ w tym czasie przebywałem u znajomych w Tarnopolu. Tam też zostałem i ukrywałem się aż do nadejścia Niemców... Zakochałem się w córce moich gospodarzy i jej też nie byłem obojętny. Potem Niemcy wywieźli mnie i ją na roboty do Rzeszy. Po wojnie spotkaliśmy się znowu. Ona nie chciała wracać za Bug, a ja nie miałem wracać do komunikacji, mogą jeszcze 10-krot-

— Ja nie chcę być tam nawet przez trzy tygodnie. Nawet przez trzy dni!

— Zupełnie nie rozumiem pana. Widać było, że stacza wewnętrzną walkę. Zastanawiał się, czy ma powiedzieć mi, obcemu człowiekowi, o nieszczęściu, które go spotkało.

— Wie pan, to długa historia — zaczął bezdźwięcznym, złamanym głosem. — Pochodzę z kresów. Ojciec mój był leśniczym. Chodziłem do gimnazjum w Tarnopolu, gdy wybuchła wojna. Zaraz w grudniu tego samego roku Rosjanie wywieźli na Sybir moich rodziców. Byłem jedynakiem. Uniknąłem tej zsyłki tylko dlatego, ponieważ w tym czasie przebywałem u znajomych w Tarnopolu. Tam też zostałem i ukrywałem się aż do nadejścia Niemców... Zakochałem się w córce moich gospodarzy i jej też nie byłem obojętny. Potem Niemcy wywieźli mnie i ją na roboty do Rzeszy. Po wojnie spotkaliśmy się znowu. Ona nie chciała wracać za Bug, a ja nie miałem wracać do komunikacji, mogą jeszcze 10-krot-

— Ja nie chcę być tam nawet przez trzy tygodnie. Nawet przez trzy dni!

— Zupełnie nie rozumiem pana. Widać było, że stacza wewnętrzną walkę. Zastanawiał się, czy ma powiedzieć mi, obcemu człowiekowi, o nieszczęściu, które go spotkało.

— Wie pan, to długa historia — zaczął bezdźwięcznym, złamanym głosem. — Pochodzę z kresów. Ojciec mój był leśniczym. Chodziłem do gimnazjum w Tarnopolu, gdy wybuchła wojna. Zaraz w grudniu tego samego roku Rosjanie wywieźli na Sybir moich rodziców. Byłem jedynakiem. Uniknąłem tej zsyłki tylko dlatego, ponieważ w tym czasie przebywałem u znajomych w Tarnopolu. Tam też zostałem i ukrywałem się aż do nadejścia Niemców... Zakochałem się w córce moich gospodar

PIĘKNA PANI i praktyczna



DZISIAJ:

O modzie „radzieckiej”!



Sowiecka najnowsza moda letnia; jednak; zrywane ludowe na bluzce; specjaliści wrócili uwagę na brak proporcji i niechlujne nieszczęsne modelki.

Na scenie Moskiewskiego Teatru Satyry linia tancerek pochyla się ukazując widzom uda i biodra z niewłaściwej strony. Oburzeni krytycy partyjni piszą w gazetach, że ten pokaz kankana jest niedopuszczalny, gdyż obraża sowieckie poczucie... estetyki.

A zorientowany widz może mieć poważne wątpliwości, czy to naprawdę chodzi o estetykę, gdyż wie, jak trudno jest w ZSRR o porządną damską bieliznę. Cudzoziemcy, którzy zwiedzili Wystawę Brukselską w r.ub. mieli okazję stwierdzić, że sowieckie sputniki mogły być doskonałe, ale sowieckie dessous przypominało raczej ściereki niż szczególnie uzbudzonego z arsenału damskiej elegancji. W Brukseli zaś przemysł sowiecki pokazał to, co miał najlepszego — konsumentka sowiecka tego nie może zobaczyć w sklepach Nowosibirsk czy Alma-Aty.

OD WACIĄKA DO KOSTIUMU

A jednak ZSRR przechodzi obecnie rewolucję, niewiele mniejszą od październikowej, przynajmniej w dziedzinie stroju: waciak przestał być modny i nie wypada się do niego przyznawać. Upadek jego zatwierdzono tam, gdzie się narodził — w sowieckiej armii.

W zimie br. ukazał się rozkaz zefa zaopatrzenia wojsk sowieckich twierdzący lakonicznie, że waciakowa kurtka z pokryciem z bawelianej tkaniny przestała figurować wśród przedmiotów wyposażenia sowieckiego żołnierza.

Epoka waciaka skończyła się, a przynajmniej istniejąca siła, które taką decyzję podjęły. Krawaty i dwurzędowa marynarka będą odąd zdobyciem sowieckiego mężczyzny, a kobieta na nosić ludzkie pantofle, angielski kostium i suknię pełną kolorowych płam i kwiatów.

Niestety to, co można w tej chwili zobaczyć, czy kupić w tej dziedzinie dalekie jest od perfekcji.

MODA NA POKAZ

Każda moda jest na pokaz, ale sowiecka jeszcze bardziej niż inne. Sztuka polega na tym, że kobieta na Zachodzie prezentuje suknię przyjaciółkom, rywalkom, a głównie... mężczyznom. W Sowietach zaś przemysł konfekcyjny damskiej pokazuje modę kobietom, ale i na tym się kończy, gdyż modele są tylko... na pokaz.

W Moskwie parę lat temu otwarto Wszech-Związkowy Dom Mody. Co pewien czas odbywają się pokazy nowych modeli, z udziałem zagranicznych dziennikarzy i zdarzyć się może, że czytelnicy „Świata” czy „Ptakroju” też się o tym dowiedzą. Ale niech ich moc Boska broni, by to wzięli poważnie. Jest to bowiem

„lipa”, mówiąc językiem bohaterów Wiecha.

„Wszechzwiązkowy Dom Mody istnieje tylko od parady i dla wystawy” — przyznają moskiewskie „Izwestia”. „Jego modele są bardzo dalekie od tego, co można wyprodukować w fabrykach przemysłu odzieżowego. Modele te są wykonane ze specjalnych tkanin, których fabryki odzieży wcale nie dostają. Dlatego też zachęcające modele z Domu Mody tracą cały blask i elegancję, gdy zostaną wykonane ze zwykłego materiału”.

W MOSKIEWSKIM SKLEPIE

Powstanie w Sowietach przemysłu odzieżowego jest, oczywiście, dowodem postępu. Jest to, przy tym, przemysł nieźle rozwinięty w sensie ilościowym. Ale jego stan jakościowy jest dość mizerny.

Sądząc z informacji prasy sowieckiej, największą trudnością przeciętnej klientki GUMU’u czy innego sklepu moskiewskiego jest znalezienie takiego kostiumu, który by na nią pasował.

Sprzedawczynie mają już szablonową odpowiedź, by uspokoić narzekania rozżalanej klientki: „Towarzyszka ma nietypową figurę” — powiadają.

Reporter „Izwestii” zauważył, że to dziwne wyjaśnienie.

„Również i figury następnych dwudziestu klientek okazały się nietypowe w tym sklepie” — napisał. Kierownik przemysłu odzieżowego w okręgu moskiewskim wyjaśnił na czym polega „typowość” damskiej figury.

„Trzebaby produkować co najmniej 90 różnych rozmiarów, by zadowolić większość kobiet. Niestety produkujemy tylko dziewięć”.

Można przypuszczać, że te 90 rozmiarów to lekka przesada, gdyż

Dior’a. Ale instytut ten nie ma wiedzy zachodnich specjalistów ani ich znaczenia. Jego bezradność najlepiej charakteryzuje historia usiłowań ustalenia typowych rozmiarów.

Oto Instytut Odzieżowy zwrócił się do Sowieckiego Instytutu Antropologii przy uniwersytecie moskiew-



Tłum moskiewski przed oknem wystawowym domu mody.

skim z prośbą o dostarczenie wymiarów zasadniczych typów ludzkich w całym Związku Sowieckim. W Instytucie Odzieży ludzono się, że to przyniesie im rozwiązanie kłopotów. Można tak było myśleć, gdyż parę lat temu rząd sowiecki wyasygnował kilka milionów rubli na pomiary antropometryczne ludności kraju. Ale widać, sowiecka „biusto-metria”, „biodro-metria” i „talio-metria” stoją jeszcze dość nisko i nie planują wyjść ze Stanami Zjednoczonymi. Pomiary bowiem dokonano, ale Instytut nie miał możliwości ze-

„WYMIARY UBRAN MAJA BYĆ DOSTOSOWANE DO KSZTAŁTÓW KOBIETY IDEALNEJ” ...



nawet Harrod’s, na Knightsbridge w Londynie takich ubrań nie ma, ale tym niemniej sytuacja w Moskwie jest krytyczna.

„BIUSTO-METRIA”

Moskwa jest siedzibą Sowieckiego Instytutu Odzieżowego.

Jest to biuro planowania, plus coś w rodzaju pracowni kolektywnego

brania danych i nie może ich wobec tego nikomu dostarczyć.

W tych warunkach zasadnicze rozmiary ubrania dalej produkuje się na oko, czyli jak to ładnie określiła gazeta moskiewska — „orientując się na idealne kształty kobiece”.

Nic dziwnego, że wobec tego tylko jedna dziesiąta część gotowych strojów kobiecych pasuje na klientki.

KAŻDY SOBIE

Jeszcze inne dziwki można odkryć w produkcji obuwia. I tutaj kształty ciągle grają mniejszą rolę — istotna jest moc i solidność. A te również bywają pod znakiem zapytania.

Fabryk obuwia jest coraz więcej i



ilość obuwia na rynku zwiększyła się wydatnie w ciągu ostatnich pięciu lat. Ale jakość ciągle kuleje.

W ostatnich tygodniach rozpoczęto głośną kampanię o poprawę jakości obuwia. Przy okazji wyszło na jaw, że tylko jedna fabryka produkuje buty bez braków. Ale fabry-

LEKI WOLNE OD CŁA
APTEKA POLSKA
 ul. Farm. STANISŁAW EHRBAR
 FULHAM PHARMACY
 608, Fulham Rd., London, S.W.6
 Tel. REN 4126.
 WYŚŁA DO KRAJU WSZELKIE LEKI PO CZTA POLECONĄ I LOTNICZĄ.
 Ceny eksportowe. 9846

ka ta nie znajduje się ani w Moskwie, ani Leningradzie, a we... Lwowie. Inne fabryki mają z niej brać przykład, choć to, podobno, nie tak łatwo.

Kierownicy produkcji obuwia w okręgu moskiewskim napisali otwarty list do gazet w tej sprawie. Nie wypadało im protestować przeciw lwowskiemu metodom, ale otwarcie mówią, że przejście ich w Moskwie doprowadzi do odrzucenia od ośmiu do dwunastu procent produkcji.

W tej sytuacji rozpoczęto czystkę. Pierwszą ofiarą padł sam kierownik centralnego zarządu przemysłu odzieżowego. Jego wpływ na modę damską musiał być nadzwyczajny. Oto świadectwo „Izwestii”:

„Byłoby dziwne, gdyby na czele piekarni postawiono, na przykład, metalowca. Tym niemniej naszym przemysłem odzieżowym przez wiele lat kierował specjalista od... wyrębu lasów”.

W Moskwie dalej brak Dior’a...

Stefan Lochtin



ERA WACIĄKÓW W PEŁNYM JESZCZE ROZKWICIE

BIGOS angielsko-polski

„Nasze małżeństwo jest idealnie szczęśliwe (ideally happy)”. Tak pani Joan Ann, urodzona Arrosmith, określiła, bez wahań i bez zastrzeżeń, swoje życie z mężem Polakiem — p. Czesławem Pietraszkiewiczem, którego na co dzień nazywa Czeskiem.

Państwo Pietre — dla wygody tubylców Pietraszkiewiczowie zredukowali do sześciu liter swoje długie i trudne nazwisko — poznali się w sławetnym „Wintergarden” w Black-poolu.

Był to rok 1943 i panna Joan przybyła tam z Manchester, gdzie właśnie rozpoczęła studia na uniwersytecie. Pan Czesław — z Greenock, gdzie wyładował zaledwie dwa dni przedtem po długiej przymusowej podróży z Wilna via Murmańsk, Persja, Egipt, Palestyna, Indie i Południowa Afryka. Panna Joan była więc, jeśli można się tak wyrazić, pierwszym widokiem angielskim pana Czesława i do dziś, jak mnie zapewnił, pozostała widokiem najmiłszym.

On po angielsku nie umiał ani w zęb, ona znała kilkadziesiąt słów polskich. Należała bowiem do ówczesnej grupy entuzjastów „cierpiącej Polski” i nawet brała udział w kursie korespondencyjnym, urzędowym staraniem rządu polskiego w Londynie.

Dylemat językowy nie przeszkodził im jednak w położeniu zdrowego fundamentu pod przyszły związek. Owego pierwszego wieczoru p. Czesław pomyślał — jak dziś twierdzi — że panna, która prosi o kawę, a nie o gin i pod muzyką rozumie utwory Mozarta czy Szopena, nie szlagiery, ma serce na właściwym miejscu.

Podczas gdy p. Czesław służył w lotnictwie w W. Brytanii i w Kanadzie, a potem w Armii Polskiej w Szkocji, p. Joan również odbywała służbę wojenną. Spotykali się u jej rodziców podczas urlopow. Matka jej poлюбиła p. Czesława bez zastrzeżeń, ale ojciec obawiał się, że cudzoziemiec nie będzie najlepszym mężem dla jego jedynaczki.

Zanim wojna się skończyła, p. Joan została sierotą, w ciągu kilku miesięcy straciła w tragicznych okolicznościach oboje rodziców.

Po zdemobilizowaniu w 1945 r.

dziś. Oslodą tej dosyć jednostajnej pracy są wolne przejazdy kolejowe w Anglii i za granicą.

Państwo Pietre mają dwie córki: siedmioletnią Vanesę, która uczęszcza do szkoły oraz dwuletnią Halię.

Na pytanie, jakich przestróg udzieliłaby Angielce, zamierzającej poślubić Polaka, p. Pietre wymieniła kilka:

1) Żeby była przygotowana na to, że z tymi samymi kwalifikacjami Polak nie wychowany w Anglii ma znacznie gorsze szanse od tubylca i że na skutek tego będzie musiała sama również pracować, jeżeli będzie chciała utrzymać życie rodziny na dobrym poziomie.

2) Żeby zdobyła trochę wiedzy o jego kraju, a także o obyczajach i kuchni jego narodu. Pani Pietre wie z doświadczenia, że bochenek żytniego chleba, bigos, kiszony ogórek czy kiełbasa krakowska mogą odgrywać ważną rolę w małżeństwie angielsko-polskim.

Żeby miała zrozumienie i współczucie dla jego sytuacji jako człowieka przeważnie od swojej rodziny odciętego, związanego z krajem cierpiącym moralnie i ekonomicznie biednym.

4) Żeby była przygotowana na drobne nieporozumienia, wynikające z różnicy języków czy też wychowania w odmiennych warunkach narodowych, i brała je zawsze z humorem.

Pani Pietre, szatynka o żywych ruchach, często brana jest przez swoich rodaków za cudzoziemkę, przeważnie za Polkę. A to dlatego, że czuje się dobrze wśród cudzoziemców, czytuje utwory literatury europejskiej, przepada za kuchnią kontynentalną i za granicą nie trzyma się towarzystwa Anglików.

Jak gdyby nie dosyć miała zajęcia jako urzędniczka, żona i matka, p. Pietre jest wybitną działaczką torysowską: jest wiceprzewodniczącą dzielnicowego oddziału partii, członkiem komisji mówców itp. itp.

W miarę możliwości p. Czesław towarzyszy żonie w różnych tzw. funkcjach partyjnych. Na jednym z dorocznych obiadów pp. Pietre byli w towarzystwie dwóch baronów. Pan Czesław zapytał czego by się napili i otrzymał odpowiedź: „Gin



Pp. Czesław i Joan Ann Pietraszkiewiczowie (Pietre) — idealna para polsko-angielska.

p. Joan wróciła do Manchester, żeby studiować nauki społeczne, a p. Czesław rozpoczął tam naukę w Royal College of Music (klasa skrzypcowa).

Kiedy w lecie 1948 r. oboje ukończyli studia, mieli serca pełne miłości, głowy pełne wspaniałych projektów i całkiem puste kieszenie. Toteż pobrali się bez pompy i pojechali na trzy miodowe dni nad morze.

Mimo angielskiego dyplomu p. Czesław nie zdołał dostać się do żadnej orkiestry. Polaków nie przyjmowano do związku muzyków, a nie należąc do związku, nie mógł otrzymać pracy.

Pani Pietre powiodło się lepiej. Pierwsza jej oferta odniosła sukces: otrzymała posadę Mental Health Officer w Wiganie, gdzie pp. Pietre mitszkają i obecnie we własnym mile urzędowym domu. P. Czesław zarzucił skrzypce i zaczął życie zarobkowe od noszenia białej fabryce papieru. Po kilku miesiącach udało mu się jednak otrzymać zajęcie biurowe w warsztatach kolejowych w Horwich, gdzie pracuje do

and bitter lemon”. Po chwili wrócił też z kolejką: kieliszką ginu, w którym pływały kawalki cytryny. Był zaskoczony zdziwieniem swoich gości, on zrozumiał bowiem, że prosili o „Gin and bits of lemon”.

Hestia

A oto przepis Pani Pietre na bigos, którym nie tylko obiadają się jej polski mąż i dzieci, ale również wszyscy przyjaciele angielscy:

1 duża puszka kiszzonej kapusty, 1 lb. wieprzowiny, 1 filiżanka świeżych grzybów, 2 filiżanki sosu mięsnego z najlepszych kostek, 2 oz. słoniny, 1 duża cebula, 2 łyżki maki, 2 łyżeczki soli, 1 łyżeczka pieprzu, 2 łyżki cukru.

Przeplukaj kapustę zimną wodą pod kranem, trzymając ją w durszlaku, włóż do garnka wraz z filiżanką drobno pokrajanych grzybów, przykryj i dusz w wolnym ogniu przez pół godziny. Zasmaż drobno uciętą cebulę na słoninie, dodaj makę i trochę kapusty. Wymieszaj, po czym dodaj do reszty kapusty. Dobrac do smaku pieprzem, solą i cukrem, włóż sos, dodaj wieprzowinę pokrajaną w kostki i gotować pod przykrywą na wolnym ogniu ok. godziny. Następnego dnia odgrzać i podać z żytnim chlebem.

KRONIKA polityczna emigracji

INTERWENCJE W DEPARTAMENCIE STANU

Przebywający w Waszyngtonie przedstawiciel Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego mec. Z. Stypulkowski złożył w dniu 2 kwietnia, podczas konferencji NATO, wizytę w wydziale europejskim Departamentu Stanu. Spowodowały ją wiadomości prasowe o projektach przetargu z Sowietami na nowy statut w zachodnim Berlinie za cenę uznania przez mocarstwa zachodnie faktycznej sytuacji w Europie Wschodniej.

Mec. Stypulkowski oświadczył, że wiadomości te muszą wywołać najwyższe zaniepokojenie w polskiej opinii publicznej, zarówno w Kraju jak i na emigracji.

W odpowiedzi na to przedstawił Departamentu Stanu wyrażił zrozumienie dla wyrażonego niepokoju, który jest całkowicie usprawiedliwiony. Jeżeli jednak chodzi o stanowisko rządu Stanów Zjednoczonych, to nie uległo ono zmianie. Rząd Stanów Zjednoczonych od szeregu lat składa oświadczenia,

także i w deklaracjach międzynarodowych, że nie uznaje żadnej formy stanu rzeczy, wytworzonego w Europie Wschodniej przez sowiecką dominację i przy tym poglądzie trwa.

W sprawie tej kolejno interweniowali również w Departamencie Stanu przedstawiciele ACEN (organizacja narodów ujarzmionych) oraz Polskiego Narodowego Komitetu Demokratycznego (prezes St. Mikolajczyk). P.N.K.D. ogłosił oświadczenie, w którym w związku z przygotowaniem do konferencji „na szczycie” przypomina mocarstwom ich zobowiązania w stosunku do Narodu Polskiego.

SKARB NARODOWY

Główna Komisja Skarbu Narodowego ogłosiła sprawozdanie, z którego wynika, że wpływy na Skarb Narodowy w r. 1958 wyniosły 18.121:13-5.

Po stronie wydatków najpoważniejszą pozycję stanowi Egzekutywa Z.N. — 10.901:4-8.



Podróż bez powrotu

O LEMNIKACH

Na pagórku w podbiegunowej Norwegii mieszka gromadka czarno-żółtych lemników. W małych tych gryzoniach wszystko wydaje się okrągłe, doskonale dostosowane do surowego klimatu: małe, zaokrąglone uszka, miniatury ogonek, bystre oczka, nosek, jak czarny aksamitny guziczek. Zwinęty w kłębek lemnik to zupełna kulka!

Niewiele większe od myszy, ale futro mają fenomenalne: puszyste, miękkie, tak długie, że po bokach włosy opadają omal do ziemi. Ruchliwe to i wesołe stworzonka; nie wiedzą o swym dziwnym i tragicznym przeznaczeniu.

Wspaniałe to lato chowa w sobie zaczątek tragedii.

Następuje zima. Pagórek jest teraz tak pokryty labiryntami tunelików, że zaczyna być ciasny, nie mieści po prostu w sobie tysięcy mieszkańców. Z jedzeniem też zaczyna się pewne trudności: mchu, prawda, jest jeszcze dosyć dla wszystkich, ale ulubionej trawy to już na pewno nie. Korytarzyki pod zaspą stają się z konieczności coraz dłuższe, wyprawy po jedzenie coraz uciążliwsze.

Stosunki sąsiedzkie psują się gwałtownie. Lemników drażni przyłudnienie. Już nie witają się przyjaznie noskami, coraz częściej zdarzają się bijatki i awantury.

pami. Nie robią tego. Prawie nie odpoczywają, omal nie jedzą, chociaż wiosna już dobrze zielenieje. Bez tchu pędzą przed siebie. Z nimi i nad nimi posuwają się napastnicy: drapieżne ptaki i zwierzęta zbierają setny plon, setki niedbałych, opętanych lemników pada ofiarą.

Fatalny kres

Lemniki wędrują długo i daleko. Przepluwają rzeki i jeziora, przebiegają góry, falą przebiegają osady ludzi. Dobiegają brzegu morza.

Ale nawet i teraz się nie zatrzymują, nawet przed tą ostatnią — wielką rzeką. Gnany szalonym msem pierwszy z nich wchodzi do



Irena Hofman

Dom na wzgórzu

Pagórek lemników jest pokryty mchem i lykowaną trawą, ulubioną ich strawą. Tu i tam jaśnieje ziemiasta łysina i w tych miejscach lemniki kopią norki. Mieszka ich na pagórku bardzo wiele, nie są jednak związaną grupą: łączą ich wybór mieszkania, nie przyjaźń.

Norka lemnika to okrągłutki pokój pięknie wyścielony i uszczelniony suchą trawą, połączony z zewnętrznym światem wygodnym korytarzykiem. Wszystkie norki znajdują się w najbardziej stromym zboczu, chronionym od wiatru, a gdzie w zimie tworzy się olbrzymia zaspą.

Ciasnota staje się im nie do zniesienia, wieczne obijanie się jednego do drugiego. Wybuchają stałe kłótnie i walki. Lemniki robią się nerwowe, podrażnione, same nie wiedzą, czego chcą. Jeszcze przed przyjsciem wiosny cała gromada jest w stanie dziwnego napięcia i niepokoju.

Aż pewnego dnia jeden stary samiec nie może już dłużej wytrzymać. Rzuci norkę, opuszcza pagórek, biegnie szybko, celowo w dół doliny. Nie myśkuje, jak zwykle, po drodze. Porusza się zdecydowanie, z dyscypliną.

Wielka migracja

Pod śniegiem lemnikom ciepło i bezpiecznie. Drażą pod zaspą niezliczone białe tuneliki, każdy wysłany smaczny mchem i prowadzący do kępki trawy. Łatwo przetrzymują długą, ciemną zimę arktyczną.

Mieszkają na swoim pagórku 3, 4, może aż 7 lat.

I nagle rusza za nim kilka innych lemników, tworzą cieniutki, czarno-żółty sznureczek.

Teraz następuje rzecz przedziwna, rozwią się wielki dramat. Za tymi kilkoma pierwszymi zaczyna podążać wielu innych. Sznureczek zmienia się w strumyk, strumyk w rzekę biegnących zwierzątek. Migruje prawie cała kolonia, może zaledwie kilka par lemników pozostanie w starym domu.

Trafia się rok niezwykle dobry: wczesna wiosna, długie lato, wyjątkowo łagodna jesień. W tych warunkach lemniki czują się wybornie! Jedzenia jest w bród, samicek chowają 3 lub 4 rodziny, miast zwykłych 2, nawet, rzecz niezwykła, młode, tegoroczne pokolenie doczeka się własnego potomstwa.

Tworzą widok niezwykle: dziesiątki tysięcy małych stworzonek spieszy, płynię doliną niczem szeroka wstęga wody, falująca, jedwabista rzeka. Biegną szybko, gorączkowo, gnane instynktem migracji, jakże w ich wypadku straszny! Uciekają od siebie, od zbyt wielkiej własnej masy — a uciekają razem, uciekają całym znieznanym tłumem...

Kolonia rośnie jak na drożdżach. Liczba osobników wzrasta zawrotnie szybko. Lemniki są bardzo rade z losu, najedzone, zdrowe, pełne energii, trącają się radośnie noskami na powitanie i stwierdzają, że najstarsze z nich nie pamiętają tak dobrych czasów.

Mogłyby się rozdzielić po drodze, rozejść, zacząć od nowa małymi gru-

Obrazy polskie w Brukseli

BRUKSELA, w kwietniu. Czerwony afisz z francusko-flamandzkim napisem: SZTUKA POLSKA zwrócił moją uwagę.

Kupując bilet w Pałacu Sztuk Pięknych spostrzegłem, że jestem jedynym płatnym widzem. Dwaj brodacie młodzieńcy, wyglądający na malarzy, pokazują jakieś legitymacje i wchodzi bezpłatnie.

ne itp. i powiedział: „Oto polska literatura, są tu różne rodzaje i prądy: jest romantyzm, klasycyzm, poezja łańciska, polska itp.” Ale czytelnik nie nabrałby z tego żadnego pojęcia o roli i dziele Mickiewicza, Kochanowskiego czy Reja.

To samo jest na obecnej wystawie obrazów. Ściąga się ludzi afiszami, a nie daje im przeżyć estetycznych.

Jest nas wszystkiego troje zwiedzających (w święto!). Jeden ze sprawozdawców prasowych był jedynym widzem (w sobotę!).

Już od progu dostrzegam dziecięce główki z dekoracyjnymi kokardami malowane przez Wyspiańskiego. Portret Nowaczyńskiego, portret Sołlej, „Macierzyństwo” i „Widok z okna pracowni” oraz afisz na premierę Maeterlincka reprezentują naszego geniusza narodowego. Bardzo skąpo.

Byłoby całkiem inaczej, gdyby na jednej ze ścian powitały widza rozbiegane konie Chelmońskiego (nieobecnego na wystawie) lub przynajmniej jego „Napać wilków”. Niejeden ze zwiedzających zatrzymał się przed kaskadą jasnych włosów umierającej Ellenai, przed tragiczną wymową „Willi zesłańców na Sybir” lub „Na etapie” Malczewskiego, którego nazwisko dla przeciętnego Polaka kojarzy się właśnie z tymi obrazami, zrozumieliśmy również dla obcych. Bardziej, niż „Anioł i pastuszek”, którego przywieziono tylko po to, żeby pokazać Malczewskiego jako symbolistę (co jest mniej ważne).

Tuż obok jeden jedyny obraz Wyczółkowskiego „Martwa natura z chińską wazą”. Jak na wszechstronnego malarza, jakim był Wyczółkowski, doprawdy za mało.

Doskonale rozumiem, że tematy, związane z Syberią, nie nadawały się na wystawę, której patronuje ambasador warszawski.

To nie jest wystawa polskiej sztuki, tylko wystawa prądów w sztuce. Osiągnięto tylko jeden efekt: pokazano, że realizm socjalistyczny nie gnębi malarzy w Polsce w takim stopniu jak to jest gdzie indziej i że wszystkie prądy w sztuce Zachodu są w Polsce znane.

Poeta, malarz, wizjoner Jacek Malczewski reprezentowany jest przez jedno tylko dzieło: „Anioł i pastuszek”. Gierymskiego „Sekwana” i Mehoffera trzy małe pejzaże zajmują resztę miejsca w sali.

Doskonale rozumiem, że tematy, związane z Syberią, nie nadawały się na wystawę, której patronuje ambasador warszawski.

Idziemy dalej. Kilka znanych nazwisk. Po jednym lub dwóch obrazach: Podkowiński, Sławiński, Adler, Pronaszko, Boznańska, Weiss, Pankiewicz, Wojtkiewicz, Stanisławski (trzy małe pejzaże). A obok nich: Spychalski, Potworowski, Czyżewski, Waliszewski, R. Witkowski, Strzebiński, Taranczewski, Rzepiński, Cybis (6 obrazów), Cybisowa, Larisch itd. Dwie ostatnie sale zajmują obrazy w stylu „poplamionego fartucha” i układanki geometryczne. Razem: 5 sal, 100 kilka obrazów, 39 malarzy i taka... pustka. Dlaczego? Pomimo kilku dobrych nazwisk odnosi się wrażenie ubóstwa... Recenzje mówily prawdę... Dlaczego wchodząc do Muzeum Narodowego w Krakowie nie odnosiśmy wrażenia pustki, a tutaj wręcz przeciwnie?

Organizatorzy wyjaśniają w katalogu, że wybrali okres po malarstwie historycznym (niewytwarzającym dla fałszywej historii).

Obrazy przywiezione do Brukseli zostały pobierane z kilku muzeów i od prywatnych osób. Reprezentują one jakieś 70 lat polskiej sztuki.

Nie mogę się z tym pogodzić. Organizatorzy chcieli przede wszystkim pokazać przedstawicieli wszystkich kierunków w malarstwie: symbolistów, kubistów, impresjonistów, kolorystów itd. Zaniedbano zupełnie stronę widowiskową.

NOWOJORSKIE KONFETTI

Program wizyty każdego oficjalnego gościa w Stanach Zjednoczonych przewiduje po pobycie w stolicy odwiedzenie Nowego Jorku i uroczysty przejazd otwartym samochodem przez Broadway do Ratusza. W czasie takiego przejazdu trwającego około dwóch godzin, zarządza się przerwę w pracy w biurach i urzędach mieszczących się w gmachach dokoła trasy przejazdu i wszyscy pracownicy ukazują się w oknach, skąd zarzucają kawalkadę deszczem confetti. Nazywa się to „ticker tape parade”. Confetti dostarcza za darmo miasto, ale najczęściej zużywa się na ten cel również stare książki telefoniczne, a grubość ich starca na wiele par.

Zrobiono wystawę kierunków w sztuce, ale nie wystawę sztuki. To tak jakby ktoś chciał dać syntezę polskiej literatury i pokazać przedstawicieli wszystkich kierunków przy pomocy jednego dzieła. Wziął balladę Mickiewicza, rymy księdza Baki, jedną fraszkę Reja, jeden psalm Kochanowskiego, średniowieczne kaza-

Program wizyty każdego oficjalnego gościa w Stanach Zjednoczonych przewiduje po pobycie w stolicy odwiedzenie Nowego Jorku i uroczysty przejazd otwartym samochodem przez Broadway do Ratusza. W czasie takiego przejazdu trwającego około dwóch godzin, zarządza się przerwę w pracy w biurach i urzędach mieszczących się w gmachach dokoła trasy przejazdu i wszyscy pracownicy ukazują się w oknach, skąd zarzucają kawalkadę deszczem confetti. Nazywa się to „ticker tape parade”. Confetti dostarcza za darmo miasto, ale najczęściej zużywa się na ten cel również stare książki telefoniczne, a grubość ich starca na wiele par.

Organizatorzy chcieli przede wszystkim pokazać przedstawicieli wszystkich kierunków w malarstwie: symbolistów, kubistów, impresjonistów, kolorystów itd. Zaniedbano zupełnie stronę widowiskową.

Od dłuższego czasu zaczęły podnosić się głosy przeciw tej tradycyjnej uroczystości. Protestuje urząd sprzątnięcia miasta, twierdząc, że ma za dużo roboty; pracodawcy, że pracownicy na zbyt długo odrywają się od biur; właściciele sklepów, że nie targują, bo klienci nie mogą się do nich dostać.

Przedmiotem jest rozpatrywanie zażeń i uwag turystów. Podobno każda uwaga jest badana, albo przez inspektora lokalnego, jeżeli nie jest zbyt poważna, albo głównego, jeżeli zażalenie jest tego rodzaju, że może poddawać w wątpliwość klasę restauracji czy hotelu. Redakcja każdego roku otrzymuje tysiące listów, które oczywiście dodatkowo pozwalają jej trafnie klasyfikować lokale.

Spór załatwiono polubownie. „Ticker tape parade” ograniczać się ma w zasadzie tylko do szefów obcych rządów, przybywających do Stanów Zjednoczonych na oficjalne zaproszenie Prezydenta, oraz do wybitnych Amerykanów.

ZMARLI

- S.P. JÓZEFA LIPOWSKA
Lata 52.
Zmarła 1. 4. 1959 w Wolverhampton.
- S.P. JAN MICHAŁSKI
Mjr W.P.
Urodz. 5. 1. 1896.
Zmarł 3. 4. 1959 w Penley.
- S.P. KAROL SŁAWIKOWSKI
Por. rez. W.P.
Urodz. 8. 12. 1896.
Zmarł 6. 4. 1959 w Londynie.
- S.P. ZYGMUNT WACŁAW STRUBEL
Podpułkownik.
Zmarł 29. 3. 1959 w Londynie.
- S.P. ANNA Z EDEMSKICH GRABOWSKA
Urodz. 4. 12. 1897.
Zmarła 6. 4. 1959 w Londynie.
- S.P. MARGARET FELIKS
Nauczycielka.
Zmarła 8. 4. 1959 w Glasgow.
- S.P. CZESŁAW SACHRAJDA
Lata 42.
Zmarł 8. 4. 1959 w Londynie.

Ilość papieru zużytego przy takich okazjach świadczy o stopniu entuzjazmu tłumów i popularności gości. Tak więc największą ilość confetti zużyto w czasie przejazdu gen. Mac Arthura, gdy 20 kwietnia 1951 wrócił do Nowego Jorku niespodziewanie odwołany przez Truman'a z naczelnego dowództwa w Korei.

3.249 ton, niemal dwa razy tyle, ile w 1938 r. dla Howard Hughes, po zakończeniu jego lotu dokoła świata. Lindberg, po locie nad Atlantykem w 1927 r., miał tylko 1750 ton papieru. Z gości zagranicznych największą „otrzymała” Królowa Elżbieta w 1957 r. — 800 ton. Prezydent Irlandii przed kilku tygodniami zażył tylko na 18 ton.



NA KREDYT!

- SPROWADZANIE RODZIN
- WYJAZDY ZA GRANICĘ
- WAKACJE W POLSCE I PIĘCIU INNYCH KRAJACH EUROPY

POLSKIE MIĘDZYNARODOWE BIURO PODRÓŻY

FREGATA

122 WARDOUR STREET, LONDON W.1., TEL. REG 5101

WAŻNE DLA LONDYNCEW! Biuro Fragaty przy 7 CROMWELL ROAD, LONDON S.W.7., TEL. KNI 0461

OTWARTE JEST W SOBOTY DO GODZ. 4 PO POŁUDNIU

ST. ZJEDN. 509 FIFTH AVENUE, NEW YORK

MICHELIN 1959 — przewodnik także gastronomiczny

Jak każdego roku w okresie Wielkanocy, tak i teraz na półkach księgarskich pojawiło się nowe wydanie turystycznego przewodnika „Michelin”.

Ta czerwona książka o 916 stronach jest uważana za jeden z najlepszych przewodników na świecie. Wraz ze znanymi mapami turystycznymi wydaje go wytwórnia opon samochodowych „Michelin” i poza swymi oponami, nie przyjmując żadnych ogłoszeń ani reklam. Zasadę tę przestrzega do tego stopnia, że nie ogłasza w przewodniku nawet samochodów Citroen, których fabryka należy do koncernu Michelin.

powstała w roku 1582 i był w niej „nasz” Henryk Walezy, później po „repatriacji” do Francji — Henryk III.

Jej specjalnością jest „kaczka w krwi”, która od roku 1890 jest numerowana — obecnie przekroczone już numer 260.000. Prezydent Roosevelt miał numer 112.151, księżniczka Elżbieta w r. 1948 — 185.393, a dawniej książę Walii w 1890 roku (późniejszy Edward VII) Nr. 328. Piwnica restauracji (nazywana „Panteonem Win”) liczy sobie 85.000 butelek...

wypada gdzieś pomiędzy 60 a 70 lat.

Oczywiście ceny są proporcjonalne do tych gwiazdek; 3 gwiazdki oznaczają, że trzeba liczyć po 3.000 frs. na gwiazdkę za posiłek — bez ekstrawagancji, zwłaszcza w dziedzinie win, które z łatwością mogą rachunek podwoić i potroić (mowa o jednej osobie).

Cafe de Paris rok 1939

Mam przed sobą przypadek zachowane wydanie Michelin z 1939 roku. Wtedy wśród czołowych restauracji królowała CAFE DE PARIS, największa restauracja świata, od strony gastronomicznej oczywiście. Została zamknięta kilka lat temu — nowe pokolenie woli „Self-Service”...

butelkach (Burgund Romanée Conti 10.000 frs. butelka), natomiast LARUE zamiast się nieestety w lokal (QUECHE) wydają „Quick Lunches” i który był przez pewien czas kwatery główną jednego z organizatorów „rózowych baletów”. Gdy kilka lat temu sprzedawano z licytacji słynną piwnicę tej restauracji, to stary Aga Khan z pobliskiego Maxima posłał kelnera, by ten mu tam kupował najdroższe wina do obiadu, który jadł w licznym gronie swych gości.

Michelin chroni przed wyzkiem

Przewodnik Michelin idzie z prądem czasu. Obek sygnalizowania drogi i dobrych restauracji wprowadził specjalny znak dla restauracji tanich, w których można zjeść przyzwoicie. Rozpoczął przed kilku laty od ceny poniżej 450 frs. w ub. roku poniżej 750 frs. a w tym wydaniu te posiłki są już poniżej 850 frs... Historia inflacji francuskiej.

Rok rocznie autorzy przewodnika ulepszą dział objaśnień, który trzeba dobrze przestudiować, zwłaszcza sposób określania cen. Te objaśnienia podane są w czterech językach, w sposób łatwy, zrozumiały i wyczerpujący.

La Tour d'Argent i Lapérouse już miały swoje 3 gwiazdki, ale Maxim's w ogóle w przewodniku nie figurował; znany był raczej z innych stron, niż z gastronomii. Nie figurował również Grand Vefour — widocznie uważał, że należało mu się więcej gwiazdek, niż redaktorzy przewodnika mu przydzielali i wobec tego prosił o nieumieszczanie go. Zdarza się to dość często.

10.000 fr. butelka

Natomiast wśród trzech gwiazdek figurował dobrze znany FOUQUETS na Polach Elizejskich, ale dziś zadowalnia się tylko jedną gwiazdką, mimo luksusowych ram i instalacji. Dalej były dwie wielkie restauracje placu Madelaine: LUCAS - CARTON, gdzie 10 listopada 1918 roku marszałkowie Foch, Joffre, French i gen. Pershing zdecydowali zawieszenie broni na następnym dzień na godz. 11-tą i następnie droga sercem starszych roczników ambasady polskiej LARUE. Pierwsza ma dziś 2 gwiazdki, mimo protestów jej bywalców i najpoważniejszą piwnicę Paryża o 120.000

Mezowie stanu u Topolińskiego

Druga trzygwiazdkowa restauracja to LAPEROUSE, pod kierownictwem naszego rodaka Topolińskiego. To jedna z rzadkich restauracji Paryża, która zachowała gabinety prywatne, z których każdy ma otomane, a drzwi są bez klamki na zewnątrz tak, że gość musi każdorazowo sam otwierać je obsłudze... Lustra pokryte są podpisami, co dowodzi nie tyle o oryginalności gości — jak się ktoś wyraził — ile o noszeniu przez nich prawdziwych brylantów.

Te salony są często poufnym miejscem spotkań meżów stanu. Laperouse gościła u siebie księżniczkę Małgorzatę angielską, gdy ta ostatnio była w Paryżu. Piwnica restauracji ma 25.000 lokatorek różnych roczników.

Kulebiak i George Sand

Trzecią wielką restauracją jest GRAND VEFOUR, gdzie był Napoleon z Józefiną. Wierną jej klientką była George Sand, a pamiętkę której popielniczki mają kształt jej dłoni (palita ona, jak wiadomo, cygara). Między specjalnościami kuchni figuruje kulebiak.

Czwartą trzygwiazdkową restauracją jest MAXIM'S — słynny z „Wesołej Wdówki” i ze snobów, którzy tam obecnie się spotykają. Znane są wtorkowe kolacje „młodych”, gdzie średni wiek

Tu jadał ks. Adam

W Paryżu jest ich cztery. Słynna TOUR D'ARGENT nad brzegiem Sekwany naprzeciw Biblioteki Polskiej, gdzie w wrześniu 1855 roku emigracja z ks. Adamem Czartoryskim żegnała Mickiewicza przed jego wyjazdem do Turcji.

Oczywiście nie była ona wówczas tak sławna, jak obecnie i nie mieściła się na 6-tym piętrze ze wspaniałym widokiem na Notre-Dame. Jednak ma swoje lata, bo



SYLWETKI sportowców polskich

TADEUSZ RUT
— mistrz Europy w rzucie młotem.



Gąbka przegrała

Międzynarodowa federacja tenisa stołowego (ITTF) rozstrzygnęła ostatecznie spór dotyczący się wśród ping-pongistów jakich raketek należy używać — guma czy gąbka? Gąbka faworyzuje ping-pongistów żółtych, którzy się nią posługują. Postanowiono standaryzację raketek. Skasowano gąbkę. Za gumą opowiedziało się 71 delegatów, przeciw 19 delegatów obradujących w Dortmundzie.

ITTF, przyznał organizację przyszłych mistrzostw świata w r. 1961 Pekinowi większością głosów 86:6! Przeciwko głosowali sąsiedzi Chin — Japonia, Południowy Wietnam, Południowa Korea... Amerykanie głosowali za Pekinem!

Kongres ITTF ogłosił klasyfikację drużynową. Mężczyźni (klasa A): 1.) Japonia; 2.) Węgry; 3-4.) Chiny i Południowy Wietnam; 5.) Szwecja; 6.) Jugosławia; 7.) Czechosłowacja; 8.) Brazylia; 9.) Niemcy zach.; 10.) Rumunia.

Do klasy B zostały zaliczone: Anglia, Austria, Francja, Indie, Polska itd.

Kobiety (klasa A): 1.) Japonia; 2.) Korea Południowa; 3.) Chiny; 4-5.) Anglia i Węgry; 6.) Czechosłowacja; 7.) Rumunia; 8.) Francja; 9.) Niemcy zach.; 10.) Szwecja. Polki, podobnie jak i mężczyźni, zostały sklasyfikowane w drugiej dzielnicy.

Chłopaki, z Bogiem!

Bieg na przelaj „L'Humanité” w Paryżu jest bojkotowany przez wszystkie federacje lekkoatletyczne państw zachodniej Europy. Zatarł pochodzi stąd, że dziennik komunistyczny nadaje tej imprezie charakter polityczny, co jest sprzeczne z założeniami Międzynarodowej Federacji, która stoi na stanowisku, że wszystkie imprezy sportowe powinny mieć charakter wyłącznie sportowy.

Polacy startują w biegu „L'Humanité” od 1954 r. Zwyciężył wtedy Zatopek, a Chromik był drugi. W sumie Chromik był 3 razy drugi w tym biegu. W zeszłym roku wygrał Krzyszkowiak. Obecnie Chromik był pierwszy, a Polska zajęła drugą miejsce (Ożóg był 2, Zimny — 5, Krzyszkowiak — 7).

W konkurencji kobiet startowała tylko jedna Polka, Żbikowska; zajęła 7 miejsce. Przed startem męczyzn Żbikowska podbiegła do kolegów i zawołała:

— Chłopaki! Z Bogiem! M.J.

Argentyna — mistrzem

Mistrzem piłkarskim Pld. Ameryki została Argentyna remisując w ostatnim meczu z Brazylią 1:1, w Buenos Aires. Ostateczna klasyfikacja:

1) Argentyna 11 pkt; 2) Brazylia 10 pkt; 3) Paragwaj 6 pkt; 4) Peru 5 pkt; 5) Chile 5 pkt; 6) Urugwaj 4 pkt; 7) Boliwia 1 pkt.

WARSZTATY DZIEWIARSKIE

— tóre najbardziej polecamy:

PODWÓJNE:

„GIROTEX 400” £58.15.0
„TRICALETTA SUPER”
(Columbia) £51.0.0
„TRICOLETTA T2E” £46.0.0
BUSCH £45.18.0

POJEDYŃCZE:

„ASK” (Auto-Knitter) £22.0.0

Powyższe ceny obejmują koszt dostawy do Gdyni lub stacji granicznej. Do każdej maszyny dostarczamy szczegółową instrukcję, polską i niemiecką.

Największy Polski Dom Wszytkowy

TAZAB & Co. Ltd.

TAZAB HOUSE

22, Roland Gardens, London, S.W.7.

MANCHESTER, 47, Gt. Western St.

BIRMINGHAM, 63, Dale End.

10721

Lekka i ciężka..

Mistrz Europy w rzucie dyskiem, Piątkowski (53,92 m), na mistrzostwach wojska w Warszawie w podnoszeniu ciężarów w trójboju w wadze ciężkiej zdobył pierwsze miejsce — 380 kg! Drugi lekkoatleta „kulomiot” Kwiatkowski w wadze lekko-ciężkiej zajął również pierwsze miejsce — 365 kg.

Lekkoatleci — miotacze traktują podnoszenie ciężarów jako formę treningu w swoich specjalnościach.

Na tych samych zawodach padły dwa rekordy Polski: Zieliński w wadze lekkiej w podrzucie — 142,5 kg i Cieplak w wadze średniej (rekord juniorów) — w rwaniu 100 kg.

W KILKU WERSZACH

● W Szwajcarii jest 800 dyplomowanych instruktorów narciarskich, czyli pierwszej klasy.

● Starożytni Grecy tak określali durnia: „— on nie umie ani czytać, ani pływać”.

● Od N. Roku zawodowi tenisisci zarobili: Hoad — 12.250 dolarów, Gonzales — 11.950, Cooper — 8.500, Anderson — 7.650.

● Reprezentacyjni piłkarze argentyńscy są ubezpieczeni na 1.250.000 pesos, co wypada ok. £8.500. B. tanio — na stosunki angielskie.

Drużyna siatkówki żeńskiej Bałtyk (Rugby)

Drużyna powstała w r. 1958 i w tym samym roku zdobyła już dwa puchary przechodnie i dwie plakietki.



Stoją od lewej: H. Rudnicka z synkiem Lolusiem, wiernym kibicem Bałtyku; W. Pytiak z siostrą Basią (z prawej); K. Anczarska z siostrą Wandzią; E. Kubińska; S. Kwasińska z synkiem i córeczkami; H. Rudnicka, Klecka od lewej; G. Sewerniak — 1-sza siatkarka Bałtyku z córeczką Anusią i synkiem Rysiem (stoi obok); M. Staniaszek z synkiem Zygmuntem.

BILETY KOLEJOWE, LOTNICZE I MORSKIE

SPROWADZANIE RODZIN — WAKACJE

STANMORE TRAVEL

121, Earls Court Rd., London, S.W.5. Tel. FRE 1155

11294

Pokora

Gorzki popiół niewiedzy po udrękach pytań
Ciemny anioł strącony z własnej pychy
Strach skurczony w obłędzie kosmicznych przestrzeni
Coś wiesz i coś zdobyłeś a nie odmienisz...

Mózg — olbrzym chłonie cyfry świetlnych lat tysięcy,
Wytycza gwiazdom drogi, chwytą w skrzynię słońca
Dzień za dniem, noc za nocą w dociekań pogoni...
— Czymże byłeś? Czym jesteś? — Robakiem na dłoni,
Drobiną w kropli wody. Mikroskop — to wieki...
I wzrastając maleje — boś tylko człowiekiem...

Wczoraj na czterech nogach wyszedłeś z jaskini
A dziś fruwasz i chodzisz. Zło i dobro czynisz
I niszczysz i budujesz, odkrywasz i szukasz.
A mądrość, której nie masz, nazywasz nauką,
Która w tobie powstała, z twej pracy wyrosła

Gdybyś wiedział jak wielka w swej ciszy bezmiernej
A w Niej Miłość i Łaska — ogrom Miłosierdzia,
Które wszystko przewidzi i wszystko zrozumie:
To co wczoraj poznałeś i to co dziś umiesz,
Twój wysiłek stwiewiczny — sekundy ułamek,
A wieczność w Swoim trwaniu — nigdy nie zbadana...

Hightown, Wrexham, 21 czerwca 1958 r.

Stanisława Rogalska

Nabożeństwo pijanego

Różne ludzi natury, gdy podchmielią sobie,
Bywają nabożnymi często w onej dobie.
Mój sąsiad, gdy raz zajrzał w debanek wypróbniony:
„Próżność nad próżnościami!” — zawołał skruszony.

Nikodem Muśnicki 1765 — 1805

UŚMIECHNIJ SIĘ

ANEGDOTA TEATRALNA

Znakomity komediopisarz Adam Grzymała-Siedlecki w swym tomie wspomnień „Świat aktorski moich czasów” notuje taką oto anegdotę:

W teatrzyku na Daniłowiczowskiej w Warszawie występowało w tej samej sztuce dwóch aktorów-komików, których wielu czytelników może jeszcze pamiętać, Morozowicz i Misiewicz.

Po jakimś udanym dialogu widownia wpadła w entuzjazm i wywoływała Morozowicza. Aktor wychodził i dziękował wielokrotnie. Gdy po raz piąty czy szósty wyszedł dziękować, z galerii poprzez burzę braw przedarł się okrzyk: Misiewicz!

Wówczas Morozowicz dał znak ręką sali, by ucichła i stentorem głosem zagrział za kuliszy: — Panie Misiewicz, tu jakiś gość ma do pana interes!

„Nie grzeszyli wówczas aktorzy miłością bliźniego, jeżeli bliżnim był aktor” — zauważa Grzymała-Siedlecki.

NAJLEPSZY KAWAŁ SZKOCKI

Szkot szedł ulicą i nagle zauważył na jezdni miedzianka. Skoczył aby go podnieść ale wpadł pod samochód i został zabity.

Orzeczenie sądu: śmierć z przyczyn naturalnych.

NAJLEPSZA ZAGADKA SZKOCKA

Pewien Amerykanin, będąc przejazdem w Edynburgu, ciężko zachorował. Zaszła potrzeba transfuzji krwi. Jako dawca zgłosił się pewien Szkot, któremu wdzięczny pacjent — tytułem wynagrodzenia zapłacił 100 funtów.

W toku leczenia zaszła jednak potrzeba powtórnej transfuzji; tym razem dawca otrzymał tylko 50 funtów.

Dlaczego?
Jasne: w żyłach Amerykanina płynęła już krew szkocka.

NAJLEPSZY KAWAŁ ŻYDOWSKI

Nauczyciel wyklada w chederze, że cokolwiek Pan Bóg robi jest doskonałe.

Na to wstaje garbaty chłopiec i pyta nauczyciela:
— A czy ja jestem dobrze zrobiony?

— Jak na garbusa wyjątkowo dobrze.

MYŚLI O SOCJALIZMIE

Socjalizm może dobrze funkcjonować tylko w niebie gdzie jest niepotrzebny i w piekle gdzie jest urzeczywistniony.

Cecil Palmer

Komunizm rosyjski jest nieprawnym dziećciem Karola Marksa i Katarzyny Wielkiej.

Lord Attlee

NAJLEPSZY KAWAŁ AMERYKAŃSKI

Wymyślono maszynę, która może sama z siebie wydawać potomstwo tak jak ludzie, zwierzęta i rośliny.

NOWE MYŚLI NA ODWIECZNY TEMAT

Patrzył na swoją teściową w swym nowym Cadillacu pędzącym z zawrotną szybkością. Mieszane uczucia przepelniały mu serce.

M. Stead

Patriotyczna choroba

Chciałem być emigrantem prawym, patriotą, nie lamagą
zjadłem bigos i mnie dławi — narodoowo niedomagam!

Leżę w łóżku i brzuch ściskam,
biore sodę, piję ziółka
i tak myślę: Ot zjawisko,
gdy rdzewieją wszystkie kółka.

Gdy wytarty już mechanizm,
motor stracił rytm i wigor,
oliwienie też już na nic —
wykoleją byle bigos.

Poszczę i sucharki gryzę,
nad wątróbką swoją placzę
i drzę cały, że za tydzień
wszystko się na nowo zacznie.

Coś mnie stworzył patriotą,
bym na straży trwał polskości,
Boże, dziś Cię proszę o to:
wróć żołądek mej młodości.

C.D.



— ZA GORĄCĄ, KOCHANIE?!

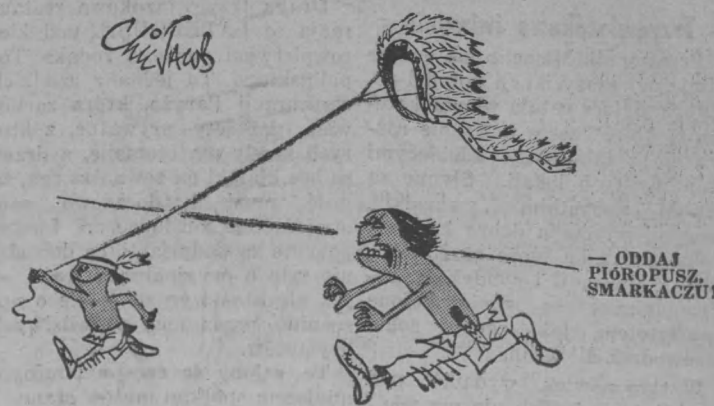


— Zazwyczaj pożyczam krzesła od Kowalskiej, ale ostatnio pogniewaliśmy się...

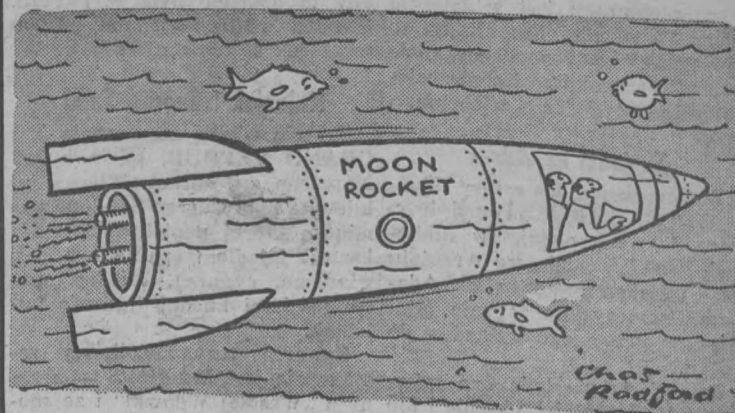


— Mam, podobno, ciężką głowę...

— Straciłem przyjaciółkę...
W zeszłym tygodniu wziąłem z nią ślub.



— ODDAJ PIÓROPUSZ, SMARKACZU!



— Według moich obliczeń powinniśmy być już w połowie drogi do księżycyca.